



# TO WŁAŚNIE TU SIĘ WYDARZYŁO...



Lokalne Grupy Działania  
Ziemie Krańskie



„Europejski Fundusz Rolny na Rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”

Operacja pn. „Promocja oferty turystycznej, walorów przyrodniczo – krajoznawczych oraz kulturalnych ziem krańskich poprzez publikacje i imprezy” poprzez realizację zadania „Publikacja książki „To właśnie tu się wydarzyło. Antologia najpiękniejszych prac literackich dotyczących miejscowości z terenu gminy Gościeradów” współfinansowana jest ze środków Unii Europejskiej w ramach działania „Wsparcie dla rozwoju lokalnego w ramach inicjatywy LEADER”

Poddziałania 19.2 „Wsparcie na wdrażanie operacji w ramach strategii rozwoju lokalnego kierowanego przez społeczność” objętego Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014–2020. Instytucja Zarządzająca PROW- 2014–2020 Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

TO WŁAŚNIE TU SIĘ WYDARZYŁO

Mieszkańcom i Sympetykom  
Gminy Gościńsk

Stowarzyszenie Przyjaciół  
Gościńska

i Gminna Biblioteka  
Publiczna w Gościńsku

# TO WŁAŚNIE TU SIĘ WYDARZYŁO

ANTOLOGIA NAJPIĘKNIEJSZYCH PRAC LITERACKICH  
DOTYCZĄCYCH MIEJSCOWOŚCI Z TERENU GMINY  
GOŚCIERADÓW



WYDAWNICTWO POLIHYMNIA

LUBLIN 2020

**Podmiot odpowiedzialny za publikację i promocję**  
Stowarzyszenie Przyjaciół Gościeradowa



**Współautor publikacji**

Gminna Biblioteka Publiczna w Gościeradowie



**Wybór tekstów, redakcja i korekta**

Dorota Karkusiewicz, Agnieszka Kamieniarz, Bożena Tyzo

**Zdjęcia**

Mariusz Szczepanik, Dorota Karkusiewicz,  
archiwa Stowarzyszenia Przyjaciół Gościeradowa  
i Gminnej Biblioteki Publicznej w Gościeradowie  
oraz archiwa rodzinne mieszkańców.

Wszystkim autorom i właścicielom fotografii składamy  
serdeczne podziękowania za udostępnione materiały.

Wydanie I  
Gościeradow 2020

**ISBN 978-83-7847-668-9**

**Egzemplarz bezpłatny**



Skład, druk, oprawa:  
Wydawnictwo POLIHYMNIA Sp. z o.o.  
ul. Deszczowa 19, 20-832 Lublin, tel./fax (0-81) 746-97-17  
e-mail: poczta@polihymnia.pl  
www.polihymnia.pl

---

## SPIS TREŚCI

|                                                                                                                    |     |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| Drogi Czytelniku .....                                                                                             | 7   |
| Nigdy nie rezygnuj z marzeń <i>Kazimiera Florek</i> .....                                                          | 9   |
| To o czym piszę – wspominam to właśnie tu – w Gościeradowie<br>się wydarzyło <i>Emilia Zapala</i> .....            | 11  |
| Gmino Gościeradów, jak Cię nie miłować? <i>Krystyna Ziółkowska</i> .....                                           | 15  |
| Wspomnienia jak srebrne nici w tkaninie życia<br><i>Marianna Szostakowska</i> .....                                | 20  |
| W moim sekretniku na sercu <i>Kaja Karkusiewicz</i> .....                                                          | 23  |
| Dlaczego pałac w Gościeradowie ma trzy kolumny?<br>Między prawdą a legendą <i>Dominika Drdzeń (Nawrocka)</i> ..... | 25  |
| Moje dziedzictwo <i>Marcin Mozgawa</i> .....                                                                       | 29  |
| Wspomnienia i przeżywane tradycje w mojej rodzinie<br><i>Kazimiera Florek</i> .....                                | 32  |
| Jak się w Szczecynie przed laty żyło i co się tu wydarzyło<br><i>Michał Ziółkowski</i> .....                       | 38  |
| Jak to dawniej u nas było <i>Krystyna Ziółkowska</i> .....                                                         | 41  |
| Gościeradów szlakiem historii i wyobraźni <i>Joanna Dudak</i> .....                                                | 55  |
| Leśne przemyślenia <i>Magdalena Pieczeniak</i> .....                                                               | 58  |
| Pięknie żyć i pięknie umierać <i>Ewa Krzysztoń</i> .....                                                           | 62  |
| List od babci Heleny <i>Izabela Jarosz</i> .....                                                                   | 64  |
| Niezwykła historia <i>Wiktoria Błachnio</i> .....                                                                  | 66  |
| Droga do domu i do wolności <i>Anna Ziarkowska</i> .....                                                           | 68  |
| „Ludzie ludziom zgotowali ten los” <i>Oliwia Kuśmierz</i> .....                                                    | 72  |
| W ciemności <i>Weronika Drop</i> .....                                                                             | 77  |
| Legenda o hrabim <i>Patrycja Zgardzińska</i> .....                                                                 | 79  |
| Spieszmy się kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą! <i>Wiktoria Galant</i> ...                                      | 81  |
| Ludzie, którzy wpłynęli na moją miłość do języka ojczystego<br><i>Teresa Zbytniewska</i> .....                     | 84  |
| Moja pierwsza praca <i>Danuta Olech</i> .....                                                                      | 86  |
| Razem było lepiej <i>Krystyna Ziółkowska</i> .....                                                                 | 89  |
| Rosłem razem z tą szkołą <i>Agnieszka Resztak</i> .....                                                            | 92  |
| Wspomnienia o Liśniku Dużym <i>Zofia Mazurek</i> .....                                                             | 97  |
| W cieniu wojny <i>Małgorzata Kamińska-Żuber</i> .....                                                              | 99  |
| Historia kultu maryjnego w Księżomierzy <i>Aleksandra Dąbrowska</i> ....                                           | 102 |
| Nie ma ludzi niezastąpionych <i>Teresa Zbytniewska</i> .....                                                       | 106 |



|                                                                                                               |     |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| <b>Wojenna rzeczywistość w Księżomierzy Gościeradowskiej</b>                                                  |     |
| <i>Karolina Krawczyk</i> .....                                                                                | 109 |
| <b>Z opowieści pradziadka Kazimierza i jego żony</b>                                                          |     |
| <i>Roksana Gajewska</i> .....                                                                                 | 111 |
| <b>Serce, czy rozum. Aleksandra Gil</b> .....                                                                 | 115 |
| <b>Gościeradów. Aleksandra Zawisza</b> .....                                                                  | 118 |
| <b>Opowieści pewnej gościeradowianki Aleksandra Dąbrowska</b> .....                                           | 119 |
| <b>Z dziejów Księżomierzy słów kilka Karolina Krawczyk</b> .....                                              | 122 |
| <b>Znachor Tadeusz Porębski</b> .....                                                                         | 124 |
| <b>Złote ręce Tadeusz Porębski</b> .....                                                                      | 129 |
| <b>To były piękne czasy Aleksandra Dąbrowska</b> .....                                                        | 135 |
| <b>Obdarowany szczęściem Tadeusz Porębski</b> .....                                                           | 138 |
| <b>Geneza powstania Ochotniczej Straży Pożarnej w Wólce Gościeradowskiej i pierwsze lata jej działalności</b> |     |
| <i>Tadeusz Porębski</i> .....                                                                                 | 146 |
| <b>Święta Bożego Narodzenia obchodzone w mojej rodzinie</b>                                                   |     |
| <i>Danuta Olech</i> .....                                                                                     | 162 |
| <b>Miłość nie wybiera Julia Gac</b> .....                                                                     | 169 |
| <b>Konkurs Barbara Pyra</b> .....                                                                             | 174 |
| <b>Rodzinna fotografia Szymon Niedziałek</b> .....                                                            | 177 |
| <b>Warto pomagać Oliwia Konopa</b> .....                                                                      | 180 |
| <b>Wspomnienia wojenne mojego taty Maria Mantycka</b> .....                                                   | 183 |
| <b>Moje wspomnienia związane z Gościeradowem Klara Berdys</b> .....                                           | 188 |
| <b>Życie mieszkańców Księżomierzy i Ludmiłówki w latach 1939–1944</b>                                         |     |
| <i>Mateusz Jarosz</i> .....                                                                                   | 191 |
| <b>O ciężkich czasach Aleksandra Dąbrowska</b> .....                                                          | 197 |
| <b>Dzieje Suchodół Patrycja Kufel</b> .....                                                                   | 200 |
| <b>Śladami przeszłości... Julia Babiracka</b> .....                                                           | 201 |
| <b>To wydarzyło się w Gościeradowie Roksana Gajewska</b> .....                                                | 203 |
| <b>„Jaś Cebulka” Natalia Marszałek</b> .....                                                                  | 207 |
| <b>Wyjaśniona tajemnica rodzinna Szymon Niedziałek</b> .....                                                  | 211 |
| <b>Z opowieści mojej teściowej Zofia Ortyl</b> .....                                                          | 214 |
| <b>Piekło nad Szczecynem Zofia Ortyl</b> .....                                                                | 216 |
| <b>Rozwój kultury w środowisku wiejskim Tadeusz Porębski</b> .....                                            | 219 |
| <b>Wspomnienie z dzieciństwa Kamila Likos</b> .....                                                           | 225 |
| <b>Moja piękna i zabytkowa miejscowość Kamila Likos</b> .....                                                 | 226 |
| <b>Album</b> .....                                                                                            | 229 |

## Drogi Czytelniku

DDAJEMY W TWOJE RĘCE KSIĄŻKĘ – efekt pracy mieszkańców i sympatyków gminy Gościeradów. Treść publikacji stanowią najpiękniejsze prace literackie zebrane w ramach konkursu „To właśnie tu się wydarzyło” zorganizowanego przez Gminną Bibliotekę Publiczną w Gościeradowie we współpracy ze Stowarzyszeniem Przyjaciół Gościeradowa. W wyniku trwania jego kolejnych edycji w okresie od 2008 do 2019 roku zebrany został materiał dokumentujący części historii naszej gminy, oparte na wspomnieniach mieszkańców oraz teksty utworzone na potrzeby promocji.

Oprócz dokumentowania wydarzeń, zwyczajów i tradycji, w wielu wypadkach rodzinnych, zapamiętanych przez uczestników, konkurs promował najpiękniejsze miejsca i wnosił dodatkowe wartości w postaci integracji międzypokoleniowej. Niektóre prace, szczególnie osób młodych, powstały na podstawie wspomnień członków rodziny, sąsiadów lub znajomych. Dużą rolę w zebraniu tego materiału, odegrali opiekunowie młodych autorów – rodzice i nauczyciele. Szczególną wartość poznawczą wniosły wspomnienia pisane przez starsze osoby. Tym bardziej, że niektórych autorów nie ma już wśród osób żyjących.

Ilu uczestników konkursu, tyle charakterów i tyle sposobów przekazywania tego, co w sercu gra. Książka jest więc zbiorem różnych form literackich: opowiadań, listów, wierszy, wywiadów, reportaży, a nawet komiksów. Czasem mają one charakter żartobliwy, innym razem bardzo poważny.

Do nielicznych prac autorzy dodali zdjęcia z prywatnych zasobów archiwalnych. Postanowiliśmy zamieścić je w publikacji, bo naszym zdaniem stanowią kompletną całość z tekstami. Nieprofesjonalność pisarzy, którzy tworzą tę książkę jest tutaj wartością, ponieważ jej treść wypływa prosto z serca. Każda praca zamieszczona w tej publikacji to ładunek różnych emocji przekazanych czytelnikom, które powodują zaangażowanie odbiorcy. Dzięki temu ma większe szanse na przetrwanie to, co bardzo szybko niszczy ząb czasu: przekaz o naszych bliskich i przodkach. Historia Polski zbudowana jest z takich małych historii osób i ich rodzin. Piszemy ją żyjąc i pracując także w naszej małej ojczyźnie – gminie Gościeradów.

Książkę wzbogaciły zdjęcia albumowe przedstawiające piękno gminy Gościeradów. Pozwolą one osobom czytającym tę lekturę zrozumieć naszą fascynację miejscem, w którym żyjemy.

Publikacja jest współfinansowana ze środków pozyskanych od LGD Ziemi Kraśnickiej.

*Mariusz Szczepanik*

*– prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Gościeradowa,*

*Dorota Karkusiewicz*

*– dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej*

*w Gościeradowie, członek stowarzyszenia*

*Widok z wieży kościelnej na zabytkową kapliczkę św. Jana  
Nepomucena w Gościeradowie*





## Nigdy nie rezygnuj z marzeń

(tyt. oryg. „To właśnie tu się wydarzyło”)

**M**OJE NAJPIĘKNIEJSZE PRZEŻYCIA związane z Gościeradowem, to były lata 1962–1976. W tym okresie byłam zatrudniona w Państwowym Prewentorium Przeciwgruźliczym w Gościeradowie jako wychowawca. Prewentorium to mieściło się w pięknym pałacu hrabiów Suchodolskich, położonym w uroczym parku przyzakładowym. Obecnie w tym budynku mieści się Dom Pomocy Społecznej im. hr. E. Suchodolskiego dla dzieci głęboko upośledzonych.

Wspomnienie z przebiegu mojej pracy w tym okresie są bardzo miłe, można wręcz zdecydowanie powiedzieć piękne: odrabianie lekcji zadanych dzieciom w przykładowej szkole specjalnej, jako nauczanie w ramach od klas IV–VII, śpiewy, tańce, recytacje, przygrywki na starym pohrabiowskim pianinie przez kuracjuszy, bo zdarzały się bardzo często dzieci, które potrafiły przygrywać do tańca zespołom tanecznym, biwaki w pobliskich lasach, nad przepływającą przez Gościeradów rzeką Tuczyn... To był wtedy cały mój świat...

Okres pełnego lata, miesiące czerwiec-lipiec. Wyjście na biwak odbywało się popołudniową porą, namioty i inne potrzebne rzeczy dowożono nam samochodem zakładowym. W takim biwaku brała udział zazwyczaj trzydziestoosobowa grupa dzieci. Biwak trwał całą noc do popołudnia następnego dnia. Jedzenie przywożono nam w termosach. Troje wychowawców i nocny stróż zapewniało dzieciom opiekę i bezpieczeństwo. Stróżem nocnym wówczas był nieżyjący już Czesław Chmura. Wychowawcy biwakujący ze mną to Czesław Tybulczuk i Józef Szczepaniak. To dopiero była frajda; las aż tętnił śmiechem i śpiewem, szczególnie przy wieczornym ognisku. Do pracy szłam z wielką chęcią i zadowoleniem. Najważniejsze było to, że dzieci uwielbiały zajęcia organizowane przeze mnie. Recytacje okolicznościowe, czytanie bajek, dyskusje przed snem lub opowiadanie ciekawych przeżyć, zdarzeń.

Moje plany życiowe brzmiały: „Nigdy nie rezygnuj z marzeń. Gdzieś, kiedyś się spełnią”.

I spełniły się, 20 lat pracowałam z dziećmi specjalnej troski. Ile radości i szczęścia widziałam na buziach dzieci, które brały udział w organizowanych przeze mnie zajęciach artystycznych. Dzieci, jako

widownia, też były szczęśliwe, owacjom nie było końca. Podopieczni uwielbiali częste spacery do lasu, szczególnie pełną wiosną, kiedy kwitły fiołki, zawilce i konwalie. Te cudowne wspomnienia pozostaną na zawsze w mej pamięci. Bukieciki tych i innych kwiatów leśnych wychowankowie przynosili ze sobą i przystrajali kapliczkę w parku z obrazkiem Matki Boskiej. Kapliczka ta do dziś tam jest. Tańce, jakież dzieci były wesołe w tych tańcach: krakowiak, kujawiak czy zbójnicki. Tańczyły jak radosne motylki.

Minęło już tyle lat, a ja bardzo często wracam myślami do pracy z „moimi” dziećmi. Pobyt w prewentorium trwał od 3 do 4 miesięcy, więc „trochę” tych dzieciaków przewinęło się w mojej pracy.

Wspomnę jeszcze jedno wydarzenie: wykonanie wspólnie z dziećmi (bo pomagały chętnie) wielkiego balonu klejonego z kolorowej bibułki. W tym przedsięwzięciu brałam udział ja, dzieci i Czesław Tybulczuk. Potem kolega Czesław wypełnił balon ciepłym powietrzem. Balon z chwili na chwilę się powiększał, rósł, aż zrobił się ogromny. Wtedy kolega Tybulczuk zakleił szybko otwór, a balon wypuszczony z rąk wzbił się bardzo wysoko, balansując w powietrzu.

Na wielkiej polanie w parku znajdowali się mali kuracjusze z całego turnusu, około 80 osób, wychowawcy, pielęgniarki i część pracowników administracji. Radości nie było końca. Oklaski i wiwaty wśród dzieci, starszych opiekunów też. Ale cóż, po jakimś czasie balon robił się coraz mniejszy, aż w końcu osiadł na trawie, jak kolorowy placek, a dzieci wydały pomruk: – U u u...!

W tym czasie dyrektorem i lekarzem był Jerzy Stryjecki, pielęgniarki to: Danusia Morszczyzna, Teresa Gołąb, Hania Czerwonka. Wspomnienia z pracy z „moimi” dziećmi powoli odchodzą w cień. Wszystko przemija, lecz nie myślę o smutku. Po prostu „Trzeba cieszyć się życiem”.

*Kazimiera Florek  
A.D. 2008*

## To, o czym piszę – wspominam, to właśnie tu w Gościeradowie się wydarzyło

**R**OK 1998 – GOŚCIERADÓW obchodzi uroczyste osiemsetlecie, zapisane w historii, potwierdzone w dokumentach odszukanych w klasztorze w Miechowie k/Krakowa. W języku łacińskim wspomniane zostało, że już w 1198 r. w Gościeradowie istniała parafia.

Koniec lipca 1944 r. – mieszkańcy Gościeradowa czekają z niepokojem, co to będzie, gdzie się schować, gdzie ukryć dobytek przed uchodźcami – wojskami niemieckimi i nadchodzącymi od wschodu Rosjanami.

Rodzina Czerwonków mieszkająca w małym drewnianym domku przy wiejskiej drodze zwanej „wygonem” w Gościeradowie Ukazowym, postanowiła wykopać „schron” przy tym „wygonie” i drodze zwanej „gościńcem”, obecnie aleją lipową hr. E. Suchodolskiego. Przy tym „gościńcu” i „wygonie” była wysoka „skarpa” ziemna, to dawało dobre zamaskowanie tego schronu.

Po przesunięciu się frontu za Wisłę był już 1945 r. W miarę uspokoiło się we wsi. Rodzina Czerwonków postanowiła rozebrać i zasypać schron. Kiedy usunęli deski wzmacniające boki – ściany schronu, w pewnym momencie obsunęła się ziemia – piach, i zobaczono „gorcek”, jakiego nigdy nie widziano. Przy tej robocie pracował Paweł Czerwonka – ojciec (z zawodu stolarz) i jego najmłodszy syn – Stanisław Czerwonka. „Gorcek” był szaro-popielaty z przykrywką, dość duży. Ciekawość wzięła górę, aby zobaczyć, co jest w środku. O znalezisku wieść rozeszła się lotem błyskawicy, przybyli sąsiedzi i koledzy, wysypali zawartość „gorcka”. Był tam popiół, a w tym popiele: zapinka żelazna, 2 okucia, sprzączka do pasa, paciorek z masy niebieskiej wielkości orzecha włoskiego. Stach Czerwonka podzielił się znaleziskiem z kolegą Zbyszkiem Jaworskim. Jednak po naradzie powiadomili miejscowego nauczyciela p. Romana Łomnickiego. „Urnę”, bo tak to coś określił p. Łomnicki, znawca wykopalisk, zabezpieczono i dzięki temu jest do dzisiaj w Muzeum w Lublinie. Zawartość znaleziska zaginęła – „zmieniła właściciela”. Wiadomości te otrzymałam od Stanisława Czerwonki – Czerwińskiego (mojego kuzyna), który obecnie zamieszkuje w Lublinie i dalej interesuje się historią swojej rodzinnej miejscowości. Jesteśmy w stałym kontakcie.

Historia znalezionej „urny” bardzo podniecała do dalszych poszukiwań nas dzieci z okolicznych domów. Ja wtedy byłam po ukończeniu I-ej klasy. Codziennie biegaliśmy bawić się na wygon i kopaliśmy w skarpie, poszukując skarbu. Mogło to się skończyć tragicznie, bo były dni, że wykopaliśmy ogromną jamę w skarpie wygonu. Piasek był czystutki. Wykorzystywano go do bielenia domów (drewnianych z bali). Piasek też mieszano z wapnem i zalepiano szpary. Mimo poszukiwań skarbu, urny nie znaleźliśmy. Dopiero w 1951 r. nauczyciel p. Jan Stelmaszczyk znalazł następny egzemplarz. Urnę, którą przechowywał u siebie w domu w Kraśniku.

Wiadomości dotyczące wykopalisk w Gościeradowie Ukazowym, uzupełniają zdjęcia, żeby młodym mieszkańcom Gościeradowa przybliżyć historię wykopalisk archeologicznych, przeprowadzonych w latach 1958 i 1959 przez Katedrę Archeologii Pierwotnej i Wczesnośredniowiecznej Uniwersytetu Warszawskiego. Wykopaliska przeprowadzono na polu p. Łapińskiego i Piotra Stoli (za tym domem).

Następne zdjęcie zrobione z oddali, pokazuje domek Czerwonków w całej okazałości z placówką, która w tej chwili zabudowana jest





przez rodzinę Krystyny i Mariana Kuśmierzów – wnuka pana Łapińskiego. Na mostku siedzi Stanisław Lebioda, syn Jana z córkami Basią i Hanią. Domek po prawej stronie to własność p. Kędzierskiej (przed II wojną), obecnie mieszka w nim wnuczka Halina Burackowa. Ponad 50 lat minęło od historycznych wykopalisk. Wiele się zmieniło, trudno nam starszym przekonać młodsze pokolenie opowiadając, jak było dawniej w tym miejscu.

Mimo usilnych i bardzo precyzyjnych poszukiwań na owym cmentarzysku w Gościeradowie Ukazowym, przy wygonie znaleziono tylko 19 urn. Wniosek jest taki, że przez tyle wieków, zostały zniszczone groby. Cmentarzysko było na polu uprawnym, później tu budowano domy, zagrody, drogi. Po przebadaniu urn wiadomo było, gdzie są szczątki – kości kobiety, na to wskazywały też znajdujące się ozdoby kobiece, a gdzie szczątki mężczyzny.

Urny zawierały kości, węgiel drzewny, fragmenty pasków żelaznych, młotki, fragmenty szpili lub igły, noże żelazne, szydła żelazne, zapinki z brązu ozdobne, liczne fragmenty naczyń, zapinki żelazne, grzebyki ozdobne, broń, sprzączki żelazne, żelazne groty, kamienie

służące do krzesania ognia lub jako osełka. Wszystko dokładnie opisano. Na cmentarzysku w Gościeradowie zaznacza się przewaga grobów z wyposażeniem męskim.

Wiele rzeczy widziałam na własne oczy, dotykałam. W domu mojej mamy mieszkała profesor Wiercińska, która przekazywała, opisywała, co dana rzecz oznacza. Widziałam pracujących studentów, mieli w ręku małe szpachelki, miotełki, wszystko robiono z wielką precyzją, aby jak najmniej uszkodzić poszukiwane urny. Roboty były na kolanach.

Na zakończenie opis cmentarzyska podaje, że większość pamiątek, znalezisk zaginęła, przykre jest to dla nas mieszkańców, pamiętających czas wykopalisk.

*Emilia Zapala*  
*A.D. 2008*



## Gmino Gościeradów, jak Cię nie miłować?

(tyt. oryg. „To właśnie tu się wydarzyło”)

GMINO GOŚCIERADÓW, jak Cię nie miłować?  
Trudno mi bez Ciebie w świecie funkcjonować.  
Chociaż urodzona jestem w Szczecynie,  
Zameldowana zostałam właśnie tu, w tej gminie.  
Można by powiedzieć, że to niezbyt wiele  
Lecz ochrzczona byłam właśnie w tym kościele.  
Piękny mi się temat trafia  
Do napisania mała biografia.  
Więc napiszę było, nie było,  
Bo właśnie tu się wiele wydarzyło.  
Tyle mi spraw chodzi po głowie,  
Które się działy w Gościeradowie.  
Gdy pierwsze kroki w szkole stawiałam,  
Śpiewałam, tańczyłam, recytowałam.  
A wszystko pod wpływem kierownika  
Z Gościeradowa – pana Wójcika,  
Który to szkołę w Szczecynie kierował,  
Przy tym się wielką kulturą zajmował.  
Założył Zespół Ludowy w Szczecynie -  
Do dzisiaj jeszcze w okolicy słynie.  
Religii się uczyłam w szkole,  
Czasem nauki były w kościele.  
Tutaj Komunię Pierwszą brałam,  
Księdza Serecę zapamiętałam.  
Pamiętam pochód pierwszomajowy,  
Zespół przedstawił program gotowy:  
„Murarze, tkacze, metalowcy...”  
Recytowałam dziewczęta, chłopcy.  
Albo też lipiec dwudziesty drugi  
Program występu był dość długi.  
Chór „Marsylianek” wtedy zaśpiewał,  
Każdy bił brawa i nikt nie ziewał,  
Graliśmy również na mandolinach,  
Tyle energii było w dziewczynach.

Bo „Na wójtowej roli” żeśmy grały,  
Do tego jeszcze przyśpiewywały.  
Zawsze okazja ku temu była,  
Gmina nam scenę udostępniła.  
Nawet, gdy to przyczepa była,  
Za scenę świetnie nam służyła.  
Od dziecka tkwi we mnie artystki dusza  
Ukształtowana przez pana Eustachiusza,  
Który w Gościeradowie się wychował,  
Tylko w Szczecynie w szkole pracował.  
Wychowawczyni Grądek Lucyna  
Zabrała całą klasę do kina.  
Ja w tej wycieczce udział brałam,  
„Anię i Manię” w kinie oglądałam,  
Bo kino było w Gościeradowie.  
Kto je pamięta, niech nam opowie.  
A ja niewiele zapamiętałam,  
Widocznie jeszcze byłam za małą.  
Ośrodek Zdrowia w Gościeradowie  
Szczepił od chorób i dbał o zdrowie.  
Pamiętam doktora Stryjeckiego,  
Zawsze dostałam pomoc od niego.  
Był też w ośrodku pan dentysta  
Co dbał o zęby, to rzecz oczywista.  
Pierwszego zęba mi tu wyrывał  
Był bardzo miły i zagadywał.  
Pamiętam również swoje Bierzmowanie  
W tym to kościele przygotowane.  
Z całej parafii młodzież zebrana  
I przez biskupa wybierzmowana.  
Pamiętam, jak uroczyście było  
I to się właśnie tu wydarzyło.  
Gdy podstawówkę już ukończyłam,  
Do SPR-u dokumenty złożyłam.

Wychowawczyni pani Cieplakowa  
Przyjęła papiery moje bez słowa.  
Szkola ta w Gościeradowie była,  
W starym budynku się mieściła.  
Rok do tej szkoły uczęszczałam,  
Bo nowa szkoła się budowała.  
Drugi rok lepszy był i wesoły,  
Bo już chodziłam do nowej szkoły.  
Wiele się znowu tu wydarzyło,  
Gdy się do nowej szkoły chodziło.  
Wychowawczyni pani Cieplakowa  
Uczyła nas zwierzęta hodować,  
Pan Fila uczył matematyki,  
Geometrii i arytmetyki.  
Trudne czasami były zadania,  
Prace domowe do odrabiania.  
Jak nie pomyliłam sinusa z kosinusem  
To zarobiłam czwórkę z plusem.  
Aby ogórki w zimie przechować  
Tego mnie uczyła pani Filowa,  
Uczyła piec placki i gotować  
I korniszony w słoje wekować.  
Pani Kołodziej polskiego uczyła,  
Zaimki, przyimki do głowy wbiła  
I chociaż surowa, to była wspaniała,  
Bo wzrokiem karciała, a sercem kochała.  
No i uczniowie z SPR-u  
Chodzili na praktyki do PGR-u  
Bo właśnie tam się żyć uczyli,  
Zbierali ziemniaki, zboże młócili.  
Jesień dawała się we znaki,  
Kiedy trzeba było zbierać buraki,  
Lecz do nauki to należało,  
Więc bez oporu się zbierało.

Boże! Jak dawno to wszystko było,  
Ale to tu się wydarzyło.  
Dwuletnią szkołę ukończyłam,  
Nawet świadectwa niezłe zdobyłam.  
Chodziłam do tej szkoły piechotą  
Zawsze na nowo z wielką ochotą.  
Na tym edukację właśnie zakończyłam  
I tytuł „wykwalifikowany rolnik” zdobyłam.  
Nawet na technikum w Wólce czekałam,  
Lecz ta budowa zbyt długo trwała  
I wyszłam za mąż za rolnika,  
Tak być musiało, z tego wynika.  
Nie chcę podśmiewać ani żartować  
Moja teściowa z Gościeradowa,  
Ale mi syna wychowała  
I w tym kościele mu ślubowałam.  
Zapamiętałam księdza Kardasa,  
Który nam ślub dawał w tamtych czasach.  
Potem już wszystko się powtarzało,  
Gdy dzieci na świat przybywało.  
Meldunek w urzędzie w Gościeradowie,  
A chrzest w kościele po prostu powiem,  
Pierwsze komunie i bierzmowania  
A gdy dorosły – też ślubowania.  
Jeszcze z wnukami się powtórzyło.  
To się po prostu tu wydarzyło.  
Meldunek w urzędzie, w kościele chrzciny  
Trzecie pokolenie już z mojej rodziny.  
Gmino Gościeradów, jak Cię nie szanować  
Nadal ciężko bez Ciebie w świecie funkcjonować:  
Na pocztę, do banku do Gościeradowa,  
Do ośrodka zdrowia, kiedy boli głowa,  
Gdy już mam receptę na konkretne leki,  
Do Gościeradowa jadę do apteki.

A urząd gminy z wójtem na czele  
Od lat był moim przyjacielem.  
Wszystkie tu sprawy pozałatwiałam,  
Czy jakąś większą, czy błahą miałam.  
Nie wiem jak by to bez urzędu było  
Jak wszystko, co się tu wydarzyło.

Trudno mi opisać,  
Co się jeszcze działo  
Bo już konkurs blisko  
I czasu za mało...

27.11.2008 r.  
*Krystyna Ziółkowska*  
A.D. 2008

## Wspomnienia jak srebrne nici na tkaninie życia

(tytuł oryg. „Wspomnienia”)

A NAMOWĄ WIELU OSÓB zdecydowałam się opisać i wspomnieć swoje życie dziecinne i młodsze, a dziś już na pewno szare, uciekające do wieczności.

Do Gościeradowa przyjechałam 16 października 1946 r. jako 8-letnie dziecko, rzekomo na dwa tygodnie – a zostałam do obecnej chwili. Dlaczego się tu znalazłam? Trzy godziny po moim urodzeniu zmarła mama, (znałam ją tylko z opowieści i ze zdjęć). Obecnie pewnie dałoby się ją uratować, ale w tamtych czasach dostęp do lekarza i szpitala był trudny. Tak więc opiekę nade mną przejął tatuś z pomocą swojej rodziny. Był on bardzo dobrym człowiekiem, katolikiem, od którego nauczyłam się prawd wiary i chrześcijaństwa, mocno związanym z Bogiem i kościołem. Ponieważ jednak pracował jako gajowy i przebywał więcej w lesie niż w domu – to zaprzyjaźnił się z przyjaciółką, którą wówczas była „wódka”, a do tego ożenił się po wtórnie z kobietą, która niestety nie omijała kieliszka. Z czasem więc zostawiona byłam na pastwę losu, rodziny i sąsiadów – bo wiadomo macocha... Miałam ciotkę (siostrę mamy), która była gospodynią na plebanii w Gościeradowie i tam też mieszkała moja starsza siostra. Sąsiedzi dali znać cioci, że jestem w biedzie, bo chodzę w jakieś tam koszulinie i boso po śniegu. Podczas mojego 2-tygodniowego pobytu w Gościeradowie, ciocia miała mi coś poprzesywać z ubrań siostry. Mijał termin, w czasie którego tatuś miał mnie odebrać, ale jak zwykle, z wiadomych przyczyn, nie mógł po mnie przyjechać. Ciocia szykowała się już, żeby mnie z powrotem odwiedzić, ale po Dniu Zadusznym, dziękując Bogu, Matce Bożej i przewielebnemu ks. F. Kardasowi i ks. J. P. Markowskiemu, zostałam.

Ks. Kardas poszedł wówczas na lekcje religii do szkoły i zapisał mnie do II klasy. Kupił mi zeszyty, książki i powiedział „Jutro idziesz do szkoły, już nie wrócisz do Sulowa” (Sulów – moja rodzinna miejscowość). Jakaż była moja radość – nie można opowiedzieć i opisać, w przeciwieństwie do odczuć mojej cioci, która okazała wówczas wielkie niezadowolenie, że ja zostałam, ale to już odrębny temat.

Szkoła podstawowa, I Komunia Święta, Bierzmowanie i cała reszta mojego życia związana jest z Gościeradowem poza krótkim poby-

tem w Lublinie i rocznym – w Łodzi – w szkole i gimnazjum.

Wspominam ułamki mojego życia i wiem, że młodzież i dzieci nie wierzą, że tak mogło kiedyś być. Dziś do szkoły przyjeżdża autobus i przywozi, a po lekcjach odwozi uczniów do domu. W latach 1948–1952 do szkoły szło się w tunelach śniegu, nie było chodników. Niektórzy przemierzali w ten sposób po parę kilometrów, a po przyjściu do domu trzeba było odrobić lekcje przy świeczce lub przy lampie naftowej. Mimo to każdy był zdrowy, zadowolony, radosny.

Zima to okres zadumy w listopadzie nad zmarłymi, w grudniu – Adwentu. Później – Święta Bożego Narodzenia i karnawał, podczas których było wiele radości. Adwent przygotowywał nas duchowo do narodzenia Pana Jezusa poprzez post, przychodzenie na roraty. Dawniej odprawiały się one o godz. 6<sup>00</sup> rano i o tej porze w kościele były ławki pełne ludzi (dziś tylko 20-30 osób). Przychodzili z oddalonych miejscowości: Szczecyna, Liśnika, Suchodołów, Marynopolą itd. Choinkę ubierało się dopiero w Wigilię, nie jak dziś – na 2 tygodnie przed świętami. Podczas karnawału ileż było zabaw, kolędników, przebierańców. Gdy przyszły ostatki, zaprzęgano konie do sań, parę osób siadało, jakiś grajek, ładowano na sanie duży kosz, do którego zabierało się w niektórych domach młodą mężatkę i mąż musiał ją później wykupić. Jako dzieci, czy już podlotki biegaliśmy za tym korowodem, bo to naprawdę przynosiło dużo uciechy. Ponieważ związana byłam od młodych lat z plebanią i kościołem, to chcę wspomnieć w paru słowach niektóre osoby. Pierwszą z nich jest ksiądz J. P. Markowski, który był wówczas proboszczem naszej parafii. W 1935 r. przybył jako wikary, a później został proboszczem ks. F. Kardas. Funkcję tę sprawował przez 45 lat i tu ubolewam, że nawet nie ma jego pamiątkowej tablicy w naszym kościele, a był to człowiek nieoceniony, który służył Bogu i ludziom w bardzo ciężkich czasach powojennych, pookupacyjnych.

Po ks. Kardasie przybyli w kolejności jako proboszczowie: ks. M. Nowak, ks. J. Borowski, ks. J. Sądej i ks. A. Kontek, a przy tym wielu wikariuszy. Chociaż szacunek dla wszystkich księży jest jednakowy, to myślę, że każdy kapłan ma w ten, czy inny sposób natchnienie od Ducha Św., który go powołuje na drogę kapłańską. Naszym obowiązkiem jest się w ich intencji modlić i wspierać tą modlitwą, a nie jak to teraz w niektórych wypadkach bywa, utrudniać życie. Dziwię się,

że w większości dzisiejszej młodzieży brakuje szacunku – dla księży, nauczycieli, lekarzy, rodziców. Tego w dawnych czasach nie było.

Wspominając księży, trzeba dołączyć jeszcze wiele, wiele innych osób, jak: p. Cz. Jackowski – który służył całej parafii jako organista, pełnił też wiele innych funkcji, między innymi był wójtem gminy, prowadził kółko teatralne, śpiewacze, chór. Dzięki niemu występowaliśmy w Gościeradowie i w innych miejscowościach, choć były to trudniejsze czasy, jeżeli wziąć pod uwagę dojazd. Wspominam także wielu nauczycieli, jak: p. M. Kwiatka, który był dyrektorem szkoły, jego żonę p. B. Kwiatek, p. J. Szczepaniak – i jej męża, który brał udział w różnych występach.

Ponieważ czasy się zmieniały, powstała szkoła zawodowa, później uniwersytet, przybywało różnych wykładowców, nauczycieli. Poprzez te wszystkie lata od 1946 do obecnej chwili, w Gościeradowie bardzo się zmieniło na lepsze. Jest ośrodek zdrowia z poradniami lekarskimi, lekarze przyjeżdżają na różne badania specjalistyczne, są apteki, wiele sklepów różnej branży. Dawniej był jeden sklep spożywczy i żelazny, a dzisiaj możemy się poszczycić całą siecią różnych sklepów i zakładów pracy, choć wiele zostało z poprzednich lat zlikwidowanych lub przemienionych na inne branże. Coraz piękniejsza jest także architektura zabudowy zakładów pracy, domów rodzinnych i gospodarstw.

Moja codzienna samotność przetykana jest fragmentami wspomnień. Są one dobre i złe, ale każde z nich warte jest refleksji, bo składają się one na historię mojego życia.

*Marianna Szostakowska  
A.D. 2010*



## W moim sekretniku na sercu

**M**OJA RODZINA OD WIELU POKOLEŃ związana jest z Gościeradowem. Tu mieszkał do niedawna mój pradziadek – Józef Mazur i prababcia Leokadia, rodzice pradziadka – Zofia i Antoni Mazurowie, rodzice prababci – Marianna i Adam Pęziołowie. Stąd pochodziła też mama praprababci Zofii – Anna Mostrąg. Moja babcia Zosia postanowiła się stąd „wyrwać” i mimo że wyjechała daleko, bo aż do Kotliny Kłodzkiej i wyszła za mąż za górala – dziadka Wiesia Karkusiewicza, natychmiast niemalże po urodzeniu swojego pierwszego dziecka – mojego taty – Mariusza, wróciła do Gościeradowa. Miejsce to od razu spodobało się mojej mamie – Dorocie, dlatego w tutejszym kościele odbyły się zaślubiny moich rodziców i chrzciny (moje i mojego brata). Magnetyzm tego miejsca przyciągnął tu moich rodziców, którzy po 14 latach pobytu w województwie świętokrzyskim, osiedlili się znowu w Gościeradowie. Mimo, że jako dziecko tu nie mieszkałam, z Gościeradowem związane są moje wspomnienia z dzieciństwa.

Najpiękniejszą pamiątką, dzięki której one powracają, są zdjęcia, których sporo znajduje się w naszych rodzinnych albumach. Oglądając je, przypominam sobie miło spędzone chwile przy wigilijnym stole, czuję zapach świeżej choinki przyniesionej przez dziadka Wiesia z nadleśnictwa, widzę babcię Zosię zdrową i uśmiechniętą, wiecznie krzątającą się po kuchni. Pamiętam radosne oczekiwanie na moment składania sobie życzeń. Bardzo chciałam, by te moje były oryginalne i niepowtarzalne. Wokół świątecznego stołu unosiła się magiczna atmosfera. Wszyscy ubrani odświętnie i uśmiechnięci, śpiewaliśmy kolędy i pastoralki przy dźwiękach gitary, nierzadko z podziałem na głosy. Śpiewali wszyscy: pradziadkowie, dziadkowie, rodzice, wujkowie, ciocie i ich niedorośle potomstwo. Było przy tym dużo śmiechu w związku z naszymi eksperymentami muzycznymi. Pamiętam też, że barszcz, który jadaliśmy nieraz w ciągu roku, tego dnia miał inny, nadzwyczajny smak. Niezwykły był też czas wielkanocny – pachnący świeżo wędzoną przez dziadka kielbasą i pieczonym przez babcię lub mamę pasztetem. Nie rozumiałam wtedy jeszcze istoty tych świąt, ale wielkim przeżyciem było dla mnie niesienie koszyczka z pokarmem do kościoła. Po poświęceniu przez księdza jego zawartości czułam, że na mnie spoczywa wielka odpowiedzialność, żebym to, co już nie

było zwykłym jedzeniem, doniosła w całości do domu. Po uroczystym niedzielnym śniadaniu z wielką niecierpliwością czekałam na Poniedziałek Wielkanocny. Wiedziałam, że ten dzień przyniesie wiele radości, ale podświadomie trochę obawiałam się go. Nasza babcia – bohaterka z uśmiechem wychodziła wtedy na podwórko, a my mogliśmy lać ją wodą „ile wlezie”, bez żadnych konsekwencji dla mnie i dla mojego brata – Patryka.

Z Gościeradowem wiążą się też moje wspomnienia wakacyjne. Kiedy byłam mała, niczym wysokie drzewa wydawały mi się łądygi tytoniu, wśród których szukałam drogi do rodziców. Nieziemską potrawą stawały się pieczone na polu ziemniaki. Niemalże cudem było to, że rosły zasadzone lub zasiane przeze mnie roślinki w polu i ogrodzie. Tu zawsze był czas na pracę, ale i czas na zabawę. To nic, że się przy tym nabałagało. Babcia była bardzo tolerancyjna. Uczyła nas lepić pierogi i piec ciasta, mimo że kuchnia później nadawała się do generalnego remontu. Dobrze było mieć dziadka, który potrafił pięknie opowiadać o tym, jak było kiedyś, śpiewać i tańczyć, często ze mną na rękach. Dlatego wielkim utrapieniem były chwile, kiedy opuszczaliśmy Gościeradów, a na twarzach dziadka i babci pojawiał się smutny uśmiech. Zupełnie inny niż ten, którym witali nas po przyjeździe. Od 2005 roku mojego dziadka już nie ma między nami. Gościeradów w moich oczach spowszedniał, ponieważ widzę go codziennie, ale nadal kocham go, ponieważ czuję, że tu jest mój prawdziwy dom.

Gościeradów to dla mnie moje dzieciństwo. To obrazy, smaki i zapachy z tamtego okresu. To dzień powszedni wśród ludzi, których znam coraz bardziej. Mam nadzieję, że to, co się tu wydarzyło, zapadnie głęboko w mojej pamięci i zdołam to przekazać moim dzieciom. Nie wiem, jak potoczy się moje życie. Być może kiedyś stąd wyjadę, gdzieś daleko założę rodzinę, ale wtedy będę tu wracać - do mojej babci i rodziców, którzy kiedyś będą, podobnie jak dziadzio Wiesio i babcia Zosia, ukochanymi dziadkami dla moich dzieci. Mam nadzieję, że dla nich Gościeradów będzie miejscem tak samo magicznym, jak był dla mnie kiedyś.

*Kaja Karkusiewicz  
A.D. 2010*

## Dlaczego pałac w Gościeradowie ma trzy kolumny – między prawdą a legendą



OLEJNY DZWONEK...

Ciekawe, co teraz mamy?

Zerknęłam w plan lekcji.

HISTORIA!!!

Taaaak... 45 minut twarzą w twarz z przeszłością... dość dawną...

Nie ma nic lepszego do robienia na siódmej lekcji...

Po dzwonku weszliśmy krokiem strudzonego wędrowca do klasy i po chóralnym „dzieeeńdoobryyy” wypowiedzianym głosem dziadów proszalnych z łoskotem opadliśmy na krzesła.

– Zapiszcie temat lekcji: „Kultura XVII–XVIII wieku”...

\*\*\*

Z drzemki wybudził mnie dzwonek i praca domowa:

– „Dlaczego pałac w Gościeradowie ma trzy kolumny?”

Człowieku, a skąd mam to wiedzieć?

Po przyjeździe do domu przekopałam cały Internet i przeszukałam wszystkie książki na ten temat, jakie miałam w domu. Nic nie znalazłam.

„Może... może w pałacu znajdę odpowiedź?”

\*\*\*

15 minut później spacerowałam wokół pałacu Prażmowskiego. Droge oświetlały mi lampy i światła z pałacu. Zapadał coraz większy mrok. Ponad kolumnami z bielą pałacu kontrastował napis: „Res sacra miser”. „Nędzarz rzeczą świętą” – pomyślałam. Z rozmyślań wyrwał mnie głos... głos skrzypiec...

Kto może teraz grać?

Wtem jakaś dziwna siła kazała mi wejść do środka. Początkowo bałam się, ale dziwne uczucie nie dawało mi spokoju. Powoli weszłam i drżącą ręką nacisnęłam klamkę. W środku... panował mrok...

\*\*\*

Po chwili urządzony z przepychem korytarz rozświetliły brylantowe żyrandole pełne świec. Marmurowa podłoga i ścienne ornamenty delikatnie błyszcząły w ich świetle. Trzeba przyznać, że Eligiusz Prażmowski miał gust. Wtem znów usłyszałam głos skrzypiec. Gdy zaczęłam iść za ich dźwiękiem, poczułam, że mam na sobie... sukienkę. Jednak w tym momencie nie to było najważniejsze. Melodia dochodziła zza lekko uchylonych drzwi, na końcu korytarza. Ciekawość nie dawała mi stać w miejscu, więc delikatnie pchnęłam drzwi.

\*\*\*

Za drzwiami znajdowała się ogromna sala, ozdobiona złotem i marmurami. Stały w niej: stół i obite jedwabiem fotele. Na jednym z nich siedział ubrany po francusku mężczyzna, który grał na skrzypcach. „Hrabia Eligiusz Prażmowski” – pomyślałam – „I to ma być ten chciwiec i dziwak? Jednak muszę przyznać, że jest bardzo muzykalny.” Kiedy tak myślałam, hrabia przestał grać i odwrócił się w moją stronę.

– Panienko – zaczął – jak zagrałem?

Akurat tę melodię Jana Sebastiana Bacha znałam na pamięć, a w wykonaniu starosty była naprawdę wspaniała.

– Przepięknie – odpowiedziałam nieśmiało.

– A panienka właściwie do kogo?

– Właściwie to do pana, mości starosto.

– Naprawdę? A więc słucham.

– Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego pałac ten ma trzy kolumny?

– Nikt mnie o to nigdy nie pytał, ale chętnie panience o tym opowiem. Wszystko zaczęło się pod koniec budowy pałacu...

\*\*\*

Obowiązkiem każdego szanującego się szlachcica jest organizowanie balów, kuligów, przyjęć... Bale takie trwały nawet dwa tygodnie. Chciałem, by każdy, kto był na moim balu, miał po nim „pamiątkę”. Długo myślałem nad tym, czym można by obdarowywać gości. Nie

chciałem wydawać pieniędzy na różne upominki. W zupełności wystarczyło to, co wydawałem na uczty. Kiedy tak nad tym myślałem, przyszło wybrać liczbę kolumn do pałacu. Pokazano mi projekty budowy... i nagle mnie olśniło! Zauważ, panienko, iż każdy ze znanych pałaców i dworów ma parzystą liczbę kolumn – najczęściej dwie lub cztery. Ja postanowiłem postawić trzy kolumny. Każdy, kto wychodząc, nie uważał, dostawał „pamiątkę”. Proszę się domyśleć, jaką... Może to nie było zbyt miłe, lecz mój zamiar się udał. I dlatego właśnie mój pałac ma trzy kolumny.

No, nie pomyślałabym...

– Przepraszam, ja tak tutaj mówię, a może panienska jest zmęczona, głodna? Chętnie panienkę ugoszczę.

– Nie chciałabym robić kłopotu...

– Ależ to żaden kłopot. Jak to mówią – gość w dom, Bóg w dom.

– A cukier do szafy – wyszeptałam.

– Coś panienska mówiła?

– Nie, nic...

\*\*\*

Po sytej kolacji służąca zaprowadziła mnie do obszernej sypialni. Na środku stało ogromne, wysokie łóżko, pełne poduszek, z kotarami zwisającymi do samej ziemi. Na łóżku leżała biała koszula nocna. Przebrałam się w nią – pasowała jak ulał. Starosta miał rację – dopiero teraz poczułam, że jestem zmęczona. Położyłam się do łóżka i przykryłam kołdrą. Nie wiem, kiedy zasnęłam...

\*\*\*

Kiedy otworzyłam oczy, stałam przed pałacem. Co to było? – pomyślałam – Nie wiem, chyba jednak mam pracę domową z historii.

\*\*\*

– Dominika, czy mogłabyś przeczytać pracę domową? – spytał nauczyciel.

– Oczywiście.

Moja praca wzbudziła śmiech i bardzo się wszystkim podobała.

– Nie wiem, jaką ocenę mam ci postawić; myślę, że zasłużyłaś na piątkę. Co ty na to?

– Jakże miałabym się nie zgodzić? – zaakceptowałam propozycję nauczyciela.

– Powiedz mi jeszcze jedno: skąd to spisałaś? – spytał nauczyciel.

Przecież nie powiem mu prawdy! Miałam powiedzieć, że starosta mi to opowiedział? Wysłałabym na niezrównoważoną.

– Eeee, czytałam różne książki, jednak nic tam nie znalazłam, więc domyśliłam się, że tak mogło być.

– Ciekawe...

\*\*\*

Od tej pory, gdy mijam w drodze do domu pałac Prażmowskich, zawsze wspominam spotkanie z panem Eligiuszem. Chciałabym, żebyśmy się spotkali jeszcze raz. Może kiedyś znów usłyszę głos skrzypiec...

*Dominika Drdzeń*

*A.D. 2011*

## Moje dziedzictwo

**K**SIĘZOMIERZ TO NAJPIĘKNIEJSZA MIEJSCOWOŚĆ na terenie gminy Gościeradów. Uważam tak nie tylko dlatego, że tu mieszkam; myślę, że moje zdanie podziela wielu ludzi. Piękno mojej miejscowości tworzą nie tylko malownicze pejzaże, ale przede wszystkim jej wyjątkowy klimat. Każdy, kto chociaż raz tu był, na pewno wie, o czym myślę. Znajduje się tu wiele miejsc, szczególnych miejsc, świadczących o religijności tutejszych mieszkańców oraz będących świadectwem dziedzictwa, jakie po nich zostało. Są to głównie przydrożne krzyże, kapliczki i grotty, jak również dwa najważniejsze: „Pole Zjawienia” i Sanktuarium Matki Bożej Księżomierskiej. Nieustający kult Maryi sprawia, że do sanktuarium przybywają pielgrzymi z odległych zakątków Polski. Tu również mają swoje miejsce postoju wędrowcy udający się na Jasną Górę podczas sierpniowej pielgrzymki.

Z kultem Matki Bożej, pielgrzymowaniem do niej oraz symbolami religijnymi wiąże się także historia mojej rodziny, którą w pewien zimowy wieczór opowiedziała mi moja babcia. Zaczyna się właśnie tu: w Księżomierzy, bo to właśnie tu się wydarzyło, stąd wywodzą się korzenie mojej rodziny. Moja prababcia Julianna, chcąc przeżyć szczególne rekolekcje w drodze, postanowiła udać się na pielgrzymkę do Częstochowy. W drogę na Jasną Górę wybrała się z grupą pielgrzymów, która liczyła dwadzieścia pięć osób, wszyscy oni byli mieszkańcami Księżomierzy. Pielgrzymka odbywała się w 1923 roku i trwała dwanaście dni; prababcia miała wówczas 18. lat. Po mszy dla pielgrzymów na Jasnej Górze Julianna postanowiła kupić jakąś pamiątkę. Były one sprzedawane na straganach przy klasztorze. Prababcia długo nie mogła zdecydować się, co kupić. Na stołach leżało wiele obrazków świętych, różańców i krzyży. Julianna pragnęła nabyć coś wyjątkowego, ale miała niewiele pieniędzy, mogła więc kupić tylko jedną rzecz. Przy podejmowaniu decyzji pomagał jej jeden z pielgrzymów. Prababcia kupiła drewnianą pasyjkę. Była nieduża, ale miała w sobie coś, co zwróciło jej uwagę. Na skromnie zdobionym krzyżu widniała metalowa postać ukrzyżowanego Chrystusa. Obok krzyża znajdowało się drewniane drzewko z przechylonym z stronę Jezusa wierzchołkiem, jakby w ukłonie dla Niego. Julianna pomyślała, że ta wyjątkowa pasyjka na pewno ochroni od nieszczęść jej rodzinę.

Podczas powrotnej drogi zaprzyjaźniła się z tym młodzieńcem, który pomógł jej wybrać tę wyjątkową pamiątkę, miał on na imię Piotr. Po męczącej podróży dotarli z powrotem do Księżomierzy. Mimo że wspólna wędrówka skończyła się, młodzi nie chcieli się rozstać. Ich znajomość przerodziła się w miłość. Po powrocie prababcia postawiła pasyjkę w domu na komodzie. Kiedy na nią patrzyła, wspominała trudy pielgrzymki, ale i umiłowanego pielgrzyma. Przy tej pasyjce dwa lata później Piotr oświadczył się Julii. Byli zgodnym i szczęśliwym małżeństwem, dochowali się córki i syna.





Nadeszły burzliwe czasy wojny. Kiedy niemiecki okupant zbliżał się do wsi, trzeba było szybko uciekać z domu, by chronić swoje życie. Ludzie ewakuowali się do pobliskiej miejscowości Dzierzkowice. Każdy zabierał, co miał pod ręką, nie było czasu na planowanie ucieczki. Pradziadkowie zdążyli zabrać jedynie rzeczy osobiste, a wśród nich pasyjkę, która ochroniła ich później przed nalotem niemieckim. W końcu wojna skończyła się i nastały spokojne czasy. Pasyjka i modlitwy przy niej ochroniły moją rodzinę. Niestety, parę lat później jeden z członków rodziny zachorował na zapalenie opon mózgowych. I znowu w tych trudnych chwilach pomogła pasyjka i modlitwy przy niej. Zięć mojej prababci odzyskał zdrowie, co przypisywano cudownej sile płynącej z drewnianej figurki.

Pasyjka od lat strzegła naszej rodziny, była stawiana na stole w czasie burzy, aby ochronić mieszkańców domu przed piorunami. Zawsze widniała w honorowym miejscu i otaczana była szacunkiem i czcią. W 1966 roku mój dziadek z prababcią zbudowali nowy dom i w Wigilię Bożego Narodzenia wprowadzili się do niego. Przenieśli też pasyjkę do domu, by moi dziadkowie czcili ją i aby nadal chroniła przed nieszczęściami i chorobami członków naszej rodziny. W 2005 roku, kiedy wraz z rodzicami wprowadzaliśmy się do nowego domu, babcia przekazała nam tę figurkę na szczęście. Teraz stoi ona na honorowym miejscu w moim domu. Patrząc na nią, przypominam sobie historię opowiedzianą mi przez babcię o moich przodkach. Często myślę o tym, że połączyła ich miłość do Maryi i wspólne pielgrzymowanie do niej. Dlatego tak bardzo cieszę się, że mieszkam w miejscowości, którą Ona wybrała sobie na miejsce swojego Sanktuarium.

Cudowna pasyjka zakupiona w Częstochowie przez moich pradiadków strzeże mojej rodziny od wielu lat i nadal będzie przekazywana z pokolenia na pokolenie. Kiedyś będzie służyła rodzinie, którą ja założę.

*Marcin Mozgawa  
A.D. 2011*

## Wspomnienia i przeżywane tradycje w mojej rodzinie

**W**IOSNĄ 1935 ROKU PRZYJECHALIŚMY z rodziną do Gościeradowa ze wsi Stróża położonej za Kraśnikiem. Było nas pięcioro: rodzice – Kunegunda i Andrzej, babcia Wiktoria, ja (miałam 3 i pół roku) i brat – Bogusław (2 i pół roku).

Zamieszkaliśmy w okazałym na ów czas budynku czterorodzinnym. Osiedlenie nasze było wcześniej uzgodnione z dziedzicem obszernych dóbr gościeradowskich. Budynek z czerwonej cegły, który stoi do dziś, a ostatnio mieścił się tam posterunek policji. W tym to budynku w roku 1935 zamieszkiwały 4-rodziny rzemieślnicze: kowal, stolarz, rymarz i karbowy. Wszyscy pracowali u dziedzica Ciechomskiego. Kowal – Jan Krajewski, rymarz – Ignacy Lechocki, karbowy – Jan Sajecki i stolarz – Andrzej Marzec – mój ojciec. Mężczyźni ci pracowali dla potrzeb dworu u dziedzica, który prowadził duże gospodarstwo rolno – hodowlane.

Ale nie o to chodzi.

Chciałam opowiedzieć, jak się przedstawiały różnego rodzaju tradycje w mojej rodzinie, które zapamiętałam już od 4 roku życia.

Tata prowadził duży warsztat stolarski. Z kilkoma pomocnikami wykonywał różne prace z dziedziny stolarstwa na rzecz dworu, na czele którego stał dziedzic dóbr – Ciechomski.

Mama – Kunegunda razem z babcią Wiktorią zajmowała się prowadzeniem domu i wychowaniem dzieci. W grudniu 1935 roku powiększyła się nasza rodzina, mama urodziła córkę. Na chrzcie nadano jej imię Teresa.

Babcia Wiktoria, mama mojej mamy, zajmowała się przyrządzaniem posiłków i gospodarstwem w podwórku. Mieliśmy krowę, zawsze 2 świnki i kilka kur, wyłącznie na własne potrzeby. No właśnie – babcia. Nazywaliśmy ją: Wikcią, Wiką, Wikciunią, różnie w zależności od sytuacji. Ona była w domu najważniejsza, razem ze swoimi tradycjami.

Nadchodziły Święta Bożego Narodzenia, a wraz z nimi: przygotowanie jedzenia, sprzątanie, ubieranie choinki, szykowanie potraw na wieczerzę wigilijną. Choinkę ubieraliśmy w Wigilię rano. Zawsze rano, bo taka była tradycja, nigdy wcześniej. Stół do wieczerzy wigilijnej nakrywaliśmy zawsze białym obrusem, bo taka była tradycja.

Pod obrusem babcia rozścielała sianko, dlatego bo Pan Jezus urodził się na sianie w stajence, a Matka Boska przykrywała go białymi pieluszkami. Kolacja wigilijna składała się zawsze z 12-stu potraw. Potrawy wigilijne były przygotowywane wyłącznie z olejem rzepakowym tłoczonym w prywatnych olejarniach u chłopów. Na stole, na honorowym miejscu, na białym talerzu leżał opłatek. Przed kolacją odmówiliśmy wspólną modlitwę i łamaliśmy się opłatkiem, składając życzenia. A potem już oczekiwana kolacja:

1. Kapuśniak z grzybami i przypieczonymi ziemniakami.
2. Kapusta z grochem.
3. Kasza jaglana z olejem i z cebulką.
4. Kasza gryczana z olejem i cebulką.
5. Barszcz czerwony z uszkami z grzybów.
6. Kluski z makiem.
7. Racuchy.
8. Śledź.
9. Karp.
10. Kutia.
11. Kompot z suszu owocowego.
12. Kluski z kompotem z suszu.

Tradycyjnie po zakończeniu kolacji wigilijnej razem z całą rodziną śpiewaliśmy kolędy. Babcia brała wtedy swoją starą „kantyczkę” z kolędami i nuciła z nami. Tradycyjnie uwieńczeniem śpiewania kolęd była prośba do taty, aby „solo” wykonał swoją ulubioną kolędę pt. „Bracia patrzcie jeno”. Tata śpiewał grubym „basem” i głośno. Cała rodzina wpatrzona w tatę słuchała jego śpiewu, a on był dumny jak paw. Po kolędach sprzątanie ze stołu. Babcia tradycyjnie zebrała resztki po kolacji z przeznaczeniem dla zwierząt, a pozostali szykowali się na pasterkę.

Drugi dzień świąt to obchody Świętego Szczepana. W tym dniu tradycyjnie nosi się ziarno do poświęcenia, aby plony były wydajniejsze. Ziarna święci się na mszy świętej zwanej „sumą”. Babcia Wiktoria już wcześniej uszyła sobie kilka woreczków na ziarno. Wsypywała po trosze w woreczki: pszenicę, proso, len i jęczmień, bo to zboże najczęściej tato siał na naszej działce. Po poświęceniu ziarna babcia mieszała je z ziarnami przeznaczonymi do siewu. Tradycja ta miała na celu to, aby lepiej zaowocował zbiór z zasianego ziarna.

Nadchodził 6 stycznia – Święto Trzech Króli. Na ten dzień babcia Wiktoria piekła nam tzw. – „szczodraki kołaki” zawsze jednakowo przygotowane. Były one bardzo smaczne, fikuśne i śmieszne, powykręcane w różne strony zrobione ze słodkiego i chrupiącego ciasta drożdżowego.

Karnawał. Zawsze w karnawale rodzice brali udział w zabawach organizowanych przez koło gospodyń i kółko teatralne, do których należała mama. Na koniec karnawału obydwie koła organizowały tzw. kusaki. Były to różne zabawy rozrywkowe, przebieranki, chodzenie po domach i urządzenie różnych zabaw, przyśpiewek i śmiesznych historyjek.

Po środzie popielcowej, jak już ksiądz w kościele posypał nam głowy popiołem (bo zawsze z babcią chodziliśmy w ten dzień do kościoła), żyło się w umartwianiu, tak mówiła babcia. Nadeszły dni postu i przygotowania do Świąt Wielkanocnych. Czas spędzało się spokojniej. Zbliżała się wiosna, sprzątanie domu, bielenie ścian wapnem, wymiana słomy w siennikach do spania.

Potem Wielki Tydzień. Modlitwy w kościele w Wielki Czwartek i w Wielki Piątek. Babcia zabierała nas ze sobą do kościoła. W Wielką Sobotę, święciło się pokarmy w koszyczkach, a przedtem pisało się pisanki. Pisanie i malowanie pisanek babci wychodziło znakomicie. Z blaszek wyciętych z przykrywek pasty do butów babcia robiła małe lejki, które oprawiała na patyku. W lejki wkładała воск i podgrzewała przy palącej się świecy. Manipulowała tym lejkiem po jajku i wychodziły jej różne piękne wzory i kwiaty namalowane przez ciepły воск. Jajka potem gotowaliśmy w roztworze z łusek cebuli i wywarze z zielonego szczypioru żyta. Pisanki były śliczne i kolorowe. W Wielką Sobotę pisanki przystrajały koszyki z jedzeniem przygotowanym do poświęcenia. W koszyczkach znajdował się chleb, chrzan, ocet, kiełbasa, jajka i pisanki oraz tradycyjna lukrowana babka.

Śniadanie wielkanocne, po uprzednich modlitwach w kościele, spożywaliśmy razem z całą rodziną. Na stole czekał koszycek ze święconką, a obok na talerzu połówki jajek święconych z chrzanem i posolonych święconą solą. Potem modlitwa i tato częstował rodzinę jajkiem. Przy spożyciu jajka składaliśmy sobie wzajemne życzenia. Na śniadanie jedliśmy barszcz biały z kiełbasą, chrzanem i jajkiem ze święconki.

W drugi dzień Świąt Wielkanocnych odbywał się tradycyjny śmigus dyngus. Tata zawsze, kiedy jeszcze byliśmy w łózkach, polewał nas wodą, było śmiesznie i hałaśliwie. A potem lanie się sikawkami z koleżankami i kolegami na powietrzu.

Wspomnę jeszcze, jak w naszym domu odbywało się pieczenie chleba. Tata zrobił w swoim warsztacie stolarskim okazałą dzieżę do przygotowania ciasta na chleb. Dzieża zrobiona była z klepek sosnowych ściśniętych dwoma żelaznymi obręczami, szeroka u dołu, zwężającą się ku górze, ponad 50 cm wysoka. W takiej dzieży z mąki żytniej spytlowanej przez tatę we młynie, z żyta, które tato otrzymywał od dziedzica dworu jako tzw. „ordynaria”, babcia Wiktoria miesiała ciasto na chleb na zakwasie z poprzedniego pieczenia. Babcia wiedziała, ile trzeba zużyć mąki na ciasto, aby z niego uformować sześć okazałych bochenków chleba, bo tyle mieściło się w naszym piecu. Trzon pieca wykonany był z dużych płyt ognioodpornych, paliło się drewnem sosnowym, grabowym i brzozowym, mieszanym. Przy okazji babcia piekła nam podpłomyki, które smacznie zjadaliśmy z mlekiem, zaraz po ostygnięciu. Jak już piec był dobrze rozgrzany, a węgle już nie dymiły, babcia wygarniała je „kosiubą” – taki rodzaj haczki namoczonej w wodzie, aby łatwo się nie zapaliła przy wygarnianiu rozżarzonych węgli. Potem „pomiotem” zrobionym ze słomy osadzonym na długim kiju, też namoczonym w wodzie, wymiatała resztki popiołu z pieca, aby był czysty do pieczenia chleba. Następnie na okrągłej łopacie z drewna babcia formowała bochenki chleba. Nie wolno było wtedy otwierać drzwi, aby piec się nie studził. Łopata była osadzona na długim okrągłym drążku. Chleby przed wypiečeniem zostawały jeszcze wymuskane przez babcię dłońmi maczanymi w lekko osłodzonej ciepłej wodzie z dolewką czarnej kawy „abisynki”. Dawało to piękny kolor skórki na chlebie po upieczeniu. Każdy bochenek był oznaczony krzyżem z dołkiem na środku zrobionym palcem. I tak to przygotowanych sześć bochenków chleba zamykało się w piecu na żelazne drzwiczki, bardzo szczelne. Po godzinie babcia przesadzała chleb. Bochenki z przodu szły do tyłu, a te z tyłu do przodu, aby się równo upiekły i po 1 godzinie i 50 min do 2 godzin chleb był upieczony. Pieczenie chleba w naszej rodzinie odbywało się co 2 tygodnie. Przy napoczęciu każdego bochenka chleba babcia żegnała go krzyżem. Dzieży się nie myło, tylko dokładnie wyskroby-

wało resztki ciasta, z którego formowany był zakwasek na następne pieczenie, a następnie posypywało się ją mąką, aby się osuszyła.

Na zakończenie krótko opiszę najbardziej ulubione zajęcie mojej babci Wiktorii – sianie i uprawianie lnu. Na wyznaczonym poletku na naszej działce babcia siała len i proso. Proso wiadomo, na kaszę jaglaną, która była częstą potrawą w naszej kuchni podawaną pod różnymi postaciami. Len to cała procedura uprawy. Len i proso babcia siała sama, ręcznie, bardzo dokładnie i równo rozrzucając nasionka po polu. Widok kwitnącego lnu na działce był piękny - cała połać błękitu. To drobne jasnoniebieskie kwiatuszki dawały ten błękitny widok. Dojrzały len pomagaliśmy babci rwać ręcznie i wiązać w małe snopeczki. Nasienie w szypułkach musiało dobrze podeschnąć, aby można je było dobrze wymłócić, otrzymując ziarenka na następny zasiew. Potem len został namoczony w płytkim stawie na podeście z desek, aby łodygi skruszały. Len leżał pod obciążeniem, by się nie rozsunął do wody. Po 2 tygodniach wyjęty z wody ponownie wiązaliśmy w małe snopki i musiał wyschnąć. Po wysuszeniu odbywało się międlenie. Przyrząd do międlenia – tzw. międlarkę zrobił tato w stolarni. Wysuszony len babcia międziła oddzielając włókno od łodygi. Paździerz spadało na dół, a włókno skręcało się w motki. Później następowało czesanie, które miało na celu oczyszczenie włókna. Ta czynność odbywała się na specjalnym grzebieniu zrobionym przez tatę z małych goździków na deseczce z rączką. Oczyszczony len, też wiązany był w motki. Następnie trzeba było się zająć przedzeniem nici. Tato zrobił babci prawdziwą „kądziel”. Była to deska dość szeroka, starannie obrobiona i wyheblowana na okrągło, a w niej z jednego brzegu umocowany był kołek z osadzonym u góry krążkiem. Na tym kołku powyżej krążka babcia umieszczała włókno lniane, ładnie uformowane i zaplątane, aby nie opadało przy przedzeniu. Następnie babcia brała do rąk wrzeciono - takie drewnienko około 50 cm długie, cieniutkie u góry, aby nim było dobrze w palcach kręcić i obracać. Na dole wrzeciona były wytłoczone zgrubienia, aby nici nawijane przy przedzeniu nie osuwały się. Podczas przedzenia babcia bardzo często śpiewała lub nuciła sobie różne melodie, przeważnie religijne, a nici przybywało wtedy na wrzecionie. Wrzecion babcia miała kilka. Jak już wszystkie napełnione były nićmi, wtedy razem z babcią zwijaliśmy je w motki. Potem następowało gotowanie nici w ługu, aby wy-

biały, następnie suszenie i zwijanie na szpulki, które też zrobił tata w stolarni. Z nici, na drutach babcia robiła nam, dodając nitkę bawełny czy jakiejś innej włóczki, serdaczki, pończochy i skarpety.

Do dziś mam zdjęcie z całą rodziną, na którym mam 12 lat i jestem w pończochach zrobionych przez babcię z nitką lnianą. I tak zamykają się wspomnienia z moich dziecinnych lat z rodzicami i babcią Wiktoria.

*Kazimiera Florek*

*A.D. 2012*

## Jak się w Szczecynie przed laty żyło i co tutaj się wydarzyło

ZCZECYN TO WIOSKA ŚREDNIEJ WIELKOŚCI licząca około pięćset mieszkańców i około stu pięćdziesięciu zamieszkałych gospodarstw. Szczecyn położony jest na terenie gminny Gościeradów. To wielka równina, otoczona z trzech stron lasami, od wschodu, zachodu, południa, a od północy teren jest górzysty i otwarty z drogą dojazdową do Gościeradowa. Szczecyn otoczony jest zielenią, łąkami i polami, teraz zarośnięty gaikami młodych brzoźek sosen. A w połowie drogi do Gościeradowa rozciąga się teren górzysty zwany „Kamienią Górą” i przechodzi na wschód prawie pod Salomin, cały ten ciąg górzysty nazwany jest „Szczeckie Doły”. Pozostała część zalesiona wschód – zachód – południe w całej równinie łączy się z lasami janowskimi i lipskimi. W Szczecynie nie ma rzeki, ale na łąkach wypływa wiele źródełek, tuż przed wsią od północy przeobrażają się w niewielki strumyczek spływający rowem melioracyjnym do rzeki Karasiówki w lesie w stronę Kosina na zachód. Bardzo dawno temu, na początku ostatniego stulecia mieścił się w samym środku Szczecyna Wielki Dwór zwany Folwarkiem w Szczecynie na całej długości i szerokości pól i łąk należących w obecnej chwili do wsi Szczecyna. Dwór był własnością hrabiego Suchodolskiego. Tak jak inne folwarki na terenie gminny Gościeradów. Po śmierci hrabiego Suchodolskiego, którego pomnik pamięci znajduje się na cmentarzu w Gościeradowie, pieczę nad folwarkiem objął w Szczecynie nowy, młody, wykształcony pan i zarządca o nazwisku Kielczewski. Sprowadził się do Szczecyna z całą rodziną aż z Warszawy. Nowy pan zaczął wprowadzać nowe rzędy, nowe maszyny, nowe rośliny wprowadził do uprawy i nowe nawozy. Chociaż piaszczysta ziemia, ale rodziła dzięki nim wspaniałe plony, dające tym same korzyści. Pan był bardzo życzliwy chłopom, którzy pracowali na polach pana odrabiając pańszczyznę, dając im dobry przykład, uczył ich, jak dobrze gospodarzyć. I tak upływały lata, zmieniały się rzędy, aż do zniesienia pańszczyzny. To też i folwark w Szczecynie rozparcelowano, oddając ziemię chłopom. Chłopi przeszli wielkie szkolenie przez pana Kielczewskiego i zaraz zabrali się do pracy, każdy na swoim. Żyło im się nieźle, gospodarstwa przynosiły wielkie korzyści. Bo w polu się rodziło, można było



rozwinąć hodowlę zwierząt, która to hodowla przynosiła duże korzyści, można było świetnie wyżywić się z rodziną, a nawet odłożyć gotówkę, można było też powiększać i rozbudowywać swoje zagrody. Budowano więc domy i budynki gospodarcze, a dzieci odchodziły od rodziców i budowały swoje domy i powstawały całe nowe gospodarstwa. W niedługim czasie z sześćdziesięciu gospodarstw zrobiło się sto dwadzieścia i bardzo dobrze zaludnione. W każdym prawie gospodarstwie żyło trzy pokolenia. Dziadek, babcia, młodzi rodzice i kilkoro dzieci. Wszystko się rozwijało i szło w dobrym kierunku. Nawet spokojnie się już żyło, lecz to się właśnie tu wydarzyło.

Na początku roku 1904 w marcu wybucha w Szczecynie wielki pożar przez zaproszenie ognia u gospodarza Stanisława Gałuszkiewicza, który mieszkał za połową wsi. O parę domów w kierunku na zachód. Nie było żadnego ratunku, gospodarstwo przylegało blisko do sąsiedniego gospodarstwa i tak po kolei. A wszystkie gospodarstwa były budowane z drewna, a poszycie dachowe wykonane ze słomy. Słoma to bardzo łatwopalny materiał. Nie było straży, tylko paru gospodarzy z drewnianymi wiadrami, którzy czerpali wodę ze studni jak mogli, tak ratowali, polewając wodą. Ale, na dodatek, zerwała się wielka burza, a pożar powiększał się z minuty na minutę. Wichura nasilała się bardzo ze wschodu na zachód, niosąc za sobą „świchuty” słomy z ogniem i coraz zapalało się nowe gospodarstwo, raz bliżej, raz dalej. A ogień szalał ogromnie, że biedni ludzie, łapali swoje młode dzieci lub jakiś tobolek z pościelą albo ubraniem. Niektórzy gospodarze zdążyli wypuścić zwierzęta z obory, a niektórzy uciekali tylko z duszą i ciałem. Bo już w kilka minut płonęła cała połowa wsi na zachód nie można było uratować niczego. Całe łąki na zachód zawałane były dymiącymi „świchutami” słomy wyrwanej z płonących dachów, a na spaleniskach leżały kopy gruzu zawałonych przez burze kominów. Wielka burza wywiała nawet popiół aż pod Wólkę Szczecą i pod las w kierunku Kosina. Wypaliły się drzewa owocowe z sadów i ogrodów przydomowych. Nastaly dni smutku, a zbliżały się Święta Wielkanocne. Dużo ludzi miało rodziny w tym niespalonym końcu wsi od wschodu i na Palmową Niedzielę każdy, kto mógł, przygarnął jedną rodzinę pogorzalców do siebie. Nie wszyscy byli bogaci, ale kto czym miał, dzielił się z biednymi pogorzelcami. Którzy gospodarze wyratowali swoje bydło lub konie, też dla nich potrzebowali jedzenia

i schronienia. Niektórym spaliło się wszystko. Potrzebowali pościeli, ubrania i żywności. Ci, którzy mieli, dzielili się wszystkim, co mieli. Święta Wielkanocne przeminęły we łzach i smutku. Nastawała wiosna, czas prac w polu, a ludzie nie mieli czym obsiać pól, bo zboże się wypaliło, ani ziemniaków, bo się upiekły resztki w dołach, które były z drewna i słomy budowane. Każdy był zależny od swojego gospodarza, u którego mieszkał. A starsi ludzie mówili, że ich Pan Bóg pokarał jak Sodomę i Gomerę. Ludzie zostali bez domów, bez jedzenia, ubrania i bez pieniędzy. Toteż chodzili i prosili o wsparcie, które zwykle dostali w formie zboża na zasiew, ziemniaków do sadzenia albo gotową żywność. Jak kogo było stać, pomagali też ludzie z innych wsi i przyszło z pomocą Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności za sprawą pana Kiełczewskiego. Niektórzy mężczyźni wsparci przez rodzinę, zostawiając żonę i dzieci u krewnych, wyjeżdżali. Aby zarobić pieniądze na odbudowanie gospodarstwa, jechali do Ameryki, Niemiec, gdzie tylko można było zarobić większy grosz.

Mieszkańcom Szczecyna wciąż się ciężko żyło. Ale cóż – to właśnie tu się wydarzyło...

*Michał Ziółkowski*  
*A.D. 2012*

## Jak to dawniej u nas bywało

**C**HCIAŁABYM PRZYBLIŻYĆ KILKA ZWYCZAJÓW I TRADYCJI, jakie obowiązywały w latach mojego dzieciństwa. Opiszę też, jak ludzie radzili sobie z utrzymaniem jedzenia i z przetwarzaniem, aby można było dłużej przechowywać.

Cały rok hodowało się świnie, aby było co zabić na Święta Bożego Narodzenia. Ponieważ dawniej nie było lodówek, więc świniobicie odbywało się w porze zimowej, kiedy już opadł śnieg, a na dworze temperatura spadła poniżej zera. Do świniobicia przygotowywano koryto, wyżłobione w grubym konarze drzewa najlepiej dębowego, wtedy koryto było mocne i długo służyło. Świniobicia dokonywał najsilniejszy mężczyzna w rodzinie uderzając świnie obuchem siekiery w czoło między uszy. Ten sam mężczyzna wkuwał później spiczasty nóż pod przednią łapę celując w serce. Krew, która wypłynęła, łapana była w naczynie, a po ugotowaniu dokładano ją do robienia kaszanki. Zabitą świnie polewano gotowaną wodą i mężczyźni nożami ściągali z niej sierść w celu oczyszczenia. Następnie wieszano ją łbem do dołu na wcześniej przygotowanym wieszaku i znowu polewano wodą, aby dokładnie umyć. Po tych czynnościach rozcinano brzuch, aby wypróżnić wnętrzności. Wtedy to kobiety zajmowały się rozdzielaniem i oczyszczaniem jelit. Jelita grube służyły do wypieku kaszanki, a cienkie do wyrobu kiełbas. Po odcięciu łba jeden z mężczyzn zaraz zajmował się oczyszczaniem i przygotowaniem go do gotowania. Później z niego wyrabiany był salceson. Pozostali mężczyźni zdejmowali z wieszadła i układali rozcięte połówki w korycie, aby rozebrać ją na poszczególne asortymenty: słoninę, boczki, żeberka, mięso od kości, schab od żeberek, karczek. Boczki, szynki, balerony, polędwice wkładano do marynaty, która była przygotowana w dużym garnku z solą, liściem, zielem angielskim i majerankiem. Żeberka owędzano w wędzarce. Mięso mielono na grubej siatce na kiełbasy, a słoninę układano w korycie i solono krojąc na odpowiednie paski. Soli nie żałowano, gdyż potem, kiedy nasłoniała, wieszano ją na tyczce, wiążąc sznurkami. Tak przygotowana słonina mogła wisieć cały rok, aż całkiem zżółkła. Sadło tak samo jak słonina przygotowane, soląc i zwijając w rulon, następnie wiązano sznurkami i wieszano do osuszenia, aby dłużej można było je przechowywać. Natomiast z nóg,

ogona i uszu gotowano galaretę. Kości wcześniej osolone palono w piecu, aby osuszyły się i upiekły. Potem układano je w korycie, aby długo poleżały, by mieć do gotowania zup, barszczu czy kapuśniaku. Nic się nie psuło, wszystko było odpowiednio zakonserwowane. Kielbasy, jeśli było dużo, układano w glinianym garnku i zalewano smalcem, by mogły długo postać. W każdym domu musiała być spiżarnia zwana „anklirzem”, gdzie te wszystkie przetwory były ustawiane lub wieszane. Były tam worki z mąką na chleb, placki i kluski, worki z kaszą gryczaną, jęczmienną i jaglaną, worek z grochem, beczka z kiszoną kapustą i różne inne przetwory, które zostały we własnym gospodarstwie wyprodukowane. Kiedy już wszystkiego nagromadzono w spiżarni, zostało jeszcze bicie oleju z rzepaku. W każdej wsi znajdowała się taka maszyna do wyciskania oleju, toteż przed świętami czyniono tę powinność, by później go nie zabrakło. Rodziny liczyły wówczas wiele osób (dziadkowie, rodzice i dzieci), więc często jadło się olej w najprostszej postaci, tj. wlewano go do miski, siekano cebulę, solono po wierzchu, a gdy cebula zmiękła i moczyło się chleb w oleju, zającą smacznie. Na co dzień jadło się na ławie. Stawiano strawę w misce, rodzice siadali na końcach ławy, a dzieci poklekały wokół i wszyscy jedli z jednej miski, chyba że dziadek z babcią jedli z jednej, ale osobnej miski.

Kiedy nadszedł dzień Wigilii, obowiązywały pewne obrzędy, których rodzina ściśle przestrzegała. A więc w tym dniu nigdy mama nie robiła śniadania, cała rodzina łamiąc się opłatkiem była na czczo i godnie brała opłatek do ręki. Oczywiście jeśli było małe dziecko dostawało butelkę mleka lub kaszy manny. Reszta rodziny musiała wytrwać i pomagać w przygotowaniu do Wigilii. Był też zwyczaj, że kilka rodzin spotykało się przy stole wigilijnym. Spotykali się wujkowie i ciotki z rodzinami, zależy z której strony rodzina była w pobliżu matki czy ojca. U nas, kiedy rodzice rano wstali, z kuchni wynosili meble, by zrobić miejsce do ustawienia jak największej ilości stołów, żeby cała zaproszona rodzina mogła usiąść do uroczystej kolacji. Kiedy już pusto było w kuchni, mama szorowała starannie podłogę, a dzieci pomagały wycierając ją szmatami do sucha. Ojciec w tym czasie szedł do lasu, żeby przynieść choinkę, bo zawsze ubieraliśmy ją w Wigilię rano. Sprzątało się też pokój i robiło miejsce dla choinki. Młodsze dzieci wiązały na nitki cukierki i ciastka wcześniej upieczo-

ne przez mamę i jabłka wiązane za korzonki, a starsze dzieci zawieszały to wszystko na gałązkach. Były jeszcze różne cacka i łańcuchy zrobione wcześniej z bibuły, aniołki, różne zwierzątka i lalki. Kiedy dzieci ubierały choinkę, tata, w tym czasie, znosił do kuchni na świeżą umytą podłogę snopki słomy, którą rozkładano na podłodze równiutko, aby zachować symbol stajenki, w której się narodził mały Jezusek. Potem już ustawiał na tej słomie stoły i ławy, ile się zmieściło. Zanim mama nakryła obrusem stół, tata równiutko rozłożył też sianko, które potem było pod obrusem. Kiedy stoły były już ustawione, ojciec ustawiał ławy, a mama zabierała się do zastawiania i gotowania potraw. Najpierw wstawiła wodę z suszonych owoców w największym garnku, aby wszystkim wystarczyło jako kompot. Wstawiała kapustę na pierożki i grzybki, potem wstawiała groch i kasze, barszcz i ziemniaki. Robiła też ciasto na racuchy. W domu unosiły się zapachy, a brzuch był taki głodny, że aż ścisnęło. Podjadało się czasami kromkę suchego chleba, gdy ktoś już nie mógł wytrzymać. Zapach krojonej cebulki do śledzików unosił się ponad wszystko, nie ustępując smażonym na oleju rzepakowym racuchom. Dzieci myły talerze i wszystkie potrzebne miski, garnuszki, szklanki i łyżki, które ustawiało się na stole i trzeba było liczyć, aby nie zabrakło nikomu. Jeśli chodzi o łyżki, to z domu każdy sobie przynosił swoją, bo jakoś tak dużo nie było, żeby dla wszystkich starczyło. Mama stawiała na stół po kolei, co było już gotowe. Najpierw chleb, a na chleb kładła opłatki, potem śledzie, racuchy, pierożki z kapustą i grzybami. Reszta potraw była rozkładana każdemu do talerzy. Potraw musiało być 12. Rodzina zaczęła się schodzić, głośnie tupanie butów rozlegało się za drzwiami. Śniegu było niemało, a mróz powodował, że śnieg trzymał się butów, więc trzeba było go obtupać. Dzieci biegały przodem, a krzyczały przy tym bardzo głośno. Zrobiło się gwarno, wszyscy zaczęli się rozbierać z palt, jesionek, kozuchów, chustek i czapek, które układano w pokoju na łózkach. Kopy odzieży rosły do sufitu. Na choince tliły się świeczki obsadzone na blaszanych lichtarzach. Każdy chwalił i podziwiał choinkę, jak to ślicznie wystrojona. Starsi zajmowali miejsca przy stole, a dzieci wybiegały przed dom, aby wypatrzeć pierwszą gwiazdkę. „Jest. Jest tam!” – roznosił się głośny krzyk dzieci, po czym głośniejsze jedno od drugiego krzyczały: „Wilku, wilku chodź na pośnik”. Słowo pośnik pochodziło od postnych potraw przygoto-

wywanych na Wigilię. Po czym wbiegały rozkrzyczane do domu, wyciszały się i zajmowały miejsca, każde przy swoich rodzicach. W Wigilię zbierało się od 30 do 40 osób: dziadkowie, rodzice i dzieci (pięć, sześć rodzin), a jeszcze ciotka bez rodziny, albo wujek, brat mamy, który nie założył rodziny. Dla wszystkich miejsca wystarczyło, przysuwali się do siebie na ciasno, żeby każdy mógł usiąść, by miał swoje miejsce. Jedno miejsce zwykle zostawało puste i talerz stawiano dla niespodziewanego gościa. Kiedy już wszyscy zajęli swoje miejsca, wtedy ojciec zaczynał pacierz, który odmawiano zanim zaczęto łąć się opłatkami: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Ojcze Nasz..., Zdrowaś Mario..., Pod Twoją Obronę...”. I wtedy łąano się opłatkami, każdy z każdym. Znów zrobił się gwar, bo wszyscy wyszli ze swoich miejsc i rozległo się na cały głos „Byśmy byli zdrowi, weseli jak w niebie anieli. Abyśmy doczekali do drugiego roku” i tak aż do ostatniej osoby, nie można było nikogo ominąć, wszyscy się przepraszaali, całowali, każdy musiał objąć się, poklepać po plecach na znak miłości i pojednania, żeby wszyscy zasiadający przy jednym stole byli pojednani i przeproszeni. Mama zaczynała nalewać do talerzy, a każdy trzymał łyżkę w ręce, by jak najszybciej zacząć jedzenie, bo każdy w tym dniu był bardzo głodny. Nalewała barszcz czerwony albo kapuśniak, a do tego były ziemniaki z cebulką podsmażaną na oleju rzepakowym. Potem był groch z wodą gotowaną z owoców suszonych, później kasza jaglana z taką samą wodą, kluski z makiem, śledziki z cebulką, smażone racuchy oraz pierogi z kapustą i grzybami. Po jedzeniu śpiewało się kolędy, najpierw „Wśród nocnej ciszy” a potem po kolei, jak leciało. Tak szło się też od domu do domu, aż do ostatniej rodziny, żeby nikogo nie minąć, każdy miał przygotowane takie same potrawy i takie obrzędy obowiązywały w każdym domu od pacierza, aż do śpiewania kolęd. Tylko w ostatnim już domu dopuszczane były wróżby, w zależności ile czasu zostało do pasterki. Pannienki liczyły dranki w płocie, czy będzie para w tym roku. Starsi wydzielali skąd dokąd trzeba policzyć albo przynosili brzemień drzewa spod szopy do policzenia. Różnie to było, raz była para, a raz nie. Nadśluchiowano skąd dobiega szczekanie psa, stamtąd miał przybyć kawaler. Potem szło się na pasterkę aż do Gościeradowa. Ciężko było iść, bo każdy był tak najedzony, że ledwo się ruszał, ale nic nie mogło być wtedy ważniejsze niż ta uroczysta nocna msza. Wróciło się póź-

niej i poszło się spać, bo rano trzeba było iść od nowa na mszę, bo już było Boże Narodzenie. Nie można się było wymigać od pójścia do kościoła w tym najważniejszym dniu roku, gdy Bóg się rodzi. Każdy powskakiwał w swoje ubranka, które wcześniej musiały być poskładane w kostkę, buty na kominie wysuszone, bo przecież był śnieg i buty w nocy namokły. Nie było mowy o śniadaniu przed wyjściem do kościoła, bo trzeba było trzy godziny być na czczo, aby można było przyjąć komunię świętą. Nikt nie protestował, każdy znał zasady i wyruszał w drogę. W kościele wszystkie dzieci stały przed „balustradą” i nie było możliwości, aby usiąść. Często też dzieci mdlały albo usypiały na stojąco, przewracały się i upadały na posadzkę. Wynoszono je z kościoła i po sprawie. Tak było, jak pamiętam kilka lat, aż wprowadzono w Kościele czas jednej godziny przed komunią wstrzymywania się przed jedzeniem. Kiedy wróciło się z kościoła przed południem, w domu już pachniało rosołem i różnymi smakołykami świątecznymi. Pamiętam, że w Boże Narodzenie często jadło się rosół z kaszą gryczaną. Bardzo smakowało, ale do dziś zastanawiam się, skąd się wzięła taka potrawa. Chyba mamie było wygodniej ugotować kaszę niż robić kluski. Na świątecznym stole było już pokrojone ciasto drożdżowe z makiem, jabłkami i cynamonem. Kruchowce były przekładane dżemem albo masą kakaową, wafle przekładane masą budyniową. Były też różne ciasteczka kruche, gwiazdki, księżycy, kółeczka z dziurką. Na drugim talerzu znajdowały się wędliny, które rodzice sami wyrabiali: kielbasa, boczek, salceson, pasztetowa, kaszanka. Takie to zapachy rozchodziły się po domu, że zajaśniało się z wielkim apetytem, nie trzeba było nikogo do niczego namawiać. Mama jeszcze przypiekała kaszankę z cebulką albo przygrzewała na patelni wcześniej upieczoną w piecu kapustę. Kiedy już wszyscy pojedli i popili gorącej kawy na mleku (kawa zbożowa nazywała się „Abi-synka”), wtedy już pozasiadali wokół pieca, w którym pykał palący się ogień, rodzice zapalili świeczki na choince i znowu śpiewaliśmy kolędy. Dzień Bożego Narodzenia był dniem rodzinnym. Nie wychodziło nigdzie w gości, ani gości się nie zapraszało się do domu. W takiej atmosferze ciepłej, cichej i świątecznej upływało Boże Narodzenie. Każdy już mógł wypocząć, najeść się do syta, wyspać się i nabrać sił, bo kolejny dzień Św. Szczepana też miał swój szczególny urok. Kiedy rano się wstawało, to już można było zjeść śniadanie. Potem

ojciec zabierał się do wynoszenia słomy z domu w takie miejsce na polu czy łące, gdzie zawsze rosło dużo ostów. Kiedy ojciec wyniósł już słomę, brał zapalki, podpalał słomę, a dzieci stawały blisko ognia, oczywiście zachowując bezpieczną odległość, aby się nie poparzyć i krzyczały na cały głos: „Oset! Oset! Powiedział ci Święty Szczepan, żebyś stąd poset”. Takie krzyki rozlegały się po kolei u wszystkich sąsiadów, aż każdy wypalił tę słomę, na której spożywana była kolacja wigilijna. Po tej tak ważnej ceremonii cała rodzina wybierała się do kościoła na sumę. Nie było mowy, aby w takim dniu nie być na mszy świętej. Szło się więc znowu pieszo 6 km do kościoła w Gościeradowie. Czasami ktoś jechał furmanką, to pozabierał dzieci po drodze w lotry. Kucnęło się i tak jechało zachowując ostrożność, żeby z lotrów nie wypaść, bo furman lunąłby jeszcze batem ze złości, że się nie trzymało lub wierciło. Nieraz się udało, że i z powrotem ktoś tam się zlitował i nas ze sobą zabrał. Po powrocie mama przygrzewała różne potrawy, które zostały jeszcze z Wigilii i z Bożego Narodzenia. Każdy coś tam dla siebie znalazł. Pojadło się, zagrzało i odpoczywało. Rodzice albo zapraszali gości do domu, albo przyjeżdżał furmanką jakiś wuj i zabierał wszystkich do siebie. Tam już popijali różne trunki, zakąszali przekąskami, były rozmowy, śmiechy, śpiewy. Dzieci co jakiś czas podchodziły do rodziców, by dostać jakąś kromkę z wędliną albo placka, nawet napić się lemoniady. Co jakiś czas rodzice wywoływali któreś dziecko, prezentując je jak to się dobrze uczy, jakie mądre i prosili, aby to dziecko zaśpiewało piosenkę, jakiej nauczyło się w szkole albo żeby wyrecytowało wiersz. Tak się ubawiali starsi i dzieci, aż kawał po północy taka gościna się kończyła. Wuj zaprzęgał konie i cała wiara zasiadała na wóz, po czym była odwożona do domu. Młodsze dzieci nieraz zasypiały i takie śpiące przynosili rodzice do łóżek, rozbierali i układali do snu. Dzień Św. Jana był też ważny jako święto Bożego Narodzenia. W kościele podawano wino na pamiątkę, że św. Janowi podano zatrute wino, ale Jan się nie zatrueł. I znowu z wielkiej ciekawości, jak smakuje wino, trzeba było znów pieszo przemierzyć tę 6 kilometrową trasę w tę i z powrotem, żeby można było zaczerpnąć łyk wina z kielicha, który podstawiał ksiądz. Pamiętam, jak pierwszy raz piłam wino, to sobie tak sobie kielich przytrzymałam rękami, a ksiądz czekał cierpliwie. Chyba bardzo mi się chciało pić. Ksiądz Feliks Kardas zapamiętał tę sytuację, bo jak chodził po



kolędzie, bardzo miło o tym mówił, że dzieci tak robią, żeby móc pociągnąć z kielicha kilka razy. Winko było pyszne, ale do dziś pijam je tylko w kościele. Święta Bożego Narodzenia były bardzo ważnym okresem w naszej rodzinie, ponieważ na co dzień ojciec zawsze pracował poza domem, a na święta wracał do nas. Dzieci wtedy miały wolne od szkoły, siadaliśmy wokół ciepłego pieca, a ojciec opowiadał nam bajki, czytał Pismo Święte lub bardzo ciekawą książkę pt. „Pro-roctwa Świętej Michaldy”. Jak pamiętam, już prawie wszystkie z tych proroctw się spełniły w ciągu mojego życia: kobiety zaczęły palić ma-sowo papierosy, zaczęły nosić spodnie, krótko ścinać włosy i malo-wać na różne kolory. Czasem też trudno rozpoznać – czy to kobieta, czy mężczyzna. Była też już migracja masowa młodzieży do miasta i powrót z miasta na wieś. Przy takiej lekturze nie nudziło się i szybko czas zleciał do sylwestra i Nowego Roku. Rodzice zawsze wychodzili z domu na sylwestra. Cały dzień mama przygotowywała jedzenie dla dzieci, żeby jak zostaną w domu, miały co jeść. Szykowała też dla siebie i ojca na wynos, bo takie zabawy polegały na tym, że składano się, aby było co na stół postawić. Sąsiad, jak grał na skrzypcach lub na akordeonie, to już było dobrze, zabawa na całego, każdy przyniósł jakieś trunki i bawiono się do rana. W Nowy Rok rano mama nale-wała wody do miednicy, a tata wrzucał do niej garść drobnych pienię-dzy. Najpierw twarz i ręce myli rodzice, a potem kolejno dzieci od najstarszego do najmłodszego. Zanim woda została wylana tata liczył drobniaki i każde z dzieci dostało swoją dolę. Za wiele tego nie było, bo było nas pięcioro, na szczęście byłam druga, to starszym zawsze tata rzucał więcej. W Nowy Rok, jak w inne święta, musowo było iść do kościoła, chyba, że wypadł jakiś trzaskający mróz. Wtedy ani ro-dzice nie szli, ani dzieci nie wysyłali ze względu na bezpieczeństwo przed przemrożeniem nóg czy nosa.

Zwykle do szkoły zaczynało się chodzić po Święcie Trzech Kró-li. Pamiętam, jak mama robiła wypieki na ten dzień. Nazywało się to „krzywe ciasto” tzw. „szczodroki”. Rozrabiała mama dużą miskę ciasta drożdżowego, paliła w piecu, zanim ciasto wyrosło to i piec się nagrzał. Potem przygotowywała brytfanki tzw. blachy, na których układała ciasto w kształcie ludzików, zwierzątek i takich tam różnych wywijasów – „esów floresów”, tak się wtedy mówiło. Ciasto smar-o-wało się ubitym jajkiem, moczyło się kawałek szmatki i dokładnie

pociągało się po cieście. Na wierzchu posmarowanego ciasta sypało się makiem, dorabiało oczy z rodzynek, albo przecinało się nożem, w którym miejscu było trzeba. Za 45 minut szczodroki były już gotowe. A za oknem już się rozlegał śpiew: „Szczodroki, kołoki, szczodroczany dzień. Nie piekła, nie piekła, żebyś się wściekła. Nie dała, nie dała, żebyś ocipiała”, a i jeszcze dużo bardzo obraźliwych przyśpiewek. A jeśli gospodyni wyniosła szczodroki i poczęstowała śpiewających, to i życzenia były uchu miłe: „Zycimy wam szczęścia zdrowia, zeby wom się darzyło w polu, w oborze i w domu, byście pełno mieli w komorze i zebyście wydali za mąż córkę w tym roku”. Różne, przeróżniste były te przyśpiewki, np.:

„Siedzi baba na stołeczku,  
Daje dzieciom po scodrocku,  
Dojcie zes i nam.”

Jak była bogata gospodyni, to wynosiła jeszcze koszyk z jajkami i obdzieliła śpiewających, aby szybko odeszli i nie robili zamieszania. Biada tej, co nie dała nic, bo urągające śpiewki nie ustawały pod jej adresem i całej jej rodziny. W Trzech Króli też był obowiązek pójścia do kościoła i uczestnictwa w uroczystości, podczas której święcono kredę. Taką poświęconą kredę przynosiło się do domu i na drzwiach domu, z zewnątrz, kreśliło się pierwsze litery od imion Trzech Króli: K+M+B i rok, który wówczas był.

K – od imienia Kacper  
M – od imienia Melchior  
B – od imienia Baltazar.

Do dzisiaj przetrwała ta tradycja. Panował zwyczaj, że od Trzech Króli chodzili kolędnicy, wyśpiewywali kolędy, poprzebierani za Króla, Żyda, Anioła, Diabła, Trzech Króli, żołnierzy i prowadzili ze sobą zwierzęta: osły, kozy (też przebierańców). Była też wysoka biała Śmierć z kosą. Było na co popatrzeć. Tańcom i śpiewkom nie było końca. Kolędnicy za przedstawienie dostawali pieniądze, jajka, placki, wędlinę, a jak były chłopaki dorosłe to i po kielichu. Kolędnicy chodzili długo, prawie do Matki Boskiej Gromnicznej, bo dotąd trwał okres karnawałowy. Wtedy odbywały się różne zabawy tzw. „choinkowe”. Składały się pary na muzykantów albo i na wieprzka. Ubijano go, wyrabiano wędliny i różne potrawy, co się dało, tylko trunki przynoszono każdy swoje. Wybierano komitet, który się tym zajmo-

wał. Zastawiano stoły, pary się schodziły i każdy zasiadał do stołu, Do towarzystwa dobierali się sąsiedzi, przyjaciele, rodziny i zabawa trwała do białego rana. Ludzie wtedy lepiej się umieli bawić. Nie było telewizorów, więc musieli rozrywkę organizować sobie sami, bawiąc się między sobą. Wybierano królową balu i wodzireja. Zawsze były to osoby z bogatych domów, z którymi liczyła się cała wieś, no i były to osoby wesołe i zabawne, gdyż musieli umieć rozbawić towarzystwo i poprowadzić całą zabawę. Dorośli bawili się jak dzieci w kotka i myszkę śpiewając:

„Uciekaj myszko do dziury, bo ciebie złapie kot bury,  
A jak cię złapie kot bury to cię wyciągnie z tej dziury.”

albo:

„Mam chusteczkę haftowaną wszystkie cztery rogi,  
Kogo kocham, kogo lubię, rzucę mu pod nogi,  
Tej nie kocham, tej nie lubię, tej nie pocałuję,  
A chusteczkę haftowaną tobie podaruję.”

I tak wkoło raz z orkiestrą, raz sami. Towarzystwo się ubawiło, że zanim się obejrzel, to już był ranek i tak parę takich zabaw się odbyło, aż doszło do kusaków. Tydzień przed kusakiem był obchodzony tłusty czwartek. Nie odbyło się bez pączków albo faworków. Na pączki robiło się ciasto drożdżowe, nadziewało się pączki dżemem śliwkowym, albo marmoladą. Faworki były robione z ciasta kruchego, cięte na paski i wywijane przez małą nadciętą dziurkę. Smażone były w głębokim oleju lub pół na pół na smalcu, tak pączki, jak i faworki. Smakołyki zjadało się z wielkim apetytem. Kusaki obchodzono dosyć hucznie. Mówiło się żartobliwie: „Uważaj, bo kusy ciągnie za usy”. Wtedy też schodziło się parę rodzin, każdy przynosił ze sobą przygotowane w domu przekąski i trunki. Zasiadano przy stole, prowadząc towarzyskie, żartobliwe rozmowy. Dobrze się bawiono, ale tylko do północy, żeby nie przeciągać zabawy, bo po północy była już środa popielcowa i zaczynał się Wielki Post.

W środę popielcową trzeba było iść do kościoła na mszę świętą, podczas której ksiądz posypywał popiołem głowy wiernych. Tego dnia w szkole był taki zwyczaj, żeby zawieszać sobie nawzajem woreczki z popiołem. Uczniowie czynili to między sobą, a i często nauczycielom albo księdzu na religii. Oj, można było się uśmieć aż do łez, jak każdy na przerwie chodził z workiem papierowym zawie-

szonym na druciku za kołnierz lub ubranie. Potem to już był Wielki Post, nie organizowało się już zabaw ani gościn, nie robiło się wesel ani chrzcin, ani żadnych innych uciech, które podlegały przykazaniom kościelnym. Każdy czekał do Wielkanocy. Wtedy też były przestrzegane różne „rytuały”, obowiązki i obrzędy. Święta te przychodziły z nadzieją wiosny, a więc zaczynało się od porządków. Na dwa tygodnie przed świętami kobiety wyglądały wapniarza. To był człowiek, który woził po wsi wapno i handlował. Było ono wypalane z białego kamienia w piecach specjalnych do tego przystosowanych. Takie wapno włożone do wody, po chwili zaczynało się gotować, czyli lasować. Po kilku minutach zamieniało się w gęstą, płynną masę. Trzeba ją było mieszać w naczyniu drewnianą łopatką aby osiągnęła odpowiednią konsystencję, czyli gęstość i by nie powstawały grudki. Następnie odstawiano naczynie z wapnem już zlasowanym na kilka dni, aby nabrało odpowiedniej wartości. Nazywano to „przegnicciem”. Takie już przegnite wapno lepiej się rozcierało na ścianach i wydawało upragniony przez kobiety połysk. Błyszcząły się ściany i sufit. Świadczyło to o starannie przeprowadzonej dezynfekcji pomieszczeń po zimowych wilgociach i pleśniach powstałych na skutek niedogrzanego domu. Do wapna dosypywano „lachmusu”. To była niebieska farbka, którą sklepowy obowiązkowo musiał sprowadzić do swojego sklepu. Zakupu tego specjału można było dokonać za sprzedane w sklepie kurze jajka. Były one zbierane wcześniej, przed świętami. Bardzo dogadzano kurom, aby zaczęły znosić jajka, bo przecież Wielkanoc kojarzyła się ze święconym jajkiem. Jeśli kur w gospodarstwie było dużo, to tyle jaj naniósł, że praktycznie wszystkie zakupy można było zrobić za jajka i jeszcze zostało na święta. Kiedy już ściany pobielono, kupowano różnokolorowe bibuły w celu ozdobienia świeżo pomalowanego mieszkania. Nie każda gospodyni była artystycznie uzdolniona, aby narobić kwiatów z bibuły i wycinanek. Te ostatnie zawieszano w oknach, gdyż nie było firanek, a kwiatami przyozdabiano obrazy, lustra i portrety dziadków czy rodziców. W ten sposób wystrojony dom był w każdym gospodarstwie większym czy mniejszym. Moja mama była bardzo utalentowana pod względem dekoracji mieszkań. Umiała robić pająki ze słomy i bibuły. Zatrudniała do tej pracy dzieci, które wycinały słomki i kwiatki z bibuły. Ja nauczyłam się od niej robić takie pająki. W szkole w Szczecynie wisi pająk mojej roboty. Robiłam też podobne cuda do GOK-u na konkurs.

Na Święta Wielkanocne sąsiedzi bili świnie i dzielili między sobą na ćwiartki. Dni świątecznych było mniej, więc mięso z ćwiartki w zupełności wystarczyło na kiełbasę do barszczu, który był kiszony z mielonego zboża. Mielone zboże zalewano wodą i stawiano w glinianym garnku, w ciepłym miejscu aż się zakisiło, a następnie podlewano wodą, aby się ustało. Po zmieszaniu z wodą zakwas miał gęstą konsystencję. Święta zaczynały się w Wielką Środę na tyle, że można było upiec chleb na święta i placki. W czwartek szykowało się kapustę, którą też piekło się w piecu. Wszystkie prace wykonywane były do południa, bo po południu to już wybierało się do kościoła (nie wszyscy, tylko jedno z rodziców i dzieci). Szło się piechotą do Gościeradowa do kościoła, a wracało się już późnym wieczorem. Często padał deszcz, przemokło się do suchej nitki, bo nikt nie miał parasola. W Wielki Piątek do południa można było jeszcze coś przygotować do jedzenia lub zrobić coś w gospodarstwie. Nie wolno natomiast było grodzić płotu, żeby nie tłuc się młotkiem i rąbać drzewa ani sieczki ciąć w stodole dla bydła. Oprócz tego cały dzień nie można było przeglądać się w lustrze. Już od rana mama zasłaniała ten mebel obrusem, żeby nikt w lustro nie spoglądał. Od rana też obowiązywał post taki ścisły, że można było tylko kromkę chleba i szklankę wody. Najgorzej było wytrzymać, jak mama przygotowała galaretę, aż w żołądku ścisnęło od tych zapachów. Po południu znowu trzeba było iść do kościoła do Gościeradowa na adorację Krzyża. Modły trwały do późna wieczorem, więc jak wróciło się do domu z głodu i ze zmęczenia myślałam, że będę umierać. Nie pamiętam, czy dostało się coś do jedzenia, czy nie, ale pamiętam, że prawie natychmiast się usypiało.

W Wielką Sobotę od rana przygotowywano koszyczek z różnymi pokarmami do poświęcenia. Znajdowały się w nim: mięso z kością i bez kości, żeberka, słonina, kiełbasa i boczek jako wędliny, jajka obierane i pisanki, jajka nieobrane, korzeń chrzanu, ćwikła, chleb, placek drożdżowy, ser biały, buteleczka z octem, sól, pieprz. Wkładano też do koszyka ziemniaki, aby potem wsadzić do ziemi pierwszy ziemniak święcony. Kiedy mama gotowała mięsa do koszyczka, to tę wodę zostawiała, aby w Wielką Niedzielę ugotować na niej świąteczny barszcz. Nie można się było doczekać tego barszczu. Pokarmy święciło się na miejscu, bo ksiądz przyjeżdżał zawsze do wsi na 12-stą pod szkołę. Jak było zimno lub padał deszcz, to woźna otwierała szkołę,

żeby można było wejść na parę minut i nie zmoknąć. Kosze były duże i ciężkie, więc we dwie chodziłyśmy z siostrą, aby na zmianę dźwigać. W sobotę po południu robiło się ostateczne porządki i przygotowano zwierzętom karmę na święta. Zależy na kogo wypadło, ten szedł do kościoła po święconą wodę z Wielkiej Soboty. Koniecznie musiała być z węgielkiem ze spalonej pod kościołem tarniny, bo mama by nie uwierzyła, że ta woda jest święcona w kościele. W Wielką Sobotę trzeba było też przygotować odzież i buty dla całej rodziny. Nie zawsze było za co kupić każdemu nowe buty, więc tata zajmował się czyszczeniem obuwia, a jak trzeba było, to nawet ponaprawiał. Mama natomiast zajmowała się ubraniami. Nawet coś zszyła na maszynie, prała, prasowała. Każdy swoje rzeczy musiał poskładać, powiesić lub poustawiać, żeby w Wielką Niedzielę można było nawet po omacku wiedzieć, gdzie kto co ma, bo nazajutrz wcześniej rano trzeba było wychodzić do kościoła na rezurekcję. Tego dnia odprawiało się o wschodzie słońca, czyli o 6 rano, więc trzeba było dosyć rano wyjść, żeby zdążyć. Podczas rezurekcji usypiało się ze zmęczenia. Dzisiaj rodzice jadą samochodem, a dzieci i tak nie chcą wstać, bo za rano. W tamtych czasach trzeba było wstać o czwartej, żeby się ubrać, wyjść na piechotę przed piątą i zdążyć na 6 godzinę. Uroczystość trwała około 2 godzin. Było bardzo dużo ludzi, bo parafia była duża. Potem znowu trzeba było wracać piechotą do domu. Radość była wielka, jeśli ktoś wziął na furmankę. Wtedy był to wóz z półkoszkami - koszami plecionymi z wikliny w kształcie „lotry” a pleciono dwie połowy: tył był wyższy do połowy, a przód niższy, aby je można było lepiej zdjąć, nałożyć lub też przechowywać gdzieś pod szopą. Niektórzy mieli tak zwane „wiązki” do siedzenia. Jak był dobry gospodarz, to miał bardzo szeroką wiązkę uwiązaną, żeby wziąć kogoś po drodze z kościoła, a skąpy gospodarz miał wąską wiązkę i sam ją zajmował lub ktoś z jego rodziny. Bardzo życzliwy gospodarz miał dwie bardzo szerokie wiązki. Cała jego rodzina zasiadała wygodnie i jeszcze mógł zabrać kogoś po drodze. Po powrocie z kościoła, zaczynało się wielkie świętowanie. Mama dzieliła jajko święcone z utartym chrzanem, układała na talerzu, aby dla każdego było po kawałku i składaliśmy sobie życzenia. Później mama gotowała barszcz na wywarze ze święconego i kroila wszystko, co było w koszyczku każdemu na talerz. Polewała to gorącym barszczem o smaku kwaśnawym. Kto chciał,

nakładał sobie ćwikłę, aby zabarwić go na czerwono, albo zajaśniało się taki czysto-biały. Trudno zapomnieć ten smak, bo taki barszcz zrobiony samemu nie zastąpi obecnie kupowanego w sklepie. Kiedy już podjedliśmy, wtedy należał się odpoczynek. Nie było mowy, aby położyć się do łóżka, bo taki był przesąd, że chwasty będą zarastać w polu i ogrodzie. Kto był naprawdę zmęczony, mógł się położyć na ławie przy piecu (w każdej chałupie były duże piece i długie ławy przy piecu). W Wielką Niedzielę nikt nie odwiedzał rodziny ani nie zapraszało się żadnych gości. Mama nakroiła wędliny na talerz, chleba na drugi i ciasta na trzeci. Stało to wszystko na stole, a każdy kto był głodny z domowników, podchodził, brał sobie, na co miał ochotę i zajaśniał. Na kominie stał duży garnek ugotowanej kawy zbożowej, którą można było sobie nalać łyżką „wazową”. Był też drugi garnek z przegotowanym mlekiem, bo zawsze placki popijało się mlekiem. Tak było do wieczora - jak tam coś zabrakło na stole, to mama dokroiła, dołożyła do talerza i cały dzień nie mogło niczego brakować. Każdy nadrabiał te posty, żeby nie powiedzieć głody tygodniowe. Miały one jednak swój sens, bo w taki sposób wyrabiało się w człowieku silną wolę i charakter, wytrwałość.

Najfajniej było w Poniedziałek Wielkanocny. Kiedy tylko się wstało, to już można było iść na zarobek. Rodzice kupili po buteleczce perfum i biegano się od domu do domu i polewano domowników. Gospodyni wtedy oceniała, czy perfumy były prawdziwe, czy dolewano wody i dawała kromkę placka, czasem jajko albo dwa, a gdy perfumy okazały się autentyczne, to była i złotówka lub dwa złote. Po powrocie do domu mama zajmowała się rozdzielaniem tych darów: placek do placka, jajko do jajek (czasami była to pisanka), no i na koniec pieniążki. Mama musiała wszystko wyliczyć i każdemu udzielić, co mu się należy, a resztą się zająć, by się nic nie popsulo. Potem trzeba było się wybierać do kościoła na sumę. Po powrocie znowu pojawiło się świątecznych smakołyków, poleciało się do koleżanek i kolegów i tak do wieczora trwały zabawy w berka, w chowanego, w klasy i wiele, wiele innych. Kiedy już wyrosło się z dzieciństwa, to Poniedziałek Wielkanocny wyglądał całkiem inaczej, a chodzi tu o tę część śmigusza dyngusa, w której obficie oblewano wodą ze studni. Studnie były płytkie, tak zwane podskórne i dlatego nigdy nie starczyło wody. Chłopcy biegali z wiadrami, nie przepuścili żadnej dziewczyny su-

chej, a dziewczyny kręciły się specjalnie w tę i z powrotem, aby zostać oblaną. Podobno miało to być dobrą wróżbą. Im więcej razy taka dziewczyna była zmoczona, tym większe miała mieć powodzenie. Trzeba było się kilka razy przebierać, bo szukali przede wszystkim takich dziewcząt, które były suche. Łapali je wtedy, przytrzymywali i na głowę wylewali całe wiadro. Nikt nie miał pretensji ani się nie boczył. Śmiechy, krzyki, piski dziewcząt towarzyszyły całej tej zabawie, która czasami trwała cały dzień.

Święta Wielkanocne – tak jak i dziś – były świętami ruchomymi. Wypadały tak czasem przy końcu marca a czasem na początku kwietnia i aż do jego połowy. Dni były ciepłe a czasem gorące, więc takie lanie wodą nie było niebezpieczne, bo nikt się nie przeziębził ani nie chorował. Zaraz po świętach leśniczy chodził po wsi i zapraszał kobiety i dziewczyny do „sadzonki”. Sadziło się las. Przygotowywało się małe sadzonki do sadzenia, a potem, kto był silniejszy, brał do ręki tak zwany lancet, a druga osoba brała drewnianą skrzynkę z sadzonkami i połączone w pary kobieta i dziewczyna sadziły las od godziny 7 rano do 15 po południu. Szło się co dzień z chęcią, żeby zarobić parę złotych na nowe buty, czy sukienkę, bo po Wielkanocy zaczynały się zabawy. Chciało się robić, żeby mieć za co się ustroić. Odświętne stroje potrzebne były też w maju, bo wtedy śpiewało się majówki. W tym okresie kobiety i dziewczęta zbierały się pod krzyżem i śpiewały pieśni do Matki Boskiej zaczynając majówkę od Litanii Loretańskiej do Najświętszej Marii Panny. Po takim godzinnym spotkaniu schodzili się chłopcy i zaczynały się majówki towarzyskie. Siadało się przy drodze, często na chojakach. Były to kłody drzew ścięte wczesną wiosną i zrzucone przy poboczu drogi, gdzie leżakowały, aż gospodarz zawiózł je na tartak i pociął na deski czy inne formy tarcicy, potem zużyte do budowy. Na takich chojakach zbierała się młodzież co wieczór. Były wtedy śpiewane różne ludowe, wojskowe i przygodne piosenki i opowiadano kawały. Tak to mniej więcej wyglądało to życie na wsi. Ludzie się bardzo szanowali, uważały się tak bliższe, jak i dalsze rodziny. Było wesoło, bo każdy umiał wyrazić swoją wdzięczność dla drugiego człowieka.

*Krystyna Ziółkowska*  
A.D. 2012



## Gościeradów – szlakiem historii i wyobraźni

OŚCIERADÓW – DUŻA WIEŚ, istniała już od początku XV wieku. „Położona była trzy kilometry na południe od Kamiennej Góry (232 m n.p.m.) – piaskowego wzniesienia z rozległym widokiem na Kotlinę Sandomierską. Zwiedzając tę okolicę, zobaczymy labirynt wąwozów, lasy...”

Przestałam słuchać objaśnień przewodnika. Pięknych okolic i krajobrazów mamy na Lubelszczyźnie mnóstwo, a mnie zaciekał właśnie Gościeradów. Postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej, ale nie o piętnastowiecznym Gościeradowie, tylko o tym podczas jego rozkwitu z XVIII wieku. Gdy wreszcie stanęliśmy w pozostałościach pięknej alei lipowej, właśnie z tego okresu, ogarnął mnie dziwny nastrój. Coś jakby muzyka unosiło się w powietrzu, dźwięki skrzypiec, płacz altówki, jęki wiolonczeli i wielu innych nieużywanych dzisiaj podczas wieczornych spotkań instrumentów. Czy to drzewa grają tę muzykę? Czy może liście lub owady na kwiatach? Czy to ożywiła je pamięć o innej sławnej lipie i jej cieniu dla poety i gości? Ruszyłam dalej aleją kończącą się nieoczekiwanie jak na to miejsce łukiem triumfalnym i dotarłam przed... pałac. Wróciły przewodnikowe wiadomości: „Wystawiony w końcu XVIII przez Eligiusza Prażmowskiego, starostę mszczonowskiego, znanego z zamiłowania do muzyki i różnych dziwactw.”

Ach! To stąd ten muzyczny nastrój wokół pałacu. Oglądałam budynek. Kremowy, z zielonkawym dachem, piętrowy. A gdzie są te wspomniane dziwactwa właściciela? Front pałacu podparty jest trzema a nie czterema kolumnami, wbrew proporcjom oraz logice chyba. Już sobie wyobrażam, jak to lekko podchmieleni goście, wychodząc wieczorem z pałacu, nie zauważali przeszkody, czyli środkowej z kolumn, która akurat stała przed drzwiami i właśnie na nią wpadali. Musiało być śmiesznie, a może nawet bywało groźnie. Guzy na głowach, czapki na ziemi, rozdarte kontusze grubych szlachciców. A czy był ktoś ze służby w pobliżu? Chciałabym zobaczyć miny lokajów pomagających wstawiać gościom. Dziś wejście nie znajduje się na wprost kolumny, tylko po bokach i w dodatku są dwa. Też trochę dziwne...

Niestety nie będziemy zwiedzać pałacu. Przewodnik wspominał o tym, że „wnętrza nie zachowały pierwotnych podziałów”. A zresztą

dzisiaj służyć innej sprawie. Wracam więc spokojnie myślą do pana Eligiusza. Podobno do jego zamiłowań należały moda i obyczaje francuskie. Mówiono, że chciał zostać Francuzem. Oczyma wyobrażni widzę pana Prażmowskiego w Paryżu, w wykwintnym ubraniu z epoki oświecenia, otoczonego dziełami Moliera lub zasłuchanego w bajki La Fontaine'a. Czy lubił pić czekoladę i szampana? Czy po powrocie do Polskie nie słyszał wyrzutów, że lepsze są rodzime trunki i mleko?

Gościeradów – nazwa pochodzi chyba od „rad gościom” albo „goście radzi”. A czy wówczas goście chcieli przejmować zamiłowania gospodarza do tego co francuskie? Chyba nie, skoro uznano go powszechnie za dziwaka. Grał na skrzypcach lewą ręką – kolejny ekscentryzm. Podobno był jednak człowiekiem sprawiedliwym oraz przekazał swoim potomkom zamiłowanie do muzyki. „Córka Prażmowskiego – Marianna była żoną Wojciecha Suchodolskiego – postaci historycznej z epoki Stanisława Augusta”, znowu słucham uważnie przewodnika, bo chcę dowiedzieć się jak najwięcej o rodzimych talentach muzycznych i nastroju z alei lipowej. Franciszek Suchodolski, jakiś wnuk czy prawnuk Marianny, odziedziczył talent muzyczny i odnosił wiele sukcesów. Słownik Muzyków Polskich wydany w Paryżu w 1847 roku wspomina o nim jako o wybitnym wirtuozie.

Muzyką był nasycony pałac gościeradowski także w XIX wieku. Eligiusz, jeden z potomków odtrącony przez księżniczkę Sapieżankę z Galicji, poświęcił się muzyce, był dobrym pianistą i wiolonczelistą. Znow wyobrażam sobie piękną salę balową rozbrzmiewającą muzyką klasyczną! Widzę pana Eligiusza, jak siedzi w kącie z instrumentem w dłoni. Miał opinię samotnika, odludka rozmiłowanego w badaniach historycznych, spędzając długie godziny nad notatkami z dziedziny genealogii i historii Polski. W 1894 roku umiera, a po śmierci jego brata majątek staje się własnością Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności z obowiązkiem urządzenia w pałacu szpitala głównie dla weteranów. I ten niecodzienny, jak na pałac, napis: „RES SACRA MISER”, który pozostał i bardzo oddaje przeznaczenie miejsca. Dom opieki dla osób niepełnosprawnych jest w nim do dziś.

Idziemy dalej a przed nami współczesny kościół budowany w latach 1908–1920, projektu, według niektórych źródeł, Józefa Dziekoń-

skiego, w stylu nadwiślańskiego neogotyku. Słucham teraz uważnie przewodnika. „Dnia 24 czerwca 1957 roku biskup lubelski Piotr Kałwa poświęcił kościół. Parafia posiada akta od 1686 roku”. Historia wszędzie dookoła. Poprzednie kościoły były palone i niszczone przez Tatarów oraz Szwedów. A obecny ocalał w czasie działań II wojny światowej, nie został zniszczony przez Rosjan. A obok bunkier, też pozostał do dziś. Nie wysadzono go w 1944 roku, bo siła wybuchu zniszczyłaby kościół. Czyżby Ktoś w górze czuwał?

Gościeradów – rad gościom, rad turystom przekazał mi swój oddech wielkiej, długiej historii, swą kulturę dawnej świetności i wciąż żywą pamięć o potomkach wielkich, szlacheckich rodów, o ich zwyczajach, zamięłowaniach, czasami dziwactwach. Miesza się fikcja z bogatą przeszłością.

Oprócz przywoływania faktów historycznych moja wyobraźnia płata mi także figla i podsuwa przeróżne sytuacje, które być może miały tam miejsce. Niektóre były komiczne, inne bardzo przykre. Odtrącony przez dwie ukochane kobiety E. Prażmowski przeżywał osobisty dramat, dlatego stał się odludkiem i dziwakiem. Taki bolesny wątek romantyczny...

Myślę, że wiele z tych historii mogłoby być podstawą do ciekawego scenariusza filmowego. Może więc kiedyś...

*Joanna Dudak  
A.D. 2012*

## Leśne przemyślenia

**D**ZIEŃ, JAK TO W WAKACJE. Czekala mnie kolejna, nudna podróż. Tak przynamniej myślałam, a, jak łatwo się domyślić, wcale nie miałam ochoty na spędzenie kilku godzin w trzydziestostopniowym upale tylko po to, żeby spędzić „cudowne chwile sielanki rodzinnej nad morzem”. Marzyłam o tym, by szybko dojechać i móc nic nie robić cały dzień, wylegując się na wygodnym leżaku. Czułam się bardzo zmęczona, głodna, a przez to zła. Cieszyło jedynie wdzierające się przez okna mojego pokoju lśniące słońce. Czułam jego przyjemne ciepło na mojej twarzy. Uśmiech pojawiał się na mojej buzi, automatycznie kąciaki moich ust same się uniosły...

Wyjechaliśmy. Typowa droga, nic specjalnego. Nuda. Droga jak droga, pola, lasy, tory i pola, i znów las, gdzieś tam cmentarz lub krzyżyk przy drodze, zostawiający w pamięci tylko myśl: „Kto mógł tu zginąć, dlaczego, po co?”. Przez chwilę jakaś książka, potem chwila odprężenia z muzyką, krótka drzemka. Nic szczególnego. Potworna nuda. Mijaliśmy co chwilę takie same drzewa, w takich samych lasach, a niebo zakryło się ciemnymi, granatowymi chmurami. Senność ogarnęła całe moje ciało, a głowa bezwładnie opadała na bok, wbrew mojej woli.

Na granicy jawy i snu budziły się kolejne moje zmysły. Jeszcze nie planowałam otwierać oczu. Słuchałam siebie tak od środka. Nagle usłyszałam swoją ulubioną piosenkę. Słowa docierały do moich uszu jak promienie jasnego słońca, które właśnie wstało na nowo. Przetarłam jeszcze delikatnie bezwładną ręką oczy, wyciągnęłam się na wygodnym fotelu samochodowym, a moim oczom ukazał się zachwycający krajobraz.

Zza szyby widać było niebo. Lekkie, jasne, przejrzyste, przepelnione grą kolorów. Wydawało się, jakby ktoś wziął tubki farb i wylał je wszystkie nierównomiernie na delikatnie niebieską kartkę i przykleił to wszystko, by wkomponowało się w krajobraz lasów, pól i łąk. Było bardzo wcześnie, więc na dzień dobry dominowały fiolet i róż, przez które gdzieś tam przedzierał się mocno nasycony błękit. Obrazy wsi, przez które przejeżdżaliśmy były bajkowe, piękny i niepowtarzalny. Miałam ochotę zatrzymać się na moment i wysiąść, bo ogarnęło mnie nieodparte wrażenie, że kiedy tylko dotknę tego nieba,

to tak jak w kreskówce, jakaś niewidzialna siła wciągnie moją rękę i zatopię się w tym tęczowym świecie na zawsze. Wydawało mi się to takie szczęśliwe, nierealne. Minęliśmy tabliczkę z napisem „Gmina Gościeradów wita”. Nie myślałam już o tym, że jadę samochodem, ale że trwam w uniesieniu spowodowanym widokiem piękna.

W tej samej chwili zachwyty przerwały słowa rodziców: „Szykuje się pierwszy postój”. Pomyślałam z uciechą, że to dobrze, bo to właśnie tutaj chciałabym zostać już na zawsze. Przejechaliśmy jeszcze kawałek i trafiliśmy do Marynopola – małej, przytulnej miejscowości, która nigdy wcześniej nie wywarła na mnie szczególnego wrażenia. Była cicha, otoczona pięknym lasem – rezerwatem przyrody, pełnym uroczych, tajemniczych zakątków, gdzie można było urządzić mały piknik. Właśnie w jednym z nich urządziliśmy sobie przerwę w podróży.

Pierwszy postój w trasie. Śniadanie smakuje wyjątkowo, herbata, coś słodkiego. Pobudka do życia. Wstałam, mimo tego że byłam bardzo niewyspana. Zachwycona pięknem lasu, postanowiłam urządzić sobie mały spacer i zobaczyć przynajmniej kawałek rezerwatu. Zaintrygowana tym, co zobaczyłam u „progu”, założyłam psu obrozę i zapragnęłam lepiej przyjrzeć się otaczającemu mnie pięknemu krajobrazowi Marynopola.

Przestrzeń powoli zamykała się dookoła mnie. Spuściłam mojego czworonoga ze smyczy i oślepiąca przez ułamek sekundy promieniami słońca ruszyłam w głąb lasu. Straciłam poczucie czasu. Znalazłam się w innym, nierealnym, bajkowym świecie stworzonym przez naturę. Przeniosłam się w świat odległych wspomnień, marzeń, historii, przemyśleń, wydarzeń. Lubiłam rozmawiać sama ze sobą, kiedy chciałam powiedzieć coś komuś zaufanemu. Rozmyślałam nad tym, jak ulotne i kruche jest piękno, człowiek zmienny, życie nieobliczalne, a takie miejsca magiczne i niepowtarzalne. Czułam się teraz bezgranicznie wolna, beztroska. Nikt mnie zatrzymywał, nie widział, co robię. Było mi dobrze samej ze swoimi myślami, oddychałam głęboko razem z letnim wiatrem pogłębiającym uczucie spontaniczności.

Wszystko zatrzymało się w tym miejscu. Nie istniał upływ czasu, problemy, kompleksy, zmartwienia, telefony, komputer. Wszystko wydawało mi się przecież takie ulotne. Upewniając się, że słońce nadal ogrzewa tę część zielonej planety, a ja nie przeniosłam się do bajki dla małych dzieci, spojrzałam na niebo. Mogłam niespiesznie

ić i rozmyślać. Wydawało mi się, że jestem tam sama. Idąc leśnym duktem, podziwiałam faunę i florę uroczych zakątków rezerwatu. Im głębiej wydzieralam tajemnice tych magicznych miejsc, tym bardziej czarowały mnie i zadziwiały. Przechadzałam się po alejkach coraz mocniej zatopiona w całość tej bajki. Kątem oka jedynie od czasu o czasu spoglądałam na mojego towarzysza, który jednak zajęty był zabawą.

Nagle przyszło zmęczenie. Byłam wykończona długim spacerem i własnymi myślami. Niewtajemniczonym mogę zdradzić, że myślenie także bardzo męczy. Poddałam się temu dziwnemu nastrojowi, który mną zawładnął. Trwałam w radości, która najpierw stłumiła się gdzieś w środku, a teraz czułam, jak bardzo chce wyjść. Nie mogłam jej powstrzymać. Zaczęłam uśmiechać się sama do siebie, jakby dotychczasowe myśli były rozmową, w której usłyszałam: „Tak, wygrałaś”. Cieszyłam się, że nareszcie odkryłam miejsce, w którym jest mi dobrze i nie martwię się o nic, a moje szare komórki pracują jak nigdy wcześniej mimo upragnionych wakacji. Miło szczerzyć się do nieba jak małe, radosne dziecko.

Zaskoczona zauważyłam, że oddaliłam się od miejsca, w którym zaczęła się moja podróż przez myśli i marzenia. I, mimo stanu euforii w jakim trwałam, zorientowałam się, że muszę wrócić, by nie zmarł twiść moich rodziców. Szukając drogi, przypominałam sobie, każdy najmniejszy szczegół moich wcześniejszych rozważań oraz tego, co zobaczyłam. Wracałam i uświadamiałam sobie, jak bardzo ta wyprawa była mi potrzebna. Dla poczucia samej siebie, odkrycia czegoś w sobie, nie dla innych celów.

To właśnie tu się to wydarzyło. To właśnie tu zrozumiałam, na czym mi zależy, do czego dążę, co jest dla mnie ważne, na czym polega życie oraz jak jest nieuchwytnie i zarazem piękne. To tu zrozumiałam, czego chcę, co jest moim priorytetem, co celem, co prawdziwą wartością. Popatrzyłam na wszystko od wewnątrz, zrozumiałam, ile jest warte każde życie i życie takich miejsc jak to.

Kiedy dotarłam z powrotem, byłam pewna, że zbiorę parę „interesujących” komentarzy na temat mojego zachowania. Myliłam się. Pod wpływem tego, czego doświadczyłam, zaczęłam rozmawiać z rodzicami jak nigdy dotąd o tym, co czułam i co dzieje się w moim sercu.

Gdy postanowiliśmy ruszyć w dalszą drogę, z nieokreślonym żalem odprowadzałam wzrokiem przekreśloną tabliczkę „Marynopol”. Byłam przepełniona pewnością, że jeszcze tam wrócę. Wrócę do miejscowości, która nieoczekiwanie tak wiele we mnie zmieniła i od tej pory nie była już zwykłą wsią – jedną z wielu, jakie odwiedziłam w ciągu podróży, lecz ukochaną i szczególną. W ciągu jednego, samotnego spaceru stała się miejscem, w którym mogłabym żyć, wyjątkowym i niepowtarzalnym, w którym ludzkie ciało i dusza czują się dobrze, a wszystko podpowiada, że właśnie tam powinnam być. Zatopiona w oceanie własnych odczuć żegnałam wzrokiem las, uśmiechając się sama do siebie. Stałam tak i, patrząc na rozkołysane od wiatru drzewa, zapragnęłam postawić w Marynopolu mały, drewniany domek i móc codziennie chodzić do lasu na spacer z moim małymównym, ale wiernym towarzyszem.

Wsiadając do samochodu czułam żal, że już porzucam to miejsce i odjeżdżam, jednak byłam też szczęśliwa, odnajdując siebie. Wszystko wskazywało na to, że początek „nudnych wakacji”, okazał się być najlepszym początkiem wszystkich wakacji. Odmieniona, nowa Ja pojechałam w dalszą podróż, opuszczając moje Marynopol...

*Magdalena Pieczeniak  
A.D. 2012*

## Pięknie żyć i pięknie umierać

**H**ISTORIĘ TĘ USŁYSZAŁAM KIEDYŚ na rodzinnym spotkaniu i bardzo zapadła w moją pamięć, zwłaszcza że wydarzyła się właśnie w Księżomierzy i dotyczy szczególnego dla mnie miejsca. Brat mojej mamy wspominał starszego pana, którego stawiał za przykład nieprzeciętnego fachowca, ale przede wszystkim człowieka żyjącego z pasją.

Człowiek ten miał na imię Aleksander i pochodził z Lublina. Wujek poznał go przy budowie obecnego kościoła p.w. Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Księżomierzy, w listopadzie lub grudniu 1996 r. Pan Aleksander był stolarzem i mimo swojego już podeszłego wieku, ciągle chciał pracować. A gdzie? Właśnie przy budowie kościoła. Jak opowiadał wujek, kościół w Księżomierzy był dla pana Aleksandra szesnastym kościołem, przy którym dane mu było pracować. Kochał swoją pracę i był szczęśliwy, gdy mógł brać czynny udział w budowie kolejnego Domu Bożego. Temu osiemdziesięciolatkowi sił dodawało to, że czuł się potrzebny i mógł dzielić się swoim doświadczeniem z młodszymi kolegami. Pan Aleksander nie tylko znał się na swoim fachu, ale potrafił też wspaniale współpracować z ludźmi. Był bardzo kontaktowym człowiekiem, ale nie narzucającym się; wiedział, kiedy może służyć radą. Potrafił żartować i umiał opowiadać ciekawe rzeczy, z których płynęła zawsze jakaś życiowa mądrość. Wszyscy bardzo go lubili, bo wnosił dużo pozytywnej energii do pracy. Więcej miał zaangażowania i chęci do pracy niż inni, chciał jeszcze coś w życiu zrobić, pomagać ludziom. Z iskierkami w oczach opowiadał o swojej rodzinie, zwłaszcza o wnuku, którego bardzo kochał.

Ten dziarski staruszek zakończył swoją ziemską wędrówkę tam, gdzie najbardziej chciał spędzać swoje życie – przy budowaniu świątyń. Podczas demontażu szalunku doszło do nieszczęśliwego wypadku, spadł stempel i trafił pana Aleksandra. Pomimo że jeszcze przewieziono go do szpitala, zmarł. Ze wspomnień wujka można wyciągnąć wniosek, że pan Aleksander odszedł tak, jak sobie wymarzył. Bóg zaprosił go do siebie, zanim opuściłyby go siły. Odszedł pięknie, by u swego Ojca w niebie razem ze świętym Józefem cieślą wznosić budowlę.



Tacy ludzie jak pan Aleksander uczą, jak można pięknie żyć, potrafić cieszyć się życiem, kochać Boga i ludzi. Z historii tej płynie dla nas nauka, aby słuchać opowieści i rad starszych i doświadczonych ludzi, bo są one największą i najciekawszą skarbnicą wiedzy.

Życie jest kruche, więc żyjmy tak, aby zostały po nas dobre wspomnienia i pożytek dla innych.

*Ewa Krzysztoń*

## List od babci Heleny

(tyt. oryg. „Wspomnienia babci”)

*Księżomierz, 26 luty 2012 r.*



ROGA WNUCZKO!

Dziękuję Ci bardzo za Twój list. Jestem niezmiernie szczęśliwa, że interesują Cię dzieje naszej rodziny, postanowiłam więc opisać Ci życie Twojego dziadka, a mojego męża.

Henryk Jarosz urodził się 31 sierpnia 1926 roku. Jego ojciec Antoni Jarosz walczył jako ochotnik w Legionach Polskich pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. Po zakończonej walce, podobnie jak inni ochotnicy, którzy walczyli pod dowództwem Piłsudskiego, dostał ziemię i tak powstała miejscowość Kolonia Księżomierz, w której mieszkamy do chwili obecnej. Kiedy rozpoczęła się wojna światowa, Henryk miał 13 lat. Nie dane mu było wówczas skończyć siedmioklasowej szkoły. W wolnym czasie pomagał swojemu tacie w kuźni. Podczas łapanek we wsi, ukrywał się wraz z rodziną w lesie we wcześniej wykopanych dołach pod stertą pierzyn i poduszek. Tak samo było podczas bombardowań. Jesienią 1942 roku został powołany do firmy Junak, w związku z tym musiał wyjechać do Dębina. Tam pracował na lotnisku. Podczas bombardowania miasta w 1943 roku uciekł wraz z dwoma innymi mężczyznami. Ich powrót był bardzo trudny. W dzień ukrywali się w lesie. W nocy, w mrozie i śniegu szli po polnych drogach. Kiedy udało mu już się dotrzeć do domu, musiał się ukrywać. Jego ojciec był sołtysem, więc zainteresowanie okupantów nieobecnością najstarszego syna było uzasadnione. Przesłuchiwano go i grozono aresztem. Okupanci chcieli wiedzieć, gdzie znajduje się Henryk. Pewnej nocy zapukali do ich drzwi partyzanci i namówili go do zapisania się do Batalionów Chłopskich. Jesienią 1944 roku, kiedy Niemcy wycofywali się z ZSRR, mieszkańcy Grabówki i Księżomierzy zostali wysiedleni, ponieważ przez te miejscowości biegła droga do jednego z głównych frontów. Każdy brał, co miał najcenniejszego i uciekał. Mieszkańcy Liśnika przyjmowali uchodźców z otwartymi ramionami. To był trudny czas. Przez ponad trzy miesiące musieli mieszkać wraz z innymi dwoma rodzinami w jednym domu. Gdy walki przeszły na drugą stronę Wisły, wrócili do zniszczonego domu.

W 1946 roku dziadek dostał wezwanie do wojska. W szkole podoficerskiej znajdującej się w Łodzi otrzymał stopień kaprała. W dniu 14 lutego 1947 roku złożył przysięgę żołnierską, 2 sierpnia 1949 roku został przekierowany do rezerwy. W 1950 roku wrócił do rodzinnej miejscowości i założył gospodarstwo rolne. Trzy lata później wzięliśmy ślub. 10 maja 1985 roku wstąpił do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Dnia 9 marca 1988 roku uchwałą Rady Państwa odznaczono go medalem „za udział w walkach w obronie władzy ludowej”.

Mam nadzieję, że podobała Ci się historia Twojego dzielnego dziadka. Myślę, że z mojej opowieści wiele dowiedziałas się także o miejscowości, w której mieszkamy. Przeżyliśmy tu dużo ważnych chwil, wydarzeń, które na zawsze pozostaną w naszej pamięci, o których Ty, być może, będziesz się kiedyś uczyła na lekcjach historii. Przyjedź do nas w wakacje, a obiecuję, że pokażę Ci okolicę i opowiem o wszystkich ważnych i ciekawych miejscach. Pozdrawiam Cię gorąco.

*Babcia Helena*

*Izabela Jarosz*

*A.D. 2012*

## Niezwykła historia

**W**SPOMNIENIA, WSPOMNIENIA, WSPOMNIENIA... Czas zaciera ślad, ale obrazy przelatują przed oczami. Bądźmy kronikarzami naszych czasów, odkrywajmy na nowo świat. Ludzie odchodzą, a wraz z nimi umyka to, co przeżyli, a oni są przecież szczerą prawdą, żywym dokumentem, otwierającym karty historii.

Moja babcia – Janina Błachnio lubi opowiadać, czasami robi to chętnie, a czasami muszę prosić. Spośród wielu jej historii najbardziej lubię tę, jak bawiła się wraz z innymi dziećmi na cmentarzu, tak... cmentarzu... *Był on za płotem, tuż obok domu. Krył mnóstwo tajemnic. Dziki, zarośnięty bzem. Bawiliśmy się wśród grobów, ale ulubionym miejscem był pomnik hrabiego Suchodolskiego. Piękny, duży, gładki. Siadaliśmy na nim i jakaż radość, kręcące się mosiężne kulki to kierownica, samochód warczał, brrrrmmm... brrrrmmm... Jechaliśmy. Dokąd? – W nieznane!... A i babki z piasku pięknie na nim wyglądały! Beztroska zabawa. Janka! Olek! Gienka! Do domu – wołała mama. Czas wracać...*

I czas powraca, ale tylko we wspomnieniach.

Pragnę opowiedzieć jeszcze jedną historię, którą przekazała mi babcia. Opowieść bardzo poruszyła moje serce. Nie jest ona legendą, to autentyczne wydarzenie.

Babcia miała zaledwie 10 lat, kiedy nadszedł rok 1944. To właśnie 2 lutego w Święto Matki Boskiej Gromnicznej, tak bardzo ważne święto dla nas – katolików, miała miejsce wielka zbrodnia, taka, której nikt nie zapomni, bo jest zbyt wstrząsająca.

W tym momencie pragnę przytoczyć opowieść.

*Wspominam tę historię ze smutkiem, bo miałam zaledwie 10 lat, a moje oczy widziały tyle złego. Miałam trójkę rodzeństwa. Jak to dzieci poszliśmy się bawić na dwór. Mieszkaliśmy przy drodze prowadzącej do Szczecyna. Był 1 lutego 1944 rok, kolejny ładny, ciepły dzień tej zimy, więc jak to dzieci bawiliśmy się bez opamiętania. Kiedy przyszedliśmy do domu, pomagaliśmy rodzicom. Nie było łatwo w tamtych czasach, ale dawało się radę. Nie wiedzieliśmy wtedy, że następnego dnia wydarzy się tak okrutna zbrodnia.*

Rano niemieccy żołnierze obstawili Gościeradów Plebański i Zastawie, bo myśleli, że to Szczecin. Mieli bańki na plecach, było ich wielu. Moja ciotka Bronisława Kowalczyk spytała jednego z nich, czy planują

akcję na Gościeradów, zaprzeczył i wytłumaczył w swoim języku, że planują akcję na Szczecyn. Wtedy przyjechał zadziwiony komendant. On również spytał po niemiecku jednego z ważniejszych: „Planujecie akcję na Gościeradów?”, a Niemiec grzecznie odpowiedział: „Nie, na Szczecyn”, ale komendant wytłumaczył im, że to nie jest wieś, którą chcą spacyfikować, tylko jeszcze Gościeradów. I wtedy nastał wielki tłok. Ktoś krzyknął do żołnierzy, że mają powychodzić do samochodów i pokazał im kierunek, w którym należy się udać. Wszyscy pojechali na południe. Niektórzy Niemcy zostali pod kościołem na placu, „na straży”. Widziałam, jak wszystkie wozy jadą do Szczecyna. Niezapomniany widok, ogarnął nas niepokój i myśl, że za chwilę stanie się coś strasznego.

Po dwóch godzinach ujrzelśmy dym. Nie wiedziałam, co się dzieje. Czułam tylko strach i przerażenie. Po południu zobaczyłam, że idą ludzie, a razem z nimi kilkunastu żołnierzy. Szli pod kościół, skąd mieli ich wywieźć do Kraśnika lub na Majdanek w Lublinie. Niektórzy próbowali ucieczki, lecz nie zawsze im się to udawało. W większości przypadków kończyło się rozstrzelaniem. Ludzi przybywało, ale także dymu na południu. Stojąc z rodzicami i rodzeństwem za wysokim, drewnianym płotem przyglądaliśmy się temu smutnemu „marszowi”. Z wszystkimi szedł i pan Gałuszkiewicz z synem, również mieszkaniec Szczecyna. Zauważył, że jesteśmy za płotem, sprytnie wepchnął swoje dziecko do nas na podwórko, moja mama nie wahając się ani chwili, szybko pochwyciła chłopca. Jak się później okazało, wspomniany pan Gałuszkiewicz, został okrutnie zamordowany, ale jego desperacki czyn i natychmiastowa reakcja mojej matki ocaliła życie jego syna.

Zbliżała się noc, a nad Szczecynem dalej były chmury dymu. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że bardzo, bardzo dużo ludzi zginęło. Zaczęliśmy płakać, bo nie wiedzieliśmy, że na świecie są tak okrutni zbrodniarze. Widzieliśmy, jak na wiosnę wracali do domów ci, którym udało się ocaleć. Próbowali odbudowywać to, co zostało. Zaczynali życie od nowa...

W babci oku zakręciła się niejedna łza. Trudno jej o tym wszystkim wspominać, bo była zaledwie małym dzieckiem, a widziała tyle złego... Dla nas, kolejnych pokoleń, to tylko niewyobrażalna historia, dla niej to cząstka życia, która jak ostra drzazga wbiła się w jej młode serce.

## Droga do domu i wolności

**K**TO NIE PAMIĘTA HISTORII, skazany jest na jej ponowne przeży-  
cie” – te słowa wypowiedział niegdyś amerykański pisarz i filo-  
zof George Santayana. Sentencja ta ma jak najbardziej uniwersalny  
charakter. Każdy człowiek, szanujący swoją rodzinę, powinien dążyć  
do poznania jej historii, przeżyć protoplastów czy seniorów rodu.  
Każdy człowiek jest sentymentalny i lubi powracać pamięcią do cza-  
sów, które już minęły, wspominać ludzi, których może już nigdy nie  
spotka. W dzisiejszych czasach nikt nie musi się martwić się, że zapo-  
mni twarze bliskich, którzy już odeszli. Wystarczy, że kliknie w odpow-  
iedni folder na komputerze i wyskakuje mu przed oczami mnóstwo  
zdjęć tej jednej wyjątkowej dla nas osoby. Jednakże nie zawsze mie-  
liśmy taką możliwość. Dziesiątki lat temu nie było takich udogod-  
nień. Niegdyś nie robiono zdjęć, nie upamiętniano ważnych wyda-  
rzeń z życia ludzi. Nasi przodkowie zachowywali cenne wspomnienia

w pamięci z nadzieją, że  
pamięć o nich nigdy nie  
zaginie. Kiedy mamy  
jedną małą fotografię  
naszego przodka, staje  
się ona dla nas najważ-  
niejszą pamiątką, bez-  
cennym skarbem, któ-  
ry pragniemy chronić  
i przekazać następnym  
pokoleniom.

Kilkanaście lat temu,  
jeszcze jako mała dziew-  
czynka zaczęłam robić  
drzewo genealogiczne.  
Od najmłodszych lat fa-  
scynowała mnie histo-  
ria, a przede wszystkim  
korzenie mojej rodziny.  
Uwielbiałam słuchać  
dawnych opowieści mo-



ich dziadków Kazimierzy i Henryka Ziarkowskich. Pamiętam, że moje pasja zaczęła się od znalezienia wyjątkowej dla mnie fotografii. Przeglądając album ze starymi zdjęciami, natrafiłam na fotografię mojego pradziadka Stanisława Kowalskiego. Trzymając jego fotografię w dłoni, poczułam, że historia moich przodków jest dla mnie niezwykle ważna – wiedziałam, że to początek mojej niezwykle przygody z genealogią, która trwa do dzisiejszego dnia. Patrząc na to zdjęcie, z jednej strony widziałam młodego, pewnego siebie mężczyznę, zaś z drugiej widziałam człowieka, który wiele przeżył i doświadczył w swoim życiu. Nie zwlekając dłużej, zamknęłam album i pobiegłam do mojej babci Kazimierzy, która przekazała mi niezapomnianą lekcję historii. Wróciła ona pamięcią do czasów II wojny światowej, czasów jej dzieciństwa. Wszystko zaczęło się tutaj – w Księżomierzy w 1939 roku, kiedy to w mojej miejscowości oraz pobliskich wsiach przeprowadzano aresztowania ludności polskiej do niewoli radzieckiej. Moja babcia miała wówczas cztery lata, ale jak wspomina, doskonale pamięta wszystkie wydarzenia z tamtego okresu. Była wczesna jesień 1939 roku. Mój pradziadek miał wtedy 30 lat. Mieszkał wraz z żoną Genowefą i dziećmi Józefem, Julianem oraz Kazimierą.

Pewnego wieczora do drzwi ich domu zapukał sąsiad. Powiadomił on moich pradziadków o aresztowaniach oraz powiedział, że czeka już na nich samochód. Pradziadek spakował najpotrzebniejsze rzeczy, pożegnał się z rodziną i został wywieziony wraz z kilkudziesięcioma innymi mężczyznami ze wsi. Przetrzymywany był w miejscowości Sarny na Ukrainie. Warunki życia w obozie były bardzo ciężkie. Pojmani spali na cemencie, dostawali do jedzenia brukiew z wodą, doskwierał im głód oraz zimno. Brak dostępu do medycyny i coraz gorsze warunki sanitarno-higieniczne powodowały dużą liczbę zgonów. Ludzie masowo umierali na czerwonkę – ostrą chorobę zakaźną jelit, wywoływaną przez infekcje bakteryjne i pasożyty. Po trzech miesiącach Stanisław trafił do Szepetówki – miejscowości oddalonej od Saren o 200 km. Znalazł się w zbiorczym obozie dla polskich jeńców, założonym przez Sowietów w 1939 roku. W obozie przetrzymywana była duża liczba polskich oficerów, którzy w większości skazywani byli na śmierć. Stanisław wielokrotnie był świadkiem masowych mordów. Na jego oczach ginęły dziesiątki polskich oficerów, którzy przed śmiercią kopali swoje groby. Od jednego

z oficerów mój pradziadek dostał buty oraz ciepły mundur. Żołnierz zawodowy, który podarował mu ciepłe odzienie, rzekł: „My już nie przeżyjemy, a Wam się to jeszcze uda”. Większość ludności żyjącej w obozie zdawała sobie sprawę z tego, że nie przeżyje, zginie z rąk Sowietów. Z Szepetówki jeńcy byli wysyłani na przymusowe roboty do III Rzeszy, gdzie odbywała się wymiana jeńców. Mój pradziadek wraz ze swoim sąsiadem i innymi pojmanymi przewożeni byli do Niemiec w wagonach przeznaczonych do przewozu zwierząt. Wagony były zaniedbane i posiadały tylko jedno małe okienko u góry. Po przekroczeniu granic kraju, pierwszy postój pociągu był w miejscowości Łączki za Rzeszowem. Stanisław jechał w jednym wagonie z nieznanym mężczyzną pochodzącym z Lublina. Na owym postoju ten nieznanomy mężczyzna poprosił grupę chłopców będących na dworcu o przyniesienie długiego metalowego drutu. Chłopcy spełnili prośbę jeńca. Kiedy pociąg ruszył, osoby znajdujące się w wagonie podsadziły mężczyznę z Lublina do okienka. Ten wybił je i przez nie metalowym drutem otworzył drzwi wagonu. Wszyscy jeńcy wyskoczyli z jadącego pociągu. Wśród nich znajdował się także mój pradziadek. Spod miejscowości Łączki rozpoczął swoją wędrówkę do domu, zajęła mu ona kilka tygodni. Szedł głównie polami i lasami, gdzie także nocował. Pożywienie dostawał od miejscowej ludności. Podążając polami, natrafił na ludzi kopiących ziemniaki, którzy obdarowali go koszykiem, aby nie budził podejrzeń wśród władz.

Był rok 1940. Do Księżomierza dochodziły wiadomości o mieszkańcach wsi, którzy nie przeżyli w obozach na terenie Rosji i Ukrainy. Na liście widniała informacja, że mój pradziadek nie żyje. Moja prababcia nie mogła w to uwierzyć, w głębi serca czuła, że jej mąż żyje. Udała się do miejscowego jasnowidza, zanosząc rzeczy należące do Stanisława. On zapewnił ją, że Stanisław żyje i niebawem wróci do rodziny. Informację tę potwierdził także Polski Czerwony Krzyż zajmujący się poszukiwaniem zaginionych. Jesienią 1940 roku Stanisław dotarł do domu, pokonując 140 km. Był zmieniony i wycieńczony, a zarazem bardzo szczęśliwy z powrotu do rodziny i wolności. Po rocznej nieobecności opowiedział swoje przeżycia rodzinie, która była dla niego ogromnym wsparciem w pierwszych, jakże trudnych miesiącach po powrocie.



Zapewne to, czego dowiedziałam się od mojej babci, jest tylko małą częścią tego, co naprawdę przeżył i doświadczył Stanisław. Trudno jest mi nawet sobie wyobrazić, jak bliskie było mu cierpienie oraz śmierć. Jeszcze przez długie lata powracał on pamięcią do wojennych wydarzeń, które odcisnęły piętno na jego życiu. Choć nie udało mi się nigdy poznać mojego pradziadka, jestem dumna, że był on tak wytrwałym i zdecydowanym człowiekiem. Ta historia

jest dla mnie niezwykła, a zarazem wzruszająca. Najbardziej nieprawdopodobne jest dla mnie to, że ma ona początek właśnie tutaj – w Księżomierzy. Tutaj, gdzie w 1939 roku moja babcia wraz z rodziną przeżyli najtrudniejszy rok w swoim życiu. Za każdym razem kiedy spoglądam na fotografię pradziadka, wiem jedno – to, że ludzie umierają, nie oznacza, że wraz z nimi umiera nasza pamięć o nich. Śmierć nie jest kresem naszego istnienia – żyjemy dalej w naszych dzieciach i następnych pokoleniach. Nasza częśćka zawsze pozostanie, co sprawia, że pamięć o nas nigdy nie zginie.



*Anna Ziarkowska  
A.D. 2013*

## „Ludzie, ludziom zgotowali ten los...”

**D**ZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ TO NAJPIĘKNIEJSZY OKRES w życiu każdego człowieka, taki, do którego chętnie powraca się wspomnieniami w późniejszym życiu. Historia naszego kraju, pokazuje jednak, że nie każdy miał prawo to tych bez troskich chwil.

Temat, który pragnę poruszyć, oparty jest na faktach. Wybrałam go, ponieważ niewielu młodych ludzi wie, jak traumatyczne wydarzenia miały miejsce na terenie naszej gminy.

Historia, którą pragnę się podzielić, dotyczy mojej rodziny, a dokładnie prababci oraz jej siostry. Najstraszniejsze chwile w ich życiu rozegrały się dnia 2 lutego 1944 roku w miejscowości Wólka Szczeka – miejscu zamieszkania moich bliskich. Była to pamiętna data, tym bardziej, że przypada wtedy święto Matki Boskiej Gromnicznej.

Prababcia Stanisława Flisek z domu Mazurek bardzo barwnie godzinami potrafiła opowiadać różne historie o dawnych czasach – co robiła, jadła, czym się zajmowała, jak się ubierała. Z zapartym tchem słuchałam tych opowieści, ale to, czego dowiedziałam się, będąc pewnego razu u niej, przeszło moje najśmielsze oczekiwania, nie były to już tak wesołe opowiadki, jak poprzednie, kiedy byłam jeszcze mała – okazało się, że miały podłoże bardzo tragiczne i wstrząsające.

Zaczynając, prababcia przybrała bardzo smutny wyraz twarzy, w jej oczach pokazały się łzy. Powiedziała do mnie, że jestem już na tyle duża, że mogę poznać tę straszną historię.

Opowiedziała mi o wydarzeniach z czasów II wojny światowej, kiedy to Niemcy razem z wojskami ukraińskimi otoczyli miejscowości: Szczecyn, Wólka Szczeka, Łązek i Borów. Dnia drugiego lutego 1944 rok rozpoczęła się pacyfikacja tych wsi. Prababcia miała wtedy 31 lat i doskonale wszystko pamięta, mówiła, że pomimo upływu tylu lat, obraz tych wydarzeń ma wciąż przed oczami.

Tego dnia jej cała rodzina jak i wszyscy mieszkańcy spali dłużej, ponieważ ze względu na święto, była okazja do odpoczynku. Około godziny siódmej rano usłyszeli dziwne hałasy, jakby ktoś strzelał, przypominało to grzmot pioruna podczas burzy. Wszyscy, którzy byli w domu, zerwali się na równe nogi, wyszli przed dom na drogę i ujrzeli dym z palących się, w niedaleko położonym Szczecynie,

domów. Początkowo myśleli, że to pożar, ale później zobaczyli biegnących w ich stronę mężczyzn, którzy krzyczeli, aby ratował się, kto może, gdyż Niemcy z Ukraińcami zaatakowali wioskę.

Prababcia miała strach na twarzy pomimo, że tak wiele lat minęło od tego dnia, kiedy o tym opowiadała.

Wtedy zaczęto kojarzyć fakty, ponieważ dzień wcześniej, czyli pierwszego lutego 1944 roku nad ich miejscowością krążył długo niemiecki samolot zwiadowczy, teraz wiedzieli, czemu to służyło.

Kobiety zaczęły pakować w domu jedzenie, poduszki, pierzyny (wtedy takie właśnie rzeczy stanowiły wartość materialną dla ludzi) i szukały miejsca, aby to wszystko ukryć. Tata prababci wyciągnął karabin ukryty w piwnicy i razem z innymi mężczyznami udał się do pobliskiego lasu.

Kilka domów dalej mieszkała siostra prababci Sabina Mazurek razem ze swoim mężem, teściami i ośmiomiesięczną córeczką Czesławą. Prababcia razem ze swoją mamą uciekały, zatrzymując się przed domem, gdzie mieszkała siostra, aby pomóc jej uciec wraz z maleństwem, ponieważ od drugiej strony wsi szło wojsko. Żołnierze rozstrzelali każdego napotkanego na drodze, a domy i obejścia dokładnie przeszukiwali i palili, nie oszczędzając ludzi ani zwierząt.

Małe dziecko nie mogło wiedzieć, co się dookoła niego dzieje, więc ze strachu głośno płakało, wtedy nie wiadomo skąd wyłonił się żołnierz niemiecki i zaczął celować do bezbronnej istoty. Siostra prababci uklękła przed nim na kolana i błagała o ocalenie, chociaż dla jej maleństwa, lecz ten człowiek nie miał litości, a w jego oczach można było dojrzeć okrutne zło. Bez żadnych skrupułów uderzył kolbą karabinu w twarz kobiety i ranił ją, po czym wyrwał z jej objęć córeczkę, powiesił na płocie i powiedział: „*Patrz to twój orzeł*”, później z zimną krwią zastrzelił ją na oczach matki.

Prababcia opowiadała mi o tym wydarzeniu płacząc. Słuchając tego razem z mamą również nie mogłyśmy powstrzymać łez. Na jakiś czas zamilkła, w pokoju zapanowała cisza i nikt nie śmiał się odzywać, pomimo że chciałam strasznie dowiedzieć się, co było dalej i jak udało się prababci ująć z życiem.

Po dobrych pięciu minutach otarła łzy, wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać. Siostrze, którą widziała wtedy żywą ostatni raz, z bólu pękło serce, a Niemiec, po tym jak zabił jej córeczkę, strzelił

kilka razy, żeby mieć pewność co do jej śmierci, śmiejąc się przy tym. Najgorsze było w tym wszystkim to, mówiła, że nie mogli nic wtedy zrobić, nawet pochować zabitych, tylko łyzy zalewały twarz.

Na pamiątkę owego wydarzenia prababcia dała swojej córce, a mojej babci na drugie imię tak jak miała jej bestialsko zamordowana siostrzenica.

Ten sam żołnierz kazał wszystkim pozostałym kobietom i dzieciom stanąć w grupie na drodze prowadzącej do Borowa i czekać, a on zastanowi się, co dalej z nimi zrobić. Po pewnym czasie oddalił się gdzieś z inną grupą wojska, które przeszukiwało domy, gospodarskie zabudowania i ziemianki w poszukiwaniu zbiegów.

Trzech innych niemieckich żołnierzy kazało im iść dalej, szli wszyscy przed siebie pomimo dużego mrozu i śniegu, po drodze usłanej trupami, które miały znajome twarze. Doszli do lasu, Niemcy kazali im szybko uciekać, powtarzając w kółko: „*Schnell, schnell, schnell*”, oraz strzelając z karabinów, ale jak się okazało strzelali w powietrze, żeby inni oprawcy myśleli, że wykonują na tych ludziach egzekucję.

Prababcia opowiadała, że towarzyszył jej wtedy paraliżujący strach, który nie pozwalał biec, ale inni krzyczeli, żeby uciekała wraz z mamą do lasu.

Dzięki tym trzem, jak się okazało dobrym i ludzkim Niemcom, razem z mamą i innymi ocalała życie. Udali się do rodziny, która mieszkała na Łanach i tam przetrwali w wielkim bólu najgorszy czas nie wiedząc, co się stało z mężczyznami z ich rodziny. Kiedy powrócili po wszystkim do swojej wioski, zastali tylko zgłiszcza i unoszący się zapach dymu, widoczne były popalone szczątki ludzi, zwierząt oraz kości. Po pewnym czasie powrócił cały i zdrowy tata mojej prababci, ogromna radość towarzyszyła temu spotkaniu, ale też ból i pustka po stracie najbliższych. Paraliżująca była niemoc wobec wroga, działającego w tak okrutny sposób.

Prababcia wspominała także, że po odejściu wojsk było bardzo ciężko i biednie, ale ludzie pomagali sobie nawzajem, pomimo tego, że każde miejsce, po którym stąpali było zroszone krwią i przypominało im o śmierci najbliższych. Kończąc bolesną dla niej historię, powiedziała, że dla ludzi, którzy w tym czasie i miejscu żyli, był to czas apokalipsy, a razem z tymi wydarzeniami umarła jakaś część ich samych.

Podczas całej opowieści miałam łzy w oczach i ciarki przebiegały po moim ciele. Kiedy prababcia zakończyła swoją historię, przytuliłam się mocno do niej i powiedziałam, że bardzo ją kocham i dziękuję za to, że przeżyła, bo dzięki niej mogłam dowiedzieć się o przebiegu tych tragicznych chwil, dotyczących moich przodków i to z tak wiarygodnego źródła.

Po chwili wyszliśmy z domu, wzięła mnie za rękę i poszliśmy na drogę, pokonując kilka metrów, prababcia nagle przystanęła, pokazując mi to straszne miejsce, gdzie rozegrała się tragedia jej siostry oraz siostrzenicy. Powiedziała patrząc mi w oczy: „*To właśnie tu się wydarzyło.*”

Wieczorem wróciliśmy z mamą do domu, ale obraz tych wydarzeń towarzyszył mi przez cały czas. Kiedy zasnęłam, przyśnił mi się sen związany z historią mojej prababci i jej siostry.

Śniłam, że jestem na pięknej, kwiecistej łące, a na jej środku stała młoda kobieta z dzieckiem na ręku, która się do mnie uśmiechała. Podeszłam do niej i wtedy domyśliłam się, że jest to siostra mojej prababci ze swoją córeczką.

Uchwyciła mnie i uniosłyśmy się wysoko do góry nad drzewami i łąką, po chwili zatrzymałyśmy się nad wsią, była dla mnie jakoś dziwnie znajoma: domy z drewna, dachy pokryte słomą, zresztą wszystko wyglądało inaczej, jakbym czytała książkę o dawnych czasach.

Ujrzałam w dole strzelających do ludzi żołnierzy w niemieckich mundurach i swoją ciocię z małą dziewczynką na rękach, do których mierzył z karabinu Niemiec. Widziałam klęczącą, bezbronną kobietę, błagającą o życie dla swojego dziecka i słyszałam okropny śmiech żołnierza.

Obudziłam się z krzykiem i potwornym strachem, zrozumiałam wtedy, co przeżyli podczas pacyfikacji ci wszyscy ludzie i co chciała mi przekazać poprzez tę wizję moja ciocia.

Opowiedziałam mamie sen oraz to, że wszystkie obrazy w nim były bardzo realne, pomyślałam wtedy, że to wielkie szczęście mieć przy sobie mamę i żyć w czasach, kiedy nie ma wojen.

Jestem bardzo wdzięczna swojej prababci, której niestety już nie ma z nami, za tę lekcję historii. Dożyła 94 lat, do końca pamiętała o tych tragicznych wydarzeniach, opowiadając o nich, zabierając nas

na cmentarz w Borowie, gdzie pochowani są wszyscy, którzy zginęli podczas pacyfikacji, również nasi bliscy.

Odwiedzamy prababcię, ale już na cmentarzu, tym samym, gdzie znajduje się zbiorowa mogiła zamordowanych przez okupanta hitlerowskiego ludzi, palimy znicze, modlimy się i pamiętamy o tych ludziach, gdyż są oni częścią nas, stanowią historię naszej miejscowości, ale są też przestrogą dla następnych pokoleń, żeby już nigdy nie było tak, jak w tytule mojego opowiadania, że jedni ludzie są odpowiedzialni za traumę innych. Inspiracją tytułu mojej pracy były „Medaliony” Zofii Nałkowskiej.

*Oliwia Kuśmierz*  
*A.D. 2013*

## W ciemności...

**R**ODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ NIEMCY prześladowali Żydów i wszystkie nacje, które w jakikolwiek sposób pomagały temu narodowi.

Naród żydowski jest ludem pochodzenia semickiego. Zamieszkiwał różne kraje. Eksterminacja Żydów zamieszkujących Europę dokonana została w latach 1939–1945 przez Niemców przy udziale sojuszników i rządy państw zależnych. Zagłada Żydów zgodna była z programem politycznym A. Hitlera zapisanym w „Mein Kampf”. Prześladowania rozpoczęły się zaraz po jego dojściu do władzy. Na naszym terenie także naród żydowski był represjonowany. Więziono, zabijano bez przyczyny, wywożono do obozów zagłady.

Na terenie kopalni w pobliskim Annopolu doszło do bestialskiego mordu Żydów. Ich śmierć była straszna. Takie sceny oglądałam na filmie Andrzeja Wajdy pt. „Katyń”. Przetrzymywani Żydzi wykopali ogromny dół. Pewnie nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że kopią zbiorowy grobowiec, w którym spoczną na zawsze. Żeby dodać dramaturgii, hitlerowcy strzelali do kolejnych osób na oczach pozostałych. W ten sposób zginęło ok. 500 osób.

Polacy, którzy byli zakładnikami, dostali rozkaz przysypania dołu, do którego wpadli martwi. Nie wszyscy jednak umarli. Miejscowa legenda mówi, że „Ziemia trzęsła się trzy dni”. Niektórzy porównywali ich cierpienia do męczeńskiej śmierci Jezusa.

Starsi mówią, że ci Żydzi poszli do Nieba z jękiem na ustach.

Część bogatych Żydów jednak ocalała. Oddawali swój majątek Polakom, w zamian za ukrywanie i opiekę nad ich dziećmi. Tak było między innymi w Mniszku na Stronie. Pan Władysław i pani Stanisława Szymankowie zgodzili się przechować dziecko żydowskie. Była to ośmioletnia dziewczynka. Przez dwa lata ukrywali ją, narażając swoje życie. Mimo ogromnej rozwagi i ostrożności gospodarzy tajemnica wydała się. Po dwóch latach, kiedy przenieśli się z dobytkiem do Wymysłowa, ktoś życzliwy doniósł okupantowi, że ci ludzie pomagają Żydom. Nad tą rodziną zebrały się czarne chmury. Bez względu na okupanci sprawili, że życie tej rodziny zawisło na włosku.

Gdy Niemcy dowiedzieli się o tej dziewczynce, żandarmi przyjechali do sołtysa wsi, którym był Romuald Magiełda. Zabrali go, żeby

ich zaprowadził do rodziny Szymanków. Sołtys musiał z nimi pojechać. Szymankowie początkowo nie przyznawali się do przechowywania dziewczyny. Zagrozili im jednak, że jeżeli nie wydadzą małej Żydówki, zabiją ich trzy córki: piętnastoletnią Marysię, dziesięcioletnią Michasię oraz sześcioletnią Zosię.

Wystraszony gospodarz, pan Szymanek z bólem serca kazał swej żonie przyprowadzić ukrywaną dziewczynkę. Targały nim ogromne wyrzuty sumienia. Wiedział, że to dziecko w ten sposób skazuje na śmierć.

Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że bezwzględni nasiści nie cofną się przed niczym i nie zawahają się zabić jego córek. Zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

Podjął decyzję, która prześladowała go do końca życia. Czuł, że ma krew na rękach.

Stało się tak, jak przewidywał. Hitlerowcy na jego oczach zabrali córki pana Szymanka i małą Żydówkę. Kazali im się położyć na ziemi. Jednym strzałem z broni palnej zgasili wątły płomyk życia niewinnej dziesięciolatki, której jedynym grzechem była Gwiazda Mojżesza.

Przerażone, zrozpaczone córki państwa Szymanków wróciły do rodziców. To wydarzenie, te tragiczne obrazy, dźwięki prześladowały je całe życie.

Niemieccy mordercy kazali zakopać zwłoki małej dziewczynki na podwórku. Sami jakby nigdy nic, wrócili do Annopola, gdzie mieli swoje kwatery.

Historia mojej babci Reginy Drop, a także film Agnieszki Holland „W ciemności” przybliżył mi historię II wojny światowej, a przede wszystkim ciężki los Narodu Wybranego.

Jestem pewna, że słowa „Żyd” nie użyję, aby komuś ubliżyć lub znieważyć.

*Weronika Drop*  
*A.D. 2013*



## Legenda o hrabim

**D**AWNO TEMU W MIEJSCOWOŚCI GOŚCIERADÓW, mieszkał wielce sławny hrabia. Nazywał się Eligiusz Suchodolski. Hrabia mieszkał w pięknym pałacu, który został wybudowany przez jego dziadka Prażmowskiego.

Eligiusz był człowiekiem dobrym, litościwym dla nędzy ludzkiej, nikogo z potrzebujących nie zostawił bez odpowiedniego wsparcia. Dla rządców swych pojedynczych folwarków był prawdziwym ojcem i dobroczyńcą, toteż ci ludzie wiernie mu służyli. Hrabia nie zadłużał swojego majątku, ani go nie trwonił, rządził mądrze i sprawiedliwie. Służba kochała swojego pana i szanowała za jego spokój i rozwagę.

Lata płynęły, a Eligiusz wciąż samotnie zarządzał pałacem i okolicznymi folwarkami. Zbyt przejęty swoim arystokratycznym pochodzeniem, chciał się ożenić odpowiednio, lecz sięgał za wysoko. Pewnego dnia przed drzwiami pałacu stanęła księżniczka Sapieżanka z Galicji. Była ona piękną i posażną panną. Eligiusza zadziwiła jej uroda. A jako że posag był niezgorszy, hrabia postanowił złożyć jej w darze drogocenne szkatuły z kruszcami i pierścieniami, by poprosić o rękę piękną księżniczkę. Księżniczka dary obejrzała, lecz gdy przyszło dać odpowiedź, odważnie odmówiła. Urażony hrabia stał się odludkiem, zamknął się w pałacu i poświęcił się muzyce. Jako dobry wiolonczelista i pianista, urządzał zbiorowe posiedzenia artystyczne, na które zapraszał wybitnych muzyków z Lublina. Pałac gościeradowski rozbrzmiewał wtedy tonami muzyki klasycznej.

Pewnego dnia hrabia musiał wyjechać do Paryża. Zabawił tam dłuższy czas. Poznał tam piękną paryżankę i zakochał się jeszcze raz. Już wydawałoby się, że hrabia wreszcie się ożeni, ale jakieś fatum musiało ciążyć nad biedakiem, bo doznał srogiego zawodu miłosnego. Powróciwszy z Paryża, w akcie desperacji, powziął taki wstręt do niewiast, że wypędził z pałacu wszystkie kobiety. Żadna nie miała prawa przekroczyć progu jego domu, otoczył się tylko męskim towarzystwem.

I tak upływały lata hrabiego w samotności. Jednak pod koniec swojego życia Eligiusz poznał kolejną kobietę. Dla pięknej i młodej hrabiny zbudował nawet łuk triumfalny. Ale do ślubu nie doszło.

Hrabia z żalu zupełnie odwrócił się od świata. Siadał przy kominie i wyciągał skrzypce, które zostały wykonane przez Antonia Stra-

divera. Miały one niezwykle brzmienie. Tak działało się do chwili, gdy hrabia podupadłszy zupełnie na zdrowiu, życie swe zakończył w pałacu w Gościeradowie. Wieść głosi, że hrabia ukrył swoje czarodziejskie skrzypce w murach swojego pałacu. Każdego roku w rocznicę swojej śmierci, w ciszy nocnej, duch zmarłego siada przy kominku i gra piękną melodię w stylu klasycznym. Do dnia dzisiejszego nikt nie odnalazł zaczarowanych skrzypiec. Po niespełnionych miłościach hrabiego zostały budowle, jakich nie ma nikt w Polsce. Dziś turyści chętnie się przy nich fotografują.

Powiem wam w sekrecie, że historia, którą właśnie poznaliście, wcale prawdą być nie musi. Nikt dokładnie nie wie, jakie tajemnice ukrył jeszcze hrabia w swojej posiadłości. Sekrety Eligiusza znają jedynie mury pałacu. Szkoda, że nikt mowy ich nie rozumie.

*Patrycja Zgardzińska*  
*A.D. 2014*

## Spieszmy się kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą!

 BLIŻAŁA SIĘ KOLEJNA ZIMA, a z nią Święta Bożego Narodzenia. Grudzień 2011 r. zaczął się mroźnie i obsypał ziemię białym puchem. Zapowiadały się piękne święta. Czas przedświąteczny to mnóstwo pracy i przygotowań. Również w naszym domu trwały prace przygotowawcze do jednych z najważniejszych świąt w roku. Był 21 grudnia 2011 r. Niby kolejny zwykły dzień w roku. Jednak ten dzień stał się koszmarem, którego nigdy nie zapomnę ani ja, ani cała moja rodzina.

Początek dnia nie zwiastował niczego złego. Poszłam jak zwykle do szkoły. W tym dniu moja mama była w domu, a tata w pracy. Niczego nie przeczuwając, wróciłam ze szkoły. Gdy weszłam do kuchni zobaczyłam moją mamę siedzącą przy stole. Była bardzo czymś zmartwiona i płakała. Wtedy pomyślałam, że chyba coś złego się stało. Usiadłam obok mamy. Mocno ją przytuliłam i spytałam, co się wydarzyło.

Mama ze łzami w oczach odpowiedziała: „Dziś w godzinach przedpołudniowych w Afganistanie miał miejsce tragiczny wypadek. Podczas patrolu zginęło pięciu polskich żołnierzy.” Od razu zrozumiałam, że może chodzić również o mojego chrzestnego. Marek to brat rodzony mojej mamy. Wyjechał we wrześniu 2011 r. na misję pokojową do Afganistanu.

Około godziny 10.00 rano podczas porannych wiadomości napłynęły te przykre informacje. Dzień zaczął się bardzo dłużyć. Oczekiwanie i niepotwierdzone informacje zburzyły spokój naszej rodziny. Nadzieja mieszała się z rozpaczą. Z godziny na godzinę napływały jednak coraz gorsze dla nas wiadomości. Masowe środki przekazu zaczęły podawać coraz dokładniejsze informacje dotyczące zamachu na naszych żołnierzy w Afganistanie.

Do taty, który był w pracy, również dotarły te tragiczne wiadomości. Nie mógł się skupić ani znaleźć sobie miejsca. Mimo to jednak musiał dalej pracować i czekać w niepewności na napływające informacje.

Około godz. 12.00 było już wiadomo, że wszyscy żołnierze, którzy zginęli, służyli w 20 Bartoszyckiej Brygadzie Zmechanizowanej. Ta wiadomość zmroziła naszą rodzinę. To właśnie w tej jednostce służył Marek. Jednak nie dopuszczaliśmy do siebie myśli, że to nasz

bliski mógł zginąć w tej tragedii. Cały czas tliła się w nas iskierka nadziei, że Marek żyje.

Próbowaliśmy dzwonić do Marka. Jego telefon nie odpowiadał. Na Skypie również nie był dostępny. Z minuty na minutę emocje rosły. Przerzucaliśmy kanały informacyjne, śledziliśmy najnowsze informacje internetowe. Nadal nadzieja tliła się w naszych sercach.

Około godz. 14.00 podano nowe wieści. Minister Obrony Narodowej oznajmił, że są już znane wszystkie fakty dotyczące tej tragedii. Powiedział również, że znane są mu dane personalne zabitych żołnierzy. Do publicznej wiadomości zostaną one podane dopiero po skontaktowaniu się z rodzinami ofiar. Wszystko miało być jasne do godz. 16.00.

Nasze emocje sięgały zenitu. Nadzieja umiera ostatnia, więc i my do końca nie dopuszczaliśmy myśli, że to właśnie Marek może być na tej liście. Patrzyliśmy na nasze telefony. Modliliśmy się w duchu, aby milczały jak zakłète. To było nasze największe marzenie. Każdy z nas wiedział, że wraz z dzwonkiem telefonu otrzymamy tragiczne wieści.

Stało się jednak inaczej. Około godziny 15.30 zadzwonił telefon taty. W słuchawce usłyszał przedstawiającego się człowieka. Była to osoba wojskowa. Pierwsze słowa jakie usłyszał brzmiały: „Przykro mi”. Zobaczyłam, że nogi pod tatą się ugięły, jego oczy momentalnie stały się mokre, popłynęły łzy wielkie jak grochy. Wszystko stało się jasne. Straciliśmy go...

Nadzieja, która umiera ostatnia, oddała swoje ostatnie tchnienie. Cisza..., smutek..., żal... Straciliśmy nie tylko bohatera, który walczył i przelewał krew za innych w walce o pokój. Odszedł od nas przede wszystkim ktoś, kto był dla nas bardzo bliski. Był przecież ojcem, mężem, dzieckiem, bratem, kuzynem. Pozostawił żonę, córkę, mamę, rodzeństwo. Miał zaledwie 25 lat i mnóstwo marzeń oraz pomysłów na następne lata.

Dzień 21 grudnia 2011 r. zamienił nasze życie w koszmar. Serca nasze wypełniły się żalem i pytaniami: Dlaczego on? Zapomnieliśmy o Bożym Narodzeniu. Zamiast radości w naszym domu pojawił się ogromny smutek i żal. Zrozumiałam, że nadchodzące święta nie będą już normalne.

Wśród żywych nie ma jednego z nas, kogoś, kogo kochaliśmy. Nie ma wujka Marka!!!

Kolejne dni były dla nas bardzo ciężkie. W Wigilię 2011 r. odbyła się ceremonia pogrzebowa. To kolejny dzień, który zapamiętamy do końca życia. Czas, w którym w naszych sercach miał się narodzić Chrystus Zbawiciel, stał się dla nas czasem straty. Została pustka, smutek, żal i ta przerażająca cisza. Święta straciły dla nas urok i radość z ich przeżywania. Zawsze będą nam się kojarzyć z czymś przykrym, co nas spotkało, z czasem, w którym zabrakło nam bliskiej osoby.

Często zadaję sobie pytanie: Dlaczego tak wiele przykrości spotyka moją rodzinę?

Śmierć Marka to tylko jedna z wielu tragedii, które dotknęły naszych najbliższych.

Jednak czas Świąt Bożego Narodzenia pozostanie w naszej pamięci okresem smutku i żalu. Właśnie w tym czasie straciliśmy bliskich naszemu sercu. W Wigilię 2007 r. zmarł mój dziadek. Cztery lata później również w Wigilię pożegnaliśmy Marka, brata mojej mamy.

Ja mam jedno wielkie pragnienie, aby naszą rodzinę w Święta Bożego Narodzenia spotkała dobra wiadomość. Wtedy może moglibyśmy znowu cieszyć się choinką, prezentami, nadzieją i radością. Tylko jaka wiadomość mogłaby zrównoważyć opisane nieszczęścia? Mam jedną schowaną na samym dnie serduszka. Jestem pewna, że ją usłyszę.

Życie to czas, w którym człowiek podąża pewnymi drogami. Jednak szkoda, że czasami dla niektórych są one bardzo kręte i wyboiste.

*Wiktoria Galant  
A.D. 2014*

## Ludzie, którzy wpłynęli na moją miłość do języka ojczystego

**T**YTUŁ MOJEJ PRACY MOŻE WYGLĄDA TROCHĘ BANALNIE, bo przecież wszyscy od dzieciństwa mówimy w języku ojczystym, najpierw prostym, a później przez lata, coraz bardziej skomplikowanym.

Z okresu dzieciństwa pamiętam taką scenę, kiedy dostałam od Mikołaja 16- kartkowy zeszyt i ołówek oraz struganego drewnianego ptaszka. Teraz patrzę z perspektywy 50-ciu lat, że były to przedmioty symboliczne w moim życiu, ponieważ pisanie, czytanie ciekawych książek i śpiewanie, to moje pasje.

Zawsze prowadziłam swoje zeszyty szkolne systematycznie, a w uwagach pozostawionych przez nauczycieli czytałam: „Piszesz czysto i starannie”. Zarówno pisanie, jak i głośne czytanie oraz recytacja do dzisiaj mi towarzyszą. Stało się to za sprawą wielu osób, które pojawiły się na mojej drodze życia, były dla mnie wzorem i przyczyniły się do poszerzenia moich horyzontów literackich. Tych osób było wiele, ale wspomnę tylko niektóre z nich.

Gdy pobierałam nauki w Uniwersytecie Ludowym w Gościeradowie, musiałam odbyć 2-tygodniowe praktyki. Moja praktyczna nauka zawodu odbyła się w Fili Gminnej Biblioteki Publicznej w Księżomierzy. Prowadziła ją wówczas pani Kazimiera Tkaczyk. Wspaniała kobieta – bibliotekarka, która obecnie jest na emeryturze. Pani Kazia bardzo lubiła książki, zawsze umiała podpowiedzieć dobrą lekturę, zachęcić do jej przeczytania, przybliżyć wątki i robiła to tak, że nie można było się oprzeć, by poleconej przez nią książki, nie wypożyczyć.

Następną osobą, której nie zapomnę jest pani Zosia Stola. To polonistka, nauczycielka Szkoły Podstawowej w Księżomierzy, która pochodziła z tej właśnie miejscowości, a która obecnie mieszka w Warszawie. Pani Zosia uczyła nas języka polskiego, ale poza obowiązkową nauką prowadziła kółka polonistyczne, organizowała różne występy teatralne, akademie, przebierane skecze oraz konkursy m.in. recytatorski. Z tamtych lat doskonale pamiętam „Poloneza” z „Pana Tadeusza”.

Z sentymentem wspominam panią Leokadię Nosek, która dawniej mieszkała w Księżomierzy i pracowała w sekretariacie szkoły podstawowej i zawodowej w Księżomierzy. Miała niezwykle piękny charakter pisma. Pisała ludziom podania i różne pisma administra-

cyjne oraz osobiste. Wiem, że później dłuższy czas mieszkała z rodziną w Kraśniku Fabrycznym, ale już nie żyje. Pozostały po niej tylko zapisane kartki w dokumentach mojej rodziny.

Odszedł też na zawsze ks. Tadeusz Brzyski – proboszcz w Parafii Księżomierz w latach 70-tych. Był dobrym katechetą, z którym często pisaliśmy wypracowania. Bardzo dbał o wygląd terenu zielonego wokół kościoła i uczył nas porządkowania placu parafialnego.

Pamięć tak godnych osób trwa i będzie zawsze trwać w naszym pokoleniu, zawdzięczamy im swoje wychowanie i otwarcie na innych ludzi.

*Teresa Zbytniewska  
A.D. 2014*

## Moja pierwsza praca

**J**ESTEM MIESZKANKĄ WSI WÓŁKA GOŚCIERADOWSKA od urodzenia. Przyszłam na świat w 1950r. w rodzinie chłopskiej. Moi rodzice posiadali gospodarstwo rolne o pow. 3,66 ha. Ziemia była piaszczysta, więc w domu było różnie, żyło się biednie. Uczęszczałam do Szkoły Podstawowej w Gościeradowie, którą ukończyłam w 1964 r. Od września zaczęłam uczęszczać do Technikum Ekonomicznego w Annopolu. Szkoła zgodna z moim zainteresowaniem. Byłam wzorową uczennicą, a oceny bardzo dobre mobilizowały mnie do dalszej nauki. Wiadomości zdobyte w szkole pragnęłam wykorzystać w pracy. W 1969 r. zdałam maturę i otrzymałam propozycję studiów, z której nie skorzystałam z powodu braku funduszy.

Przy wręczaniu dyplomu z wynikiem dostałam skierowanie do odbycia stażu w POM. Staż w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Gościeradowie rozpoczęłam od 15.08.1969 r. Pracowałam od 7.00 rano do 15.00. Koniec pracy oznajmiała syrena. Do moich obowiązków należało: malowanie opon dekoracyjnie ułożonych przed wjazdem do zakładu i na jego terenie, sadzenie kwiatów, sprzątanie, grabienie, mycie okien w hali naprawy ciągników. Za wyróżnienie w tej pracy dostałam od kierownika pana Balwickiego 1 dzień wolny na ślub brata (w tym czasie nie było urlopów okolicznościowych).

Pracy biurowej było mało, jedynie: stemplowanie druków, pomoc w remanentach, zbieranie zamówień na nawozy, wapna i nawet pomoc w rozprowadzaniu.

Często w zastępstwie sekretarki zostawałam na sekretariacie, łącząc rozmowy z centralki oraz sporządzając dokumenty na maszynie do pisania. Staż trwał 1 rok. Po tym okresie pojechałam na egzamin do Lublina z dyrektorem Bogusławem Olszowym oraz główną księgową Bogumiłą Stepuch. Zaliczyłam go z wynikiem bardzo dobrym i dostałam pracę jako pracownik fizyczny w magazynie POM prowadząc kartoteki materiałowe u magazyniera Tadeusza Ostrowskiego. Warunki pracy tu były niezbyt dobre. Było zimno. Musiałam sobie codziennie napalić i sama posprzątać. Mimo to zadowolona byłam, że pracuję, bo w domu się nie przelewało. Dom był jeszcze nie wykończony, więc każdy pieniądz przeznaczyłam na jego wyposażenie. W czerwcu 1972 r. stało się coś, czego się nie spodziewałam. Dnia



14 VI 1972 r. dostałam wypowiedzenie z pracy bez podania przyczyn. Po rozmowie z osobą pełniącą obowiązki dyrektora dowiedziałam się, że w magazynie potrzebny był mężczyzna. Moje marzenia prysły. Na moje miejsce przyjęto syna kierownika PGR.

Odwoływałam się do związków zawodowych, które mi nic nie pomogły. Zwróciłam się więc do Komitetu Powiatowego PZPR w Kraśniku. Tutaj dostałam pomoc. Pan z powiatu przyjechał do sekretarza Gromadzkiej Rady Narodowej w Gościeradowie Zygmunta Mozgawy celem zasięgnięcia opinii o mnie. Pan Zygmunt zdziwił się, że zostałam zwolniona z POM i zadeklarował, że na pewno mnie przyjmie do pracy w Gromadzkiej Radzie, bo mnie osobiście zna i potrzebuje pracowników ze średnim wykształceniem. Do pracy zostałam przyjęta 1.08.1972 r. Tutaj spotkałam się z ludźmi życzliwymi, dobrymi, chętnymi do pomocy. Ponieważ pobory były płacone z góry, zaraz pierwszego dnia dostałam pieniądze, co podniosło mnie na duchu. Pomyślałam, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Byłam bardzo zadowolona i chciałam się w końcu czegoś nauczyć. W listopadzie odbyły się rozmowy i zostałam już zakwalifikowana do pracy od 1.01.1973 r. jako pracownik Urzędu Gminy Gościeradów na stanowisku planowania i statystyki. Robiłam różne prace spisowe, byłam kasjerką, płaciłam pobory i przyjmowałam pieniądze od sołtysów. Jeździłam na szkolenia, pogłębiając swoją wiedzę. Przyjmowałam interesantów, szkoliłam rachmistrzów spisowych do spisu rolnego i powszechnego ludności. Z tych zadań wywiązywałam się bardzo dobrze, za co dostawałam pochwały. Gminą zarządzał wtedy naczelnik gminy. Od 1.01.1973 r. do 17.12.1973 r. był nim Jan Głuszc. Praca z w/w naczelnikiem układała mi się bardzo dobrze, tak samo jak z następnym naczelnikiem Antonim Sławuszeuskim (18.12.1973 r. – 1990 r.). Później równie dobrze współpracowało mi się z wójtami: Zdzisławem Szczygłem (1990 r. – 1994r.), wtedy zgodnie z moim zainteresowaniem zostałam księgową i jednocześnie kasjerką, Henrykiem Śledzikiem (1994 r. – 2002 r.) i obecnym wójtem Janem Filipczakiem (2002 r. – 2006 r.).

Na początku do 1997r. włącznie wszystko księgowałam ręcznie w „Dzienniku głównym” i analitycznie. Od 1998 r. wprowadzono komputery. Gdy sama nauczyłam się pracy w programie komputerowym, podzieliłam się swoją wiedzą i umiejętnościami z księgową

z Gminnego Zespołu Szkół oraz księgową z OPS, za co były mi bardzo wdzięczne. Nauczyłam się też nowych programów, które wchodziły w ciągu roku do pracy. Bardzo swoją pracę lubiłam i chciałam pracować wiecznie.

Przyszedł czas, że musiałam się rozstać z moją ukochaną pracą. Chciałam, żeby też zaczęli pracować młodzi, którzy ukończyli studia w tym kierunku. Rozstać się było trudno, ale myśl, że młodzi mają rodziny, chcą pracować, a ja mam wypracowane lata i dostanę emeryturę, pozwoliły mi na pogodzenie się z tym. Niech młodzież pracuje i zdobywa wiedzę. Po odejściu na emeryturę przez 5 lat opiekowałam się chorym wujkiem, a po jego śmierci zapisałam się do Klubu Seniora w Gościeradowie.

Chcę być nadal aktywna, pokazać, że jestem też potrzebna, poznawać ludzi, ich zainteresowania i cieszyć się każdym sukcesem.

Przechodząc chodnikiem, często spoglądam na piękny budynek urzędu gminy, gdzie przepracowałam 34 lata i mam miłe wspomnienia o ludziach tu pracujących. Chcę żyć z tym wspomnieniem jak najdłużej. Myślę, że oni mają o mnie też dobre wspomnienia.

*Danuta Olech*  
*A.D. 2014*

## Razem było lepiej

**K**IEDY PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ ucichły już odgłosy bomb, wystrzały armat, czołgów i karabinów, kiedy po pacyfikacji wygasły płomienie ognia, wiatr rozwiął dymy i przepędzono już wroga na dobre, długo jeszcze unosił się swąd spalenizny. Znikły już śniegi z pól i łąk, a słoneczko unosiło się nad spaloną wsią coraz wyżej.

Przyszła wiosna. Ludzie zapragnęli powrócić na swoje miejsce. Rozpaczali po stracie swoich najbliższych, ale coś ciągnęło ich do „starych śmieci”. Ponieważ nie było domów, zamieszkivali piwnice i doły ziemniaczane. Wciąż mieli nadzieję, że ktoś z rodziny jeszcze się odnajdzie. Zdarzało się, że ludzie informowali się między sobą, że ktoś tam pytał o kogoś, że ktoś widział kogoś, kto mieszka gdzieś u gospodarza. Takim sposobem odnajdowali się i wracali. Było tak, że wracali ze względu na złodziei, którzy buszowali po spaleniskach i rabowali, co się dało. Szukali po dołach ziemniaczanych i piwnicach upieczonych prawie ziemniaków, gdzieś stała nadpalona beczka z kapustą, opalone worki z mąką czy kaszą. Także zboże cieszyło się ich zainteresowaniem. Brali, co się dało dla swoich zwierząt. Na spaleniskach leżały nieżywe: krowy, świny czy kury. Złodzieje podjeżdżali nocą furmankami, zbierali, co się dało i wywozili do swoich domów. W czasie pacyfikacji ludzie wrzucali w pośpiechu do piwnic różne rzeczy: pościel, odzież i zapasy jedzenia. Wracali, więc nawet z tego względu, żeby uratować przed złodziejami, rabusiami rzeczy, które były ich własnością. Ciężko było zaczynać od nowa samemu, więc łączyli się w grupy, przygarniając się nawzajem. Razem było lepiej: mężczyźni mieli wsparcie w kobietach, kobiety wielką pomoc od mężczyzn. Liczyła się każda para rąk, a pracy było bardzo dużo dla każdego. Niektórym się udało, bo przeżyła cała rodzina, ale wszystkim było ciężko. Wszyscy zaczynali od zera. Nie było nic. Członkowie rodzin często chodzili od wsi do wsi, aby żebrać o jedzenie, ubrania, o wszystko, co było potrzebne do codziennego życia. Pogorzelnicy zamieszkivali piwnice i doły ziemniaczane, a kto był zaradniejszy i w sile wieku, to budował ziemiankę albo budkę wokół niezawalonego komina. Budowano też lepianki z tyczek owijanych powrósłami zlepionymi gliną, ale najpierw trzeba było wyżebrać snopki słomy. Robili też „prycze” z tyczek przyniesionych na plecach z lasu. Rozkła-

dali słomę żytnią, aby nie spać na ziemi. Dobrze, jak komuś została pościel, to chociaż dzieci można było przyodziać. Czasem plandeka wojskowa zastępowała prześcieradła, jeśli ktoś miał trochę szczęścia i znalazł w miejscu, gdzie stacjonowało wojsko. Czasem żołnierz podarował w zamian za coś. Ludzie jeździli po lasach, szukali takich miejsc po wojsku i przywozili różne rzeczy, nawet jakieś meble: stoły, ławy, skrzynie. Wszystko się przydawało i wszystko było potrzebne. Ale jeszcze trzeba było mieć konia i wóz, bo nie wszyscy mieli. Zdarzało się, że jakiś dobry człowiek złapał i przetrzymał zwierzę, by później oddać właścicielowi. On pożyczał wtedy sąsiadom, a oni dzielili się z nim tym, co znaleźli lub uprosili. W mojej rodzinie do dziś przetrwała drewniana mocna ława, wcześniej był też stół, ale korniki się z nim rozprawiły.

Ludziom było bardzo ciężko. Wojna i pacyfikacja była ciężka do przeżycia. Troszkę lepiej się wiodło tym, którzy mieli rodziny w okolicznych wioskach takich jak: Gościeradów, Liśnik, Wólka Gościeradowska, Mniszek, Łany czy Księżomierz. Te wsie nie były spalone. Mieszkańcy zamożniejsi mogli podarować pogorzelcom coś ze zwierząt domowych: prosiaki, cielę czy nawet krowę, również ptactwo domowe: kwokę z kurczętami, kaczki czy gęsi.

Ludzie brali się do pracy, aby jak najwięcej przez lato urobić. Budowali domy, hodowali zwierzęta, obsiewali również pola, wcześniej upraszając zboża na siew czy ziemniaków do sadzenia. Pola nie leżały ugiorem. Najtrudniej było przeżyć do żniw. Jak był przednówek, to wszędzie było biednie, nawet na wsiach niespalonych. Kiedy już przyszły żniwa i zboże dojrzało, uruchomiano sierpy i kosy. Aby zebrać zboże z pól i pozwozić do domu, niezbędna była pomoc sąsiedzka. Pomagano sobie nawzajem. Kto miał konia, pomagał zwozić, kto umiał młócić capami, pomagał młócić. Kobiety przesiewały zboże sitami, a potem przewiewano je na wietrze, aby oczyścić z plew i resztek słomy. Czyste zboże mielono na mąkę na tak zwanych „żarnach”. Są to dwa kamienie, którymi kręcąc, mełło się zboże na mąkę: żyto na chleb, pszenicę na placki i kluski. Z tak ze zmielonego zboża otrzymywano ciemną mąkę zwaną razową, z której pieczono ciemny chleb, ale głodu już nie było. Kto miał krowę, dzielił się mlekiem z rodziną i sąsiadami. Kto miał proso, robił kaszę jaglaną, inny miał jęczmień, z którego robił kaszę jęczmienną, a kto miał tatarkę, wyrabiał kaszę

tatarczaną. Tym wszystkim dzielono się między sobą. Ludzie byli lepsi i czulsi na nieszczęście innych. Jeszcze lepiej było jesienią, wtedy nakopano ziemniaków i buraków cukrowych. Buraki były wówczas ważnym produktem żywnościowym. Cukier był trudno dostępny, więc żeby kawa zbożowa była słodka, dodawano do niej buraków. Pieczono też placki z dodatkiem buraków. Nazywano je buraczarzami.

Ludzie byli pracowici, więc się szybko dorabiali. Mężczyźni kopali kamień na Kamiennej Górze. Robiono z niego fundamenty i podmurówki pod nowo budowane budynki i sprzedawano, żeby zarobić pieniądze. Niektórzy pracowali w lesie przy wyrębie drzew. Sprzedając drewno, też zarabiali pieniądze. Wielką popularnością cieszył się handel wymienny. Mój ojciec był wtedy kupcem, skupował w okolicznych wsiach w dużej ilości jajka kurze i woził je aż do Łodzi. Tam sprzedawał drożej, a za pieniądze kupował inne towary. Były to tkaniny na garnitury, czy sukienki, buty letnie i zimowe dla dorosłych i dla dzieci. Kupował również „pościelowe” i „wsypowe andrychowskie”, którego każdy potrzebował na pierzyny i poduszki. Zapotrzebowanie na te artykuły było ogromne. Moja mama pochodziła z Józefowa pod Zdziechowicami. Była krawcową. Miała maszynę do szycia, szyla ludziom, co tylko trzeba było. Przychodziły do niej również kobiety ze wsi, które same umiały szyć, ale nie miały maszyn. Mama udostępniała im swoją, a ponieważ ojciec kupował w Łodzi również nici do szycia, więc z szyciem problemu nie było. Nie wszyscy wrócili do Szczecyna. Babcia wyjechała z córką i dwoma synami na zachód w Zielonogórskie. Jeden syn został w Józefowie. Starsza siostra ojca wyjeżdżała z moim ojcem do Łodzi i tam wyszła za mąż.. Tylko ojciec mój wrócił do Szczecyna, gdzie pracował, jak wszyscy i odbudował gospodarstwo rodziców na spalenisku. Ciężar wojny i pacyfikacji pokrzyżował plany niejednej rodzinie. Rozdzieleni, rozłączeni musieli się pozbierać. Bardzo ciężko im się żyło. Dzisiaj trudno niektórym wyobrazić sobie, że to właśnie tu się wydarzyło.

*Krystyna Ziółkowska*  
*A.D. 2014*

## **„Rosłem razem z Tą Szkołą” – wywiad z dyrektorem szkoły**

 TYM ROKU PRZYPADA JUBILEUSZ 44-lecia funkcjonowania Zespołu Szkół im. Wł. St. Reymonta w Wólce Gościeradowskiej. Jest on inspiracją do wspomnień i refleksji. Dyrektorem placówki jest obecnie Grzegorz Latawiec i z nim chciałabym porozmawiać na temat tego, co właśnie tu się wydarzyło.

**– Panie Dyrektorze, proszę powiedzieć kilka słów o sobie.**

– Jestem dojrzałym pięćdziesięciolatkiem, żonatym, mam dwóch dorosłych synów. Zawodowo od 1990 roku pracuję w Zespole Szkół w Wólce Gościeradowskiej, na początku jako nauczyciel zawodu, potem jako kierownik szkolenia praktycznego, wicedyrektor. Od trzech lat jestem dyrektorem zespołu szkół. A więc tak naprawdę cała moja kariera nauczycielska rozwijała się w tej szkole.

**– Czy pamięta Pan swoje pierwsze spotkanie ze szkołą, pierwsze lekcje?**

– Oczywiście, że pamiętam, chociaż pamięć trochę się zaciera... Pamiętam osoby, miejsca, pamiętam nawet swój pierwszy dzień w tej szkole. Faktem jest, że jako mały chłopiec byłem na otwarciu Zespołu Szkół w Wólce Gościeradowskiej. Pamiętam, że siedziałem na krzeselku i machałem nogami, nie wiedząc, co się wokół mnie dzieje. Potem ukończyłem tutejsze technikum rolnicze. Od urodzenia mieszkam w Gościeradowie, toteż chodząc do szkoły, widziałem, jak przez minione trzydzieści lat rozbudował się i Gościeradów i Wólka Gościeradowska. Można powiedzieć, że „rosłem razem z tą szkołą”. Urodziłem się przecież w 1964 roku, a więc wtedy, kiedy GRN podjęła decyzję o jej powstaniu.

**– Proszę opowiedzieć, co Pan czuł, rozpoczynając tu pracę jako nauczyciel.**

– Tak jak wspomniałem, w zespole szkół jako nauczyciel pracuję od 1990 roku. Pamiętam, że w dniu rozpoczęcia roku szkolnego znalazłem się trochę w innej roli niż było to dotychczas. Pracujący tu nauczyciele bardzo serdecznie mnie przyjęli. Poczułem się jak w domu. Życzyłbym wszystkim nauczycielom, którzy rozpoczynają pracę zawodową, aby spotkali takich życzliwych i otwar-

tych współpracowników, którzy przecież nie tak dawno stali po „drugiej stronie ławki” - będąc moimi nauczycielami. Pamiętam też pierwsze klasy, które uczyłem. Do dziś przechowuję wiele czarno-białych zdjęć z tamtego okresu. Muszę przyznać, że z nostalgią i wzruszeniem je przeglądam.

**– Czy we współczesnej szkole brakuje Panu czegoś, co było w dawnej szkole?**

– Jedyne, czego mi brakuje, to specyficznego klimatu, empatii w rozumieniu klasy i tożsamości szkolnej, utożsamiania środowiska ze szkołą oraz większego zaangażowania rodziców w działalność szkoły.

**– Do jakich momentów swojej pracy najchętniej Pan wtedy wraca?**

– Bywają to bardzo różne chwile, ale najlepiej i najczęściej wspominam swoje pierwsze klasy, w których uczyłem. Jako nauczyciel zawodu nigdy nie zapomnę, jak w latach 90-tych w celu podniesienia poziomu dydaktyki szkolenia praktycznego rozbudowano w szkole bazę dydaktyczną, powstała stacja kontroli pojazdów, dział napraw pojazdów, pracownia gospodarstwa domowego, pracownia higieny i szycia, pracownie informatyczne. Zakupiono nowe samochody do nauki jazdy oraz sprzęt rolniczy. Baza szkolenia praktycznego umożliwiała uczniom nabycie i doskonalenie umiejętności praktycznych. Uczniowie z zacięciem i ciekawością właściwą młodym ludziom oglądali nowe sprzęty, pracowali na nich, wyjeżdżali na praktyki krajowe i zagraniczne. Zaplecze rolnicze stwarzało im duże możliwości. Dziś wracamy do dobrych sprawdzonych praktyk w zakresie nauki zawodu.

**– Zanim przejdziemy do aktualnych, dzisiejszych szkolnych spraw, chciałabym zapytać o to, co Pan czuł, zostając dyrektorem szkoły? Jakie były te najbardziej bliskie myśli, może nawet obawy?**

– Od 1994 roku pracowałem jako kierownik szkolenia praktycznego, a od 2007 jako wicedyrektor, więc miałem możliwość zapoznania się z pracą na stanowisku kierowniczym. dyrektorem zespołu szkół jestem od 2012 roku. Jest to bardzo odpowiedzialna funkcja. Chcę wykorzystać istniejącą bazą lokalową, zaplecze rolnicze, które jest mi doskonale znane. Nie jest to dla mnie przecież nowe miejsce. Jestem absolwentem i nauczycielem tej szkoły. Mojej pracy przyświeca myśl Williama Jamesa „Dziś uczymy tego, co uczniowie jutro zrozumieją, a co będzie im to potrzebne pojutrze”.

**– A jakie miał pan oczekiwania względem młodzieży, uczniów, zostając dyrektorem?**

– Przede wszystkim muszę powiedzieć, że jestem dumny z zaangażowania społecznego naszych uczniów, z ich osiągnięć. Wśród absolwentów naszej szkoły są liczni stypendyści Prezesa Rady Ministrów, Starosty Powiatu Kraśnickiego. Nasz uczeń przez kolejne dwa lata był laureatem Centralnej Olimpiady Wiedzy i Umiejętności Rolniczych. Mamy też laureatów konkursów przedmiotowych organizowanych przez Lubelskiego Kuratora Oświaty w Lublinie – z języka polskiego, języka angielskiego i chemii, Powiatowej Olimpiady Wiedzy o Zdrowiu, Powiatowego Konkursu Krajoznawczego „Czy znasz swój region?”, mamy wybitne osiągnięcia sportowe. Cieszy mnie też zaangażowanie społeczne naszej młodzieży, która chętnie bierze udział w różnych akcjach społecznych. Organizuje wolontariat na rzecz Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy i schroniska w Rachowie (nasza uczennica została przecież Wolontariuszem Roku), przeprowadza akcje krwiodawstwa pod patronatem Zespołu Powiatowego Stacji Krwiodawstwa, organizuje corocznie happeningi „Rzuć palenie razem z nami”. Wspólnie z instytucjami samorządowymi i Stowarzyszeniem Przyjaciół Gościeradowa zorganizowaliśmy też konferencje historyczne: „Drogi do niepodległości”, „Powstanie styczniowe na Lubelszczyźnie i na Podlasiu”. Chcę też powiedzieć o ostatnim sukcesie naszej młodzieży – Karolina Pierzchała (I miejsce) i Michał Pierzchała (IV miejsce) zostali laureatami Powiatowego Konkursu z Języka Angielskiego, pokonując w ten sposób uczniów z innych renomowanych szkół. Świadczy to o tym, że zdolni, ambitni uczniowie mogą również i w ZS w Wólce Gościeradowskiej rozwijać i poszerzać swoje zainteresowania. A przede wszystkim cieszy to, że nasi absolwenci odnajdują się w trudnej rynkowej rzeczywistości. Z sukcesem kończą studia wyższe, są pożądanymi, wykwalifikowanymi pracownikami. Wśród nich są nauczyciele, lekarze, żołnierze, policjanci. Z satysfakcją i nieskrywaną radością witamy ich też jako pracowników naszej szkoły.

**– Czy chętnie Pańscy uczniowie uczestniczą w realizacji projektów unijnych?**

– Obecność Polski w Unii Europejskiej otworzyła przed nami duże możliwości, nasza młodzież też z nich korzysta. Realizujemy



różnorodne projekty unijne, dzięki którym uczniowie poszerzają swoją wiedzę i rozwijają zainteresowania np.: „Kariera zawodowa przed nami”, „Wiedza – gwarancją sukcesu”, „Wzmocnienie tożsamości kulturowej i aktywności obywatelskiej mieszkańców Lubelszczyzny”, „Model szkolnego przedsiębiorstwa społecznego na obszarach wiejskich i miejsko-wiejskich”, „Aktywna młodzież na rzecz samorządu lokalnego” (uczniowie LO w ramach tego projektu przygotowali przewodnik turystyczny po gminie Gościeradów).

– **Jakie są pańskie plany związane ze szkołą podczas pełnienia funkcji dyrektora ?**

– Widzę duże możliwości związane z wdrażaniem nowych kierunków kształcenia w szkole. Ze względu na właściwe wyposażenie placówki może ona śmiało konkurować z innymi szkołami, zwłaszcza w pionie rolniczym i żywieniowym. Dziś zauważamy marginalizację zawodu rolnika, toteż należy szukać nowych, alternatywnych form działalności rolniczej. Może to być hodowla koni lub agroturystyka. Już od kilku lat umożliwiamy naszej młodzieży zdobywania dodatkowych umiejętności i kwalifikacji, organizując kursy: agroturystyczny, chemizacyjny, barystyczny, florystyczny, kelnerski, kurs dający uprawnienia do obsługi i eksploatacji kombajnów zbożowych czy kurs prawa jazdy. Chcę wykorzystać położenie szkoły w mikroregionie, obok znajdują się dwa rezerwaty przyrody – Rezerwat „Marynopolie” i Rezerwat „Szczeckie Doły”. Myślę, że również zaplecze lokalowe, a mam tu na myśli budynek po byłym internacie, może stanowić doskonałą bazę wypadową dla kształcenia w kierunku turystyki wiejskiej. Myślimy też o prowadzeniu szkółki jeździeckiej, hipoterapii dla osób niepełnosprawnych oraz o prowadzeniu hotelu dla koni.

– **No właśnie konie. A proszę powiedzieć, dlaczego hucuły?**

– Hucuły to ustalona rasa konia górskiego. Powstała jako zlepek różnych typów koni. Mimo surowych warunków bytowania hucuły odznaczają się bardzo dobrym zdrowiem i świetną kondycją. Zarówno ogiery, jak i klacze odznaczają się żywym temperamentem, łagodnym usposobieniem i przyjaznym człowiekowi charakterem. Hucuły są rasą o bardzo dobrych predyspozycjach do hipoterapii. Ich wzrost, budowa, cechy psychiczne odpowiadają warunkom hipoterapii. Myślę, że prowadzenie hodowli koni może

dziś być alternatywą dla rolników, stąd zamiar wprowadzenia nowego kierunku kształcenia – technik hodowli koni. W nowym roku szkolnym będziemy organizować zajęcia z zakresu hipoterapii. Jest to, co prawda młoda, ale uznana forma rehabilitacji, stosowana zarówno wobec dzieci, jak i dorosłych. Stosuje się ją w wielu zaburzeniach fizycznych i psychicznych. Koń daje wrażenie chodu ludzkiego, dlatego może stanowić pierwszy etap nauki chodzenia, koń zmniejsza też wzmożone napięcie mięśni, stopniowo eliminuje nieprawidłowe, mimowolne odruchy towarzyszące dziecięcemu porażeniu mózgowemu, przywraca zaburzoną symetrię mięśni tułowia, koryguje postawę ciała. Można więc powiedzieć, że koń jest uniwersalną pomocą terapeutyczną i edukacyjną w rehabilitacji osób niepełnosprawnych. Ponadto wszystko wskazuje na to, że te huculy, które mamy, wydają się być zadowolone i szczęśliwe. Cieszy nas to i potwierdza, że tereny przyszkolne to dobre miejsce dla tych koni i wybór ten był trafiony.

– Szkoła jest mocno związana ze środowiskiem lokalnym. Co mógłby Pan zaproponować osobom dorosłym w ramach szeroko pojętej dziś edukacji?

– Jest takie powiedzenie, że człowiek uczy się przez całe życie. Nasza szkoła również ma ofertę dla dorosłych, proponujemy zdobywanie nowych kwalifikacji w zawodach: opiekun osoby starszej, opiekun w domu opieki, opiekunka dziecięca, opiekunka środowiskowa, technik informatyk, technik turystyki wiejskiej, technik administracji. Dzięki dodatkowym kwalifikacjom pracownik jest dziś atrakcyjny i pożądanym na rynku pracy. Muszę w tym miejscu powiedzieć jeszcze o tym, że bardzo dobrze układa się współpraca z lokalnymi przedsiębiorstwami, firmami, zakładami pracy czy Ośrodkiem Doradztwa Rolniczego w Kraśniku.

– Dziękuję Panu Dyrektorowi za poświęcony czas i rozmowę. Na koniec życzę dużo wytrwałości w realizacji planów i pomysłów związanych z rozwojem szkoły. Wiem, że do tego są potrzebni kreatywni zapaleńcy, więc współpracy z takimi ludźmi Panu życzę.

*Agnieszka Resztak*  
A.D. 2015

## Wspomnienia o Liśniku Dużym

**M**OJA MIEJSCOWOŚĆ, w której się urodziłam i wychowałam nazywa się Liśnik Duży, pierwotnie „Leśnik”. Położona jest na Wyżynie Lubelskiej. Nazwa pochodzi od otaczających ją lasów i rozpadlin, gdzie gnieźdzą się liczne rodziny lisów. Około dwieście lat temu do naszej miejscowości przybyło pięć rodzin, osiedlając się na stałe. Były to rodziny: Mazurków, Mozgawów, Kowalskich, Dobrzańskich i Skibińskich. Rodziny te zapoczątkowały naszą wieś.

Wioska usytuowana jest nad rzeką Tuczyn i jej dopływem. Tu liczne źródelka wydobywają czystą i bardzo zimną wodę, dlatego dzielnica ta nazywana jest Zimnowody. Pierwsi osadnicy naszej wsi odrabiali pańszczyznę, to znaczy każda rodzina dostała od hrabiego działkę ziemi, z której się utrzymywała, za to mieli wyznaczone kilka dni w tygodniu do odrobienia na pańskim polu. W okresie wzmożonych prac polowych, wszyscy dorośli zobowiązani byli do tej pracy. Było ciężko, wszelkie czynności wówczas wykonywane były ręcznie.

Moja praprababcia doznała dużego upokorzenia od pańskiego ekonoma. Kobieta ta miała liczną rodzinę, więc nie poszła pewnego dnia odrabiać pańszczyzny. Musiała upiec chleb dla domowników. Ekonom, gdy się zorientował, że jej nie ma, pojechał na koniu do jej obejścia, rozsypał mąkę, zniszczył dzieżę i inne sprzęty domowe. Kobieta została pobita i popędzona na pole.

Wioska usytuowana jest nad rzeką, z której ludzie pobierali wodę do picia, gotowania i na inne cele gospodarskie. Każdy wzdłuż rzeki na swojej posesji wykopał sobie małą studzienkę. Nazywało to się stoczek. Od dużego zakrętu Małego Liśnika do pierwszego mostu, rzeka jest zasilana przez samoczynne źródelka. One to zawsze dawały czystą wodę i były wzmacniane drewnianą cembrowiną i pogłębiane. W wyższych partiach wioski budowano studnie z żurawiem i na korbę. Jednak dopiero po drugiej wojnie światowej większa część rolników pobudowała studnie i ujęcia wodne. Liśnik Duży składa się z trzech dzielnic: wieś przy szosie, Kolonia i wzdłuż dopływu rzeki – Zimnowody, gdzie znajdują się w dużej ilości źródelka. Po uwłaszczeniu chłopów w 1863, już od następnego roku wieś zaczęła się rozwijać, zaczęto sprowadzać maszyny pomocne człowiekowi. W tym okresie w Liśniku Dużym na dopływie rzeki postawiono zaporę wodną

z grubych bali, spiętrzone wodę i wybudowany został młyn wodny drewniany. Woda spuszczana była na koło zamachowe ze skrzydłami nasiębiernymi, koło to poruszało dalsze elementy i kamienie do mielenia ziarna. Po drugiej wojnie światowej nastąpiła modernizacja młyna. Sprowadzono silniki spalinowe, a w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, młyn został przebudowany na murowany obiekt i zelektryfikowany. Działał do lat dziewięćdziesiątych. Właścicielami młyna była rodzina Wójcików. Również w miejscowości Liśnik Mały zbudowany był młyn wodny na rzece Tuczyn, lecz to przedsięwzięcie nie powiodło się, ponieważ w tym miejscu wody rzeki nie były tak obfite i nie dostarczały tyle energii, ile było potrzeba do uruchomienia maszyn. Następnie w Liśniku Dużym próbowano budować wiatrak, który też nie dawał dostatecznych korzyści, więc przeniesiony został do pobliskiego Olbięcina, na tzw. Górę Olbięcką. Służył później okolicznym mieszkańcom przez długie lata. Wiatrak był bardzo przydatny. Wyrabiano w nim różne rodzaje mąki i kasze: gryczaną, jaglaną, jęczmienną.

Dzisiaj nasza miejscowość, jak i cała gmina bardzo się zmieniły, ale społeczność naszej okolicy to nadal ludzie bardzo pracowici i dobrzy rolnicy. Są też tolerancyjni wobec innych.

*Zofia Mazurek  
A.D. 2015*

## W cieniu wojny

**W**OJNA TO OKRUTNY CZAS ZWŁASZCZA, gdy cierpią niewinni cywile za to kim są, kim przyszło im być w chorym umyśle hitlerowskiego okupanta, uważającego narody podbite za coś gorszego, podludzi. Właśnie w tych czasach przyszło żyć mojej babci Reginie Tomczyk z domu Iskra. Mimo, iż okrucieństwo wojny nie dotknęło jej osobiście, poznała co to strach i zagrożenie życia. Babcia mało mówiła o tamtych czasach, uznając je za mało istotne i tak odległe. Wspomnienia nie dały jednak się wymazać z pamięci, nieświadomie często bezwiednie przemycane między myślami, słowami czy nawet gestami, wychodziły na światło dzienne.

Pewnego wieczoru, oglądając w telewizji film o Powstaniu Warszawskim, babcia powiedziała, że mogła tam zginąć. Pod wpływem obrazów na ekranie, które ukazywały ogrom tragedii, zaczęła opowiadać własne przeżycia.

Urodziła się i mieszkała wraz z rodzicami i rodzeństwem w Grabówce. Po ukończeniu szkoły w 1939 roku oświadczyła rodzicom, że chce zostać akuszerką. Rodzice widząc, co się dzieje, nie wyrazili zgody, zwłaszcza ojciec – uczestnik pierwszej wojny światowej, ponieważ niejedno widział jako żołnierz armii carskiej. Czas mijał, po wiośnie przyszło lato, a pod koniec lata wojna. Wszystko się zmieniło. W początkach września do wsi zaczęło przybywać coraz więcej obcych ludzi, najpierw od strony Krakowa potem z Warszawy. Nikogo nie pytano o nic, po prostu dawano schronienie.

Przeszedł front, wszystko się uspokoiło. Wieś wróciła do codziennych prac, część uchodźców wyjechała, inni zostali, pomagając gospodarzom w ich pracach. Ksiądz z Księżomierzy i sołtys z Grabówki niektórym przybyłym stworzyli nową tożsamość. Czas płynął, młodzież zaczęła organizować ruch oporu, wykryty przez Niemców za sprawą księdza z kościoła narodowego w Grabówce. Skazano go później na śmierć przez partyzantów. Wyrok wykonano w Księżomierzy na dzisiejszej ulicy Liśnickiej. Moja babcia uniknęła aresztowania przez gestapo, lecz wielu jej znajomych, zwłaszcza przybyłych, nie miało tyle szczęścia, zostali zamordowani za działalność w konspiracji. Ryzyko towarzyszyło jej również później, gdy pod koniec czerwca w 1944 roku ukończyła kurs krawiecki. Pragnąc kupić sobie maszynę do szycia,

a przy okazji zawieźć trochę żywności kuzynce i jej synowi Tadeuszowi, wyruszyła do Warszawy. Kuzynka była siostrą stryjeczną mojej prababci Marii z domu Kamińskiej, obydwie były wnuczkami właściciela majątku Wyżnianka, a więzy rodzinne nie pozwalały na to, aby jedna drugiej nie pomogła w trudnych czasach, zwłaszcza iż pseudo-partyzanci zamordowali w bestialski sposób jej matkę, żądając pieniędzy.

Podczas pobytu Tadzio wciągnął babcię w działalność konspiracyjną. Pomagała mu przewozić broń. Jedno wydarzenie było bardzo niebezpieczne. Przewożąc na wozie ukrytą broń, zostali zatrzymani przez patrol na moście. Babcia, widząc, iż nie ma szans uniknięcia rewizji, jako dziewczyna ze wsi umiała lejcami doprowadzić konia do nerwowego zachowania, zaczął tak jakby tańczyć po całym pasie. Widząc to, niemiecki patrol odstąpił od kontroli i kazał jechać dalej. Czas pobytu w stolicy skróciła na prośbę Tadeusza, który wykupił jej bilet na prom do Zawichostu. To był ostatni prom, jak się później okazało, przed Powstaniem Warszawskim. Wtedy ostatni raz widziała Tadzia i stryjenkę. Lecz to nie koniec wojennej historii.

Pewnego dnia kuzyn (prawdopodobnie Pałyga z Zastocza) do ich domu przyprowadził dwie dziewczynki, jak się okazało siostry. Rodzice babci po naradzie z bratem ojca mieszkającym po sąsiedzku, postanowili wspólnie dać im schronienie. Jedna z nich częściej przebywała w domu rodziców babci i traktowana była jak córka. Pewnego dnia do domu niespodziewanie weszło dwóch Niemców. Dziadek, który mówił dobrze po niemiecku, aby odwrócić uwagę od dziewczynki, zaproponował im poczęstunek. Gdy ci pytali, czy to jego córki, odpowiedział, że tak. Babcia bardzo polubiła nową „siostrę”, mimo że miała własną, lecz o wiele młodszą. Mieszkały tak obydwie Żydówki u dwu braci do czasu, gdy wiadomo było, że Niemcy nie wrócą. Wtedy to przyszywana siostra postanowiła dowiedzieć się o losie rodziny, odszukać swego narzeczonego, który był również Żydem i ukrywał się gdzieś u polskiej rodziny.

Nadszedł kres wojny, siostry nie miały dokąd wracać, narzeczonemu też, dlatego postanowili razem wyjechać do Stanów i tam szukać szczęścia, osiedlając się na Florydzie. Los jednak nie był łaskawy, jak pisało już młode małżeństwo w liście do babci. Żydzi amerykańscy okazali się wrogo nastawieni do nielicznie ocalałych przybyszów z Europy Wschodniej. Doszła nieznajomość języka, która stała się olbrzy-

mią barierą. List do babci przyszedł w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, babcia wtedy była mężatką i mieszkała w Księżomierzy. To w tym liście przyszło dla niej zaproszenie. Akurat spodziewała się dziecka. W obawie, żeby nie wyjechała, dziadek ukrył list, odnaleziony dopiero po jego śmierci. Los nie dał dwóm przyjaciółkom spotkać się nawet po latach, kiedy żydowska przyszywana siostra przyjechała z córkami do Polski. Babci akurat nie było, musiała wyjechać do owdowiałej siostry w Gdańsku. Spotkała natomiast stryjną, której przedstawiła córki i opowiedziała o tym, jak ją potraktowali ludzie w rodzinnej wiosce i że tam, gdzie wcześniej stał ich dom, rosła kapusta. Później wyjechała i nie wiem, czy jeszcze do siebie pisały. Prawdopodobnie tak. Babcia знаła późniejsze losy jej i drugiej siostry, która przeniosła się do Izraela. Zmarła, a co się stało z listami nie wiadomo.

*Małgorzata Kamińska-Żuber*  
A.D. 2015

## Historia kultu maryjnego w Księżomierzy

 O NIEDZIELĘ Z RODZICAMI PRZECHODZĘ KOŁO MAKIETY starego kościółka, stojącego obok kaplic niedaleko cmentarza. Często wtedy pytam ich o historię tego miejsca. Co tu się wydarzyło? Jak to było? Opowiadają mi ze szczegółami o tym niezwykłym miejscu.

To była noc z 4 na 5 maja 1996 roku. Ciepła sobotnia, piękna noc majowa. Moja prababcia Natalia wieczorem uczestniczyła we mszy świętej w starym kościółku. Jak się okazało – w ostatniej mszy w tym miejscu. Opowiadała, że zauważyła, że Matka Najświętsza w swoim cudownym wizerunku była jakby bardziej zasmucona niż dawniej. Takie odniosła wrażenie. Około północy syrena strażacka zaczęła przeraźliwie alarmować mieszkańców o pożarze. Wspomina ją do dziś ten dziwny przeraźliwy dźwięk syreny. Mój dziadek Leszek szybko udał się na miejsce pożaru, a pozostali czekali na informacje, co się dzieje. Każdy zastanawiał się, gdzie może się palić. Ze strychu było widać wielką łunę ognia, ale nikt nie przypuszczał, że właśnie płonie nasz piękny, zabytkowy kościółek, który wraz z cudownym obrazem Matki Najświętszej stał u nas od 1782 roku. Po jakimś czasie moja babcia z wujkiem i z rodzicami poszli w kierunku centrum wsi, gdzie dotarła do nich ta przerażająca wiadomość. Starsi ludzie siedzieli na ławeczkach i po cichu płakali. Po pewnym czasie dziadek przyjechał i zabrał moją rodzinę na miejsce pożaru. Jak opowiada wujek, widok był przerażający. Płonęły ściany od strony cmentarza i główny ołtarz oraz organy. Jedna wielka bryła ognia. „Myślałem, że serce mi pęknie z żalu – mówi wujek. Uklęknąłem przed ogrodzeniem starego kościoła i zacząłem się modlić. To była moja ostatnia modlitwa w tym kościele”. Mama podeszła do księdza, aby zapytać, czy cokolwiek ocalało. Najważniejszy był łaskami słynący cudowny obraz. „Niestety, udało się tylko uratować kilka szat mszalnych, kielich, monstrancję i stary konfesjonał, który znajdował się w zakrystii” – mówił ksiądz Józef Trąbka, administrator parafii. Dowiedziałam się, że było dużo strażackich wozów gaśniczych i wielkie zamieszanie. Jeden z księżomierzan, mieszkający blisko kościoła, na widok płonącej świątyni szybko chwycił aparat fotograficzny i dzięki temu do dzisiaj mamy zdjęcia z ogarniętego płomieniami naszego ślicznego kościoła-



ka. Następnego dnia rano domownicy jak zawsze na godzinę 9.00 pojechali na niedzielną mszę świętą. Wszystko jeszcze się dymiło, a po kościele zostały tylko zgłiszczka, cała wielka sterta dopalającego się drzewa. Na boku stało spalone, zniszczone tabernakulum z Najświętszym Sakramentem. Na miejscu, gdzie był główny ołtarz z cudownym obrazem, znajdowało się niewielkie kamienne wzniesienie, które pamiętało rok budowy tego kościoła. Rozpoczęła się msza święta. Ksiądz ze łzami w oczach modlił się w intencji parafii, aby wszyscy w zgodzie wybudowali nową świątynię. Msza święta w odymionej bliżej tzw. kaplicy letniej miała dziwny wydźwięk i charakter. Mama opowiada, że wszyscy czuli się jak osieroceni, zostawieni sami sobie bez domu Bożego, gdzie była też ich najukochańsza Matka. Wszyscy płakali. „Czas myśleć o budowie nowego kościoła” – mówili co odważniejsi. Następnego dnia w poniedziałek rozpoczęły się prace przy przygotowaniu tymczasowej kaplicy w tzw. domu pielgrzyma, gdzie można było później odprawiać msze święte. „To był trudny dla nas czas – mówi babcia. – Każdy miał świadomość, że wydarzyło się coś ważnego, historycznego i strasznego”. Starsi ludzie mówili dzieciom, aby opowiadali następcom o tym smutnym wydarzeniu. Aby nie zapomnieli o naszym starym, wielowiekowym, ślicznym kościółku i o prześlicznym obrazie Matki Najświętszej.

Zdaniem historyków sztuki budynek kościoła należał do ciekawszych kościołów drewnianych w Polsce. Zbudowany był z obrabianych bali modrzewiowych, zarówno nawa jak i prezbiterium miały kształt kwadratu, co było cechą charakterystyczną najstarszych polskich drewnianych kościołów. Do prezbiterium od strony północnej przylegała zakrystia, zaś od zachodu – prostokątny przedsionek zajmujący połowę nawy, wsparty na naśladowanych kolumnienki czterech drewnianych słupach. Wewnątrz kościoła znajdowały się trzy barokowe ołtarze. W ołtarzu głównym znajdował się cudowny obraz Matki Bożej zasłaniany obrazem Pana Jezusa ukrzyżowanego w otoczeniu Matki i Marii Magdaleny. Niestety, nic z niego nie zostało...

Moi rodzice opowiadają, że nasz kościółek był niezwykle piękny. Obok niego znajdowała się kamienna grota pod wezwaniem Matki Bożej z Lourdes, która przetrwała do dzisiaj. Makieta wraz z podmurówką, pozostała po starym kościele, otoczona jest polnymi kamieniami i alejkami osadzonymi krzewami. Nawiązują one do miejsca zjawienia

się Maryi, czyli zwykłego polnego kamienia. Tuż przy ogrodzeniu rośnie dąb Karol, posadzony z nasion poświęconych przez św. Jana Pawła II. Na miejscu prezbiterium, na podwyższeniu z kamienia pamiętającego rok budowy starego kościoła, jest figura Matki Najświętszej trzymającej zmarłego Pana Jezusa na swoich kolanach. Znajduje się tam niewielka kaplica zwana „letnią”. Cały teren starego kościoła otoczony jest ogrodzeniem pamiętającym czasy przed II wojną światową. Wchodząc na to miejsce, czuje się coś, co nie pozwala mieszkańcom zapomnieć o chwilach spędzonych w tym kościółku.

Tuż przy drodze stoi teraz nowy, piękny kościół. Pytam dziadka o to, jak budowano ten kościół. Informuje mnie, że latem 1996 roku rozpoczęto budowę nowej świątyni. Ukończono ją w grudniu 1996 roku. Tak więc pierwsza msza święta została odprawiona w pasterkę. Jeszcze nie wszystko było dokończzone. Nawet w środku kościoła było troszkę śniegu. Dopiero wiosną uszczelniono dach. „Pamiętam tę mszę – opowiada dziadzio. – Ksiądz Tadeusz, proboszcz mówił, abyśmy pamiętali ten historyczny dla nas dzień, gdy pierwszy raz można uczestniczyć we mszy świętej w nowym kościele, przy padającym śniegu. To było niezwykle przeżycie. Wiosną rozpoczęto wykańczanie nowego kościoła, upiększanie terenu wokół niego. Ułożono kostkę brukową itp. Sąsiedzi wspominają, jak zbierali puste butelki ze wsi i okolic, aby można było wyłożyć całą podłogę, butelka przy butelce. One później tworzyły izolację cieplną. Tych butelek było miliony. Każdy pomagał, jak mógł, aby jak najszybciej wybudować świątynię”. Są różne wydarzenia związane z budową kościoła, te wesołe ale i tragiczne, ponieważ podczas budowy zginął jeden z robotników. Jednak Matka Boża czuwała nad parafią i pomogła szybko dokończyć swój dom, aby każdy mógł do niego przyjść ze swoimi troskami i radościami. W nowym kościele znajduje się kopia cudownego obrazu słynącego łaskami. Pielgrzymi ofiarują tu wota za okazane łaski.

Dwa lata temu obok nowego kościoła mieszkańcy Księżomierzy przebywający za granicą ufundowali pomnik św. Jana Pawła II, przy którym odbywają się wszystkie uroczystości związane z naszym kochanym Ojcem Świętym, Janem Pawłem II. Obecnie nasze sanktuarium i teren wokół niego pięknieją z dnia na dzień.

W ubiegłym roku ksiądz proboszcz Andrzej Woch wraz z parafianami wybudowali ogród różańcowy, aby wierni przybywający do

naszego sanktuarium mogli spokojnie pomodlić się w swoich intencjach. 15 sierpnia, w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, bp. Mieczysław Cisło poświęcił tenże ogród. Pamiętam ten dzień, było dużo ludzi i piękna uroczystość. Nawet niebo pokropiło ogród.

Wszystkich zachęcam do odwiedzenia naszej pięknej miejscowości i sanktuarium, aby w tych trudnych czasach znaleźć chwilę na rozmowę i spotkanie z Bogiem i Jego Matką.

*Aleksandra Dąbrowska*  
*A.D. 2015*

## Nie ma ludzi niezastąpionych...

**T**AK ZAZWYCZAJ SIĘ MÓWI, kiedy bliska osoba była, żyła obok nas, czy to w rodzinie, czy w pracy, środowisku. Kiedy odchodzi (czasem za wcześnie) pozostają wspomnienia, lecz ulga w duszy jest ta, jeśli godna jest wspomnień. Dla mnie takim człowiekiem jest mój młodszy brat Janusz, niezwykle młody człowiek o wielkim sercu dla ludzi, zwierząt, roślin i ojczystej ziemi. Mocno wpisał się w historię swej miejscowości – Księżomierzy i już pozostanie na zawsze tu i teraz. Dzieciństwo swe spędzał w bliskości Szkoły Podstawowej w Księżomierzy, gdyż mieszkaliśmy w jej obrębie, tylko po drugiej stronie ulicy. Mieszkał w niej najbliższy jego przyjaciel ze szkolnej ławy – Robert (jego rodzice byli nauczycielami). Ich przyjaźń trwała długie lata. Pamiętam, razem wybierali się na polne wycieczki z ulubionym psem, czy to zimą, czy latem. Wtedy też kształtowała się pasja brata do zwierząt. Kiedy zginęła matka - sarna w sidłach kłusowników, trafił chciał, że znalazł po kilku dniach jej wychudzone, bezbronne dziecko. Przy-



niósł je do domu i wychował. Jak jelonek dorastał, ze szkoły przychodziły dzieci wraz z opiekunami oglądać dzikie zwierzątko, a zarazem uczyć się wrażliwości do zwierząt. Później już wzięli go leśnicy, by dostosować małego do wolności.

Brat był również miłośnikiem koni, należał do Związku Hodowców Koni. Tę pasję odziedziczył po dziadku i ojcu, gdyż w naszym gospodarstwie były konie z rodowodem.

Jako oddany społecznik, w latach 90-tych



został radnym ul. Kościelnej. W tym czasie podjętych było wiele inwestycji nawet tych drobnych. Niektóre pamiętam, jak budowa pierwszego chodnika dla dzieci uczęszczających do szkoły. Wiele wkładu pracy włożył w odbudowę spalonego kościoła, a wcześniej ratował, co się dało podczas pożaru. Zbierał też od ludzi kamienie do wzniesienia grotty Matki Bożej na „Zjawieniu”, zawsze sprzątał przystanek, który ustawiony jest przy naszej posesji i wykonywał wiele innych prac, o których mówią znajomi i sąsiedzi. Swego czasu został też delegatem do Młodzieżowej Izby Rolniczej wcześniej tarnobrzesckiej, później lubelskiej, reprezentował gminę Gościeradów, poznawał wielu ciekawych ludzi, nawiązywał kontakty, które zawsze owocowały. W tych latach miał możliwość wyjazdu do Francji, ponieważ wykonywał prace wykończeniowe mieszkań i pensjonatów. Kiedyś, za swoją solidność i dokładność w pracy otrzymał obraz z takim pensjonatem wraz z po-



dziękowaniem. W międzyczasie uczestniczył w wycieczce do świętego miejsca. W polskiej grupie niósł naszą flagę biało-czerwoną, pamiętał też o słynnej wodzie, którą przywiózł w małych pojemniczkach.

Z zainteresowaniem uczestniczył w wielu imprezach kulturalnych, a niektóre też organizował. Podczas dożynek w parafii niósł upieczony bochen chleba. Wielokrotnie był starostą tej barwnej uroczystości poświęcenia plonów, bo potrafił uszanować trud pracy własnych rąk, ale też jeszcze mobilizować innych. Był członkiem Zespołu Ludowego w Księżomierzy, wiem że był ceniony za mocny, znaczący głos w śpiewie, jak również w czytaniu. Często czytał Pismo Święte podczas przeglądów Pieśni Maryjnej i innych np.: powitania śp. arcybiskupa Józefa Życińskiego w parafii Księżomierz, recytował też wiersze w święto plonów i był przez ludzi z ciekawością słuchany. Te wszystkie umiejętności czerpał z tego, że był stałym czytelnikiem biblioteki. Wypożyczał książki dla taty, wspólnie je czytali i omawiali ich treść (było to bardzo ciekawe). Brat był młodszy ode mnie, ale był dla mnie wzorem. Zawsze podziwiałam jego odwagę, wiarę, optymizm. Podczas wędrowki Obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej (kopii) po parafii, podarował mi drewnianą kapliczkę – strażniczkę ruchliwych dróg i naszych obojga. Ma ona dla mnie dzisiaj wielkie znaczenie. W chwilach zagrożenia była i jest moją obroną. Podczas ostatniej powodzi (mieszkam 2 km od Wisły) woda ciągle wzrastała i sięgała jej podstawy, lecz do środka już nie weszła. Poziom wody się zatrzymał, a kapliczka wyglądała, jakby stała na wodzie. Ratowała nas z poważnych opresji podczas wypadków samochodowych przy naszej posesji. Dlatego zawsze w Święto Matki Bożej, czy w dniu związanym z Ojcem Świętym Janem Pawłem II lub moich bliskich zapalam w niej światło.

Odczuwam brak obecności brata, choć jestem pewna, że czuwa i z góry pomaga mi. Jego dobre czyny pozostaną w pamięci zarówno mojej, jak i wielu znajomych jemu osób. Życie toczy się dalej i tworzy nowe historie, a nasza wrażliwość nakazuje nam umieć je zapamiętać i przekazać.

*Teresa Zbytniewska z domu Duda  
A.D. 2015*

## Wojenna rzeczywistość w Księżomierzy Gościeradowskiej

(tyt. oryg. „To właśnie tu się wydarzyło. Wojenna rzeczywistość w Księżomierzy Gościeradowskiej”)

**K**SIĘŻOMIERZ TO DUŻA I MALOWNICZA WIEŚ położona wśród lasów. Miejscowość, w której mieszkam, położona jest w gminie Gościeradów. Mój dom znajduje się w Księżomierzy Gościeradowskiej i właśnie tej części wsi będzie dotyczyła moja praca, bo tu miały miejsce interesujące wydarzenia, godne przekazania wszystkim miłośnikom historii i poznawania przeszłości przodków. Pewnego razu, gdy poszłam do mojej prababci, przeżyłam wspaniałą lekcję historii. Gościem babci była sąsiadka (koleżanka moich dziadków). Właśnie opowiadała historię, która wydarzyła się w czasie II wojny światowej. Siadłam obok i zaczęłam się przysłuchiwać tej opowieści.

Było to w 1944 roku, kiedy wojska rosyjskie zaczęły wyzwalać Polskę. Pewnego dnia u moich sąsiadów zatrzymał się niemiecki oddział na odpoczynek. Niedługo po tym wydarzeniu, nie wiadomo skąd, pojawił się samolot, który krążył nad Księżomierzą. Nasza sąsiadka miała na podwórku schron, w którym chroniła się z sąsiadami. Było też jeszcze kilka innych schronów na naszej ulicy. Więc gdy pewnego razu pojawił się samolot, wszyscy uciekli do tego schronu. Po krótkim czasie nadleciało kilka samolotów, które zaczęły bardzo nisko przelatywać nad domami, jednak nic się wtedy nie wydarzyło. Niedługo po ich odlocie wszyscy wyszli z ukrycia, a wtedy, nie wiadomo skąd pojawił się samolot i zrzucił bombę, która trafiła w ten schron, w którym niedawno przebywali. Huk był ogromny i wszyscy się bardzo przestraszyli, bo zdali sobie sprawę, że gdyby zostali trochę dłużej, to wszyscy by zginęli. Podczas tego ataku nasi dziadkowie a także pradziadkowie dziękowali Panu Bogu za ocalenie. Wszyscy mówili, że ocaliła ich Matka Boska Księżomierska. Okazało się, że u mnie na podwórku też był schron, w którym chowała się moja rodzina w czasie wojny. Teraz jest już zasypany piaskiem, więc go nie widać. Podobno moje podwórko było podobne do tego, które jest obecne, tylko że wcześniej nie było ogródka.

W czasie wojny nikomu nie było łatwo. Najgorzej miały małe dzieci, które bardzo wszystko przeżywały, były bardzo przestraszone i głodne. Ciężko było także z prowiantem, jednak wszyscy sobie pomagali.

Zainteresowała mnie również opowieść o tym, jak Rosjanie robili żarty mieszkańcom naszej wsi. Otóż ich żarty polegały na tym, że samolotami przelatywali tuż nad ich głowami. Niektórzy, gdy siedzieli na drzewach i zbierali owoce, spadali na ziemię ze strachu, ale na szczęście nikomu nic się nie stało. Drzewa owocowe znajdowały się także u mojego sąsiada. Było tam bardzo dużo miejsca i dzieci często tam się bawiły. Najładniej tam było o zachodzie słońca, kiedy ostatnie promienie oświetlały liście na drzewach. Wszystko było piękne do dnia, kiedy Niemcy zaczęli uciekać przed wojskami rosyjskimi. Prawdopodobnie to Niemcy podpalili domy, spłonęła prawie cała ulica. Na szczęście nasz dom ocalał, ale wokół paliło się wszystko: domy, stodoły, obory z trzodą; wszystko prócz ludzi, którzy zdążyli pounciekać. Ludzie usiłowali gasić pożar, jednak ten był tak ogromny, że nie udało się go opanować. Mieszkańcy pomagali sobie nawzajem, żeby przetrwać. Dzielili się ze sobą jedzeniem i pozwalali tym, którzy stracili domy, nocować w ich mieszkaniach. Każdy był życzliwy i pomocny.

Z czasem ludzie powoli zaczęli się przyzwyczajać do wojny. Nie bali już tak bardzo, jak na początku. Dorośli zajmowali się pracą, a także dziećmi, które zaczęły się już ze sobą bawić. Dzieci często pomagały swoim rodzicom w pracy. Zwierzęta wyprowadzano do lasu albo na łąkę, aby się pożywiły. Ale i tam ludzie musieli być czujni, bo piloci myśliwców lubili strzelać do ludzi i zwierząt. Robili to jednak coraz rzadziej, gdyż ofensywa przesuwiała się na zachód. Niemcy planowali budowę systemu umocnień (prawdopodobnie także w Księżomierzy), mających umożliwić im lepszą kontrolę dróg prowadzących do przeprawy przez Wisłę w Annopolu. Zdołali wybudować tylko jeden bojowy schron koło Gościeradowa. Reszta umocnień nie została ukończona, a większość z nich zniszczyli Rosjanie po wkroczeniu tu w 1944 roku. Wiem również, że w naszych lasach walczyli partyzanci.

Ta opowieść bardzo mnie zaciękawiała, ponieważ dowiedziałam się bardzo ważnych rzeczy dotyczących wsi, w której mieszkam. Moja miejscowość ma bogatą tradycję historyczną, o której powinni pamiętać nie tylko jej mieszkańcy. Powinni poznać ją także mieszkańcy gminy i dalszych okolic. Należy poznawać historię przodków i przekazywać ją z pokolenia na pokolenie, aby o niej nie zapomnieć.

*Karolina Krawczyk A.D. 2016*



## Z opowieści pradziadka Kazimierza i jego żony

(tyt. oryg. „Wspomnienia”)

 WOJĄ PRACĘ KONKURSOWĄ związaną z tematem „To właśnie tu się wydarzyło” piszę w oparciu o opowieści mojego pradziadka Kazimierza i jego drugiej żony Marii. Nie będą to relacje z wielkich wydarzeń historycznych związanych z wojną, a wspomnienia dotyczące życia zwyczajnych ludzi w tamtym czasie.

Wiadomości o zaatakowaniu Polski przez hitlerowskie Niemcy docierały do naszej miejscowości w różny sposób. Jedni dowiadywali się o tym od ludzi uciekających w kierunku Kraśnika, inni z radia. Jak opowiada pradziadek, we wsi zapanowało wyczekiwanie, czy rzeczywiście będzie wojna i jaki los czeka mieszkańców. Nawet w szkole nie odbywała się normalna nauka, bo nikt – ani nauczyciele, ani uczniowie – nie potrafił myśleć o niczym innym, jak o wkroczeniu Niemców do wsi.

Przez Gościeradów Ukazowy prowadziła od Annopola w kierunku Kraśnika, dość szeroka droga, utwardzona tzw. „kocimi łbami”, czyli kamieniami. Jak wspomina prababcia Maria, mimo, że miała wtedy osiem lat, pamięta, że dzieci stawały obok tej drogi i wypatrywały niemieckich wojsk. Część mieszkańców, jeszcze przed wkroczeniem najeźdźców, spakowała swój dobytek i wyruszyła do swoich rodzin mieszkających w innych wsiach należących do gminy lub dalej, na wschód Polski. Maria pamięta też, że pewnego wrześniowego dnia od strony Kraśnika nadjechał polski patrol konny. Stukot końskich kopyt uderzających o kamienie pamięta do dziś. Prababcia twierdzi, że było to trzech żołnierzy, w tym jeden oficer. Kiedy zebrało się więcej ludzi zaskoczonych pojawieniem się polskiego patrolu wojskowego, dowódca zaczął wypytywać, czy podejrzewają, jak daleko mogą być Niemcy. Ludzie mówili, jedni przez drugich, że na pewno są już już niedaleko od Gościeradowa, bo nad ranem słychać było głośnie dudnienie od strony Annopola. Wtedy patrol zasalutował rozmawiającym z nimi ludziami, a oficer powiedział: „Chciałbym się z nimi spotkać” (miał na myśli Niemców). Wszyscy dookoła milczeli, a żołnierze ruszyli w kierunku Annopola. Nie minęło nawet dziesięć minut, gdy w okolicy dzisiejszego CPN-u gazowego rozległa się strzelanina z karabinu maszynowego. Było to tragiczne spotkanie polskiego patrolu

z wkraczającymi do wsi najeźdźcami. Świadkowie nie pamiętali, czy dwaj ułani z patrolu zginęli od razu. Pamiętali natomiast dowódcę. Padł on ciężko ranny. Ludzie wynieśli go na furtce i złożyli w stodole. Kobiety opatrzyły go, a sołtys wyznaczył furmankę, którą odwieziono rannego do szpitala do Janowa Lubelskiego.

Potem, gdy rozpoczęła się okupacja, nikt już nie wiedział, co stało się z oficerem, nigdy nie poznano jego nazwiska. To były pierwsze ofiary wojny w naszej wsi. Dopiero wtedy wszyscy zrozumieli, że stało się to najgorsze. Niemcy pozajmowali na swoje siedziby szkołę, ochronkę (przedszkole), a w dzisiejszym budynku „Bajki” zorganizowali kino. Wyświetlano tam filmy ukazujące doskonałość i sukcesy armii hitlerowskiej w podbijaniu innych narodów. Kiedy Niemcy zajęli Gościeradów i inne miejscowości w pobliżu, życie mieszkańców stało się bardzo trudne. Lato 1939 roku było piękne, nawet we wrześniu temperatura sięgała 30 stopni Celsjusza. Zboża obrodziły i większość gospodarzy zdążyła zebrać swoje plony, które przechowywano w stogach i stodolach. Nie wszyscy dokonali omłotów, część rolników zmieliła zboże na mąkę, ale ziemniaki trzeba było już kopać pod strachem, że okupanci mogą zabronić. Kiedy działania wojenne nasilały się, Niemcy stawali się bardziej bezwzględni. Budowali różne umocnienia i bunkry, do prac tych wykorzystywali miejscową ludność. Każdy sprzeciw kończył się aresztowaniem i odsyłaniem „winnych” do Zamku w Lublinie, gdzie urządzono więzienie, z którego nie wychodziło się żywym albo trafiało do obozu koncentracyjnego. Niemcy pozabierali sklepy mieszkającym tu Żydom, a większość z nich aresztowali lub rozstrzelali. Prababcia opowiada, że do dziś ma w oczach okropny obraz ludzi rozstrzelanych w lesie (gdzieś w kierunku zachodnim od stawów). Nie pamięta, ile to mogło być osób, ale widziała wielki dół, który musieli wykopać dla siebie Żydzi. Potem hitlerowcy kazali im stawać nad brzegiem dołu, tak aby po wystrzelonych seriach „skazani” wpadali wprost do wspólnego grobu. Wyznaczeni mężczyźni mieli obowiązek zasypywać rozstrzelanych. Prababcia mówi, że najokropniejszy był widok poruszającej się ziemi. Tak, jakby nie wszyscy zginęli od strzałów, lecz dusili się w grobie.

O innej, podobnej historii opowiada pradziadek, który dowiedział się o niej od naocznych świadków. Niemcy znaleźli jedenaście osób żydowskiego pochodzenia. Nie było sądu, ale wyrok zapadł:

„Rozstrzelać!”. Miejszem egzekucji był środek wsi, dzisiejszy plac za Urzędem Gminy w Gościeradowie, gdzie kiedyś była strzelnica. Zginęli wszyscy, a w ludzkiej pamięci pozostał straszny obraz. Jedna z ofiar, kobieta spodziewała się dziecka. Gdy upadła od strzału, widać było poruszające się w jej brzuchu niemowlę. Widzący to hitlerowiec podszedł i kilkakrotnie strzelił do niej, by uśmiercić dziecko. Wojna niesie ze sobą zło, ze zwykłych ludzi czyni często bezwzględnych morderców. Pozbawia ludzkich uczuć wobec innego człowieka, chęć przeżycia prowadzi do zdrady, do współpracy z wrogiem i wielu innych złych i nieludzkich zachowań. Wojna pociąga za sobą ogromne ilości ofiar, a przecież każdy chciałby żyć spokojnie, spełniać swoje marzenia i plany. Wojna wpływa też na losy i zachowanie dzieci, które bały się niebezpieczeństw, ale nadal były przecież tylko dziećmi. Ich prawem było bawić się, rosnać, uczyć i rozwijać. Bardzo mi się podoba opowieść pradziadka o tym, co robiły w czasie wojny dzieci. Powiedział, że młodsze po prostu bawiły się i często zapominały, jakie to czasy. Gdy było tylko spokojniej, bez żadnych działań wojennych, dzieci grały w klasy, w wybijanego, w piłkę nożną. Piłkę robiły ze szmat obwiązanych sznurkiem. Zimą woziły się na sankach zrobionych z desek, rzucały śnieżkami. Starsze, mimo że były bardziej ostrożne i odpowiedzialne, również lubiły spotykać się i bawić.

Mój pradziadek opowiedział mi też o zdarzeniach, które miały miejsce, gdy Niemcy byli w odwrocie. Wtedy to dalsza rodzina, jak również wielu mieszkańców, opuściła wieś. Zebrano najpotrzebniejsze rzeczy, a te, które pozostały, zakopano na podwórku. Większość rodziny i sąsiadów, by przeczekać te działania wojenne, wywędrowała do lasu koło Marynopola, z daleka od głównej drogi, w okolice tzw. „Owczarskich Dołów”. Tu, w leśnym wąwozie ludzie rozłożyli obóz, by przeczekać zagrożenie. Ciotka Jaśka miała dwóch synów, prawie trzynastoletniego Kazia i sześciolatniego Gienia. Nad lasem latały samoloty. Młodszy z chłopców wdrapał się na wysoką sosnę i udając odgłos samolotu zaczął się huśtać. Wszyscy go prosili, żeby zszedł, jednak dla niego była to doskonała zabawa. Dorośli wiedzieli, że gdy tylko Niemcy go dostrzegą, zbombardują las i wtedy większość schowanych w nim ludzi zginie. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Psotnik przekupiony obietnicą otrzymania cukru zszedł niżej, a wtedy wujek wspiął się na drzewo i zdjął malca na ziemię. Starszy

z synów ciotki Jaśki był bardziej odpowiedzialny, ale i jemu zdarzyły się wojenne przygody. Gdy rodzina udała się dla bezpieczeństwa do lasu, Kazio zasnął na słomie w stodole, bo tam był mały cielak. Kiedy cała rodzina była już w lesie i z daleka słychać było ostrzał wsi z samolotów, okazało się, że Kazia nie ma. Matka mdlała z niepokoju. Wtedy jej brat, wujek Wacek chwycił siekierę i pędził biegiem do wsi pięć kilometrów. Wychodząc z lasu powiedział do siostry, że żywego czy umarłego, ale Kazia odnajdzie. Udało mu się szczęśliwie dotrzeć do rodzinnego obejścia. Dom dziadków, a szczególnie stodoła pocięta była przez kule. Wujek zaczął szukać chłopca. Znalazł go śpiącego, przytulonego do cielaka, którego niestety dosięgły kule. Kaziowi na szczęście nic się nie stało. Przez wiele lat rodzina zastanawiała się, jak twardo musiał spać chłopak, że nie obudziły go odgłosy strzelaniny. A może to sen uchronił go przed śmiercią?

Podane przeze mnie przykłady ludzkich losów składają się na część większych zdarzeń. Chociaż są one drobne i na tle wielkich zdarzeń wydają się nieistotne, to jednak miały miejsce, wydarzyły się naprawdę. To z takich drobnych świadectw składa się prawda, tworzy się historia.

*Roksana Gajewska*  
*A.D. 2016*

## Serce, czy rozum?

 POWIEM HISTORIĘ MOŻE ZWYCZAJNĄ, może banalną. Na moim nastoletnim serduszkę wywarła ogromne wrażenie. Jest próbą odpowiedzi na pytanie: czy kierować się w życiu sercem, czy rozumem? Dotyczy zmarłej niedawno „przyszywanej” troszkę kuzynki.

Nie wiem, czy mogę podawać dokładne dane osobowe, bo nikt o to nie pytałam.

Tak naprawdę nie są chyba najważniejsze. Powiedzmy, że opowiem historię pani Stasi.

Urodziła się w okolicach Kraśnika w latach dwudziestych ubiegłego wieku jako najstarsza z pięciorga dzieci. Ojciec pani Stasi to zagorzały zwolennik marszałka Józefa Piłsudskiego. Opowiadał swoim pociechom o Polsce, której nie było w jego dzieciństwie, o prześladowaniach rosyjskich zaborców, o wielkiej bitwie zwanej „Cudem nad Wisłą”.

Do końca swoich dni tłumaczył dzieciom, że wszystkie przeciwności można pokonać, jeżeli nie jest się z nimi samemu. Jego ulubionym powiedzeniem było: „W kupie damy radę”.

Mama pani Stasi była skromną i bardzo pracowitą osobą. Starała się zapewnić swojej gromadzie pożywienie. Pracowała ciężko na polu, a w wolnych chwilach tkala gobeliny.

Pani Stasia nieraz wspominała podpłomyki swojej mamy spożywane z kubkiem ciepłego mleka prosto od krowy. Dzieciństwo spędziła w biednej chałupie, którą dwukrotnie trawił pożar. Było ciężko i biednie.

Ze wzruszeniem wspominała swoją szkołę i nauczycielkę, która uczyła ją piosenki, której fragment brzmiał: „*Ta Dorotka, ta malusia, tańcowała dokolusia...*”. Śpiewała też piosenkę o saperze, którego most przywalił. Nie umiem jednak powtórzyć jej słów. Moja bohaterka skończyła tylko 6 klas szkoły podstawowej. Dalej nie mogła się uczyć, bo musiała pomagać w pracach polowych i opiece nad rodzeństwem.

Wspominała, że w jej rodzinnej miejscowości, podczas II wojny światowej stacjonowali Niemcy. O dziwo, wspominała ich bardzo dobrze. Mówiła, że niezwykła była ich dbałość o higienę osobistą. Dzieciakom, które bawiły się na tak zwanym błoniu, rozdawali cukierki.

Pani Stasia ciężko pracowała, często ponad siły drobnej dziewczyny, pomagając rodzicom zapewnić byt.

Jej „wielkim rumieńcem”, jak sama go nazwała, w młodości był tajemniczy Olek, który uczył się w szkole kolejarskiej. Ona też nie była mu obojętna. Przez lata planowali wspólną przyszłość. Ich spotkaniom nie przeszkadzały nawet burczące z głodu brzuchy. Stasia mówiła, że chwile z Olkiem były nagrodą i świętem w szarym, ciężkim życiu.

Kiedy ojciec pani Stasi zachorował, do domu zajrzała nędza. Stasi kuzyni uznali, że dwudziestoletnią dziewczynę należy wydać za mąż. Znaleźli starszego o 18 lat kandydata „z gospodarką”. Patrząc na schorowanego ojca i zapłakaną matkę nie umiała się przeciwstawić starszyźnie.

Zostawiła zrozpaczonego Olka – swoją miłość i wyszła za mąż, zgodnie z wolą rodziny. Na pożegnanie Olek powiedział, że nigdy nie zaznają szczęścia, bo właśnie je pochowali w grobie.

Tak pani Stasia znalazła się na terenie Mniszka i dlatego o niej teraz piszę. Zostawiając wielką miłość, ze łzami w oczach wsiadła na furmankę przewożącą ją do męża. Zabrała z domu rodzinnego małą walizkę połatanych ubrań, żelazny gar, pierzynę, obraz Matki Bożej Częstochowskiej i gobelin z serduszkami, wykonany przez matkę.

W naszej okolicy spędziła prawie 70 lat.

Były to lata trudne i biedne. Mąż pani Stasi zmarł, kiedy ich córka miała zaledwie dwa lata. Stasia musiała zmagać się z pazernymi szwagrami, którzy za wszelką cenę chcieli się jej pozbyć i zagarnąć majątek zmarłego. W trudnych chwilach wspominała młodzieńczą miłość i modliła się do Jasnogórskiej Pani. Sens jej życiu nadawała ukochana córka, która rozwijała się wspaniale i szczebiotem zappełniała cały dom.

Kobiecie zdawało się kilka razy, że obok swojego domu widziała tajemniczą furmankę z woźnicą w czarnym mundurze. Myślę że wiedziała, że to był Olek.

Trudne czasy i złośliwe oczy sąsiadów spowodowały bierność wdowy, która po raz kolejny odrzuciła miłość swego życia, nie zaważyła o szczęście.

Mijały lata, dochowała się ukochanych wnuków, którym tłumaczyła, żeby nie igrać z miłością i patrzeć w oczy, bo można w nich

znaleźć prawdę taką, jaką widziała tylko raz, u Olka! Szanowała wybory sercowe swoich wnuków i przytulała do serca nowych członków rodziny.

Radziła, by w życiu słuchać głosu serca, a rozum traktować jako doradcę.

Przez ostatnie lata swojego życia modliła się gorliwie za żywych i zmarłych. Kiedy dowiedziała się przypadkowo o śmierci Olka, zgasiła w niej chęć do życia. Od tamtej pory, aż do śmierci ubierała się na czarno. Jej oczy czułe i łagodne dla bliskich, coraz częściej spoglądały w dal...

Teraz pani Stasia jest już po tamtej stronie. Myślę, że na spotkanie jej wyszli wszyscy bliscy, a Olek zapewne szedł na czele z bukietem rajskich kwiatów.

Wiem, że na to spotkanie bardzo czekała. Zasłużyła na szczęście wieczne.

*Aleksandra Gil*  
*A.D. 2016*

## Gościeradów

GOŚCIERADÓW – piękne miejsce:  
Stawy, pola, lasy, źródła.  
Warto patrzeć na te cuda!  
Wszystko w naszej pięknej gminie,  
Przyjedź tu, nic cię nie minie.  
Gdy masz dosyć szumu miasta,  
biegu czasu, dymów, smogu  
Przybądź do nas, a od progu  
Odpoczynek, spokój, cisza,  
Rezerваты, rzeki, łąki.  
Możesz nie chcieć już rozłąki!  
Moje życie tutaj płynie  
Wolno, jasno i spokojnie.  
Chcę tu zostać, tu nie zginę.

*Aleksandra Zawisza*  
*A.D. 2016*



## Opowieści pewnej gościeradowianki

**N**OJA MAMA ZNA BARDZO WIELE OSÓB W Gościeradowie i kiedyś zabrała mnie do jednej pani, która bardzo ciekawie opowiadała mi, jak kiedyś było. Chciałam się podzielić tymi ciekawostkami, które usłyszałam od tej starszej osoby na temat dawnych zim, okresu Bożego Narodzenia, karnawału i okresu Świąt Wielkiej Nocy oraz obyczajów, jakie panowały w Gościeradowie.

– Dzisiaj zima i nie zima – dawniej to była naprawdę zima! Nie było chodników, jedynie wydeptane ścieżki. Do szkoły, jak się chodziło, to w takich wysokich, białych śnieżnych tunelach. Biliśmy się śnieżkami, przewracali w śniegu, była niesamowita radość. Nikt nas nie podwoził do szkoły – zaczęła opowieść. – Dla dzisiejszych dzieci jest to niemożliwe. Chodziło się w jednym ubraniu i jednych butach przez całą zimę – oczywiście czystych – dodała pani. – Nie było tak wygodnych domów jak teraz. Zamiast paneli, płytek ceramicznych była podłoga z gliny, a na święta przynosiło się słomę, na której się spało. Był szacunek jednego do drugiego, nie było mowy, aby powiedzieć do rodziców, czy starszych na „ty”. Rodzice to był autorytet, tak jak lekarz, nauczyciel, ksiądz. A dziś wszystko się zmienia. Była bieda, ale było weselej. Nie chodziło się nigdzie na skargi i nie robiło problemów, a dziś nikt nikogo nie zna, mało kto kogo odwiedza – wyznała pani, zamyślając się. – Wracając do zim, wspomnę jeszcze, że ten czas krótkich dni, a długich wieczorów był czasem zadumy, przemyśleń o przeszłym i przyszłym roku. Ile nas wokół zabrakło w rodzinie i sąsiedztwie? Co się ciekawego wydarzyło? Nie zawsze były to dobre rzeczy. Grudzień, adwent, Święta Bożego Narodzenia i karnawał – to była radość i zabawa. Święta, Wigilia i ubieranie choinki w Wigilię, a później wspólne śpiewanie kolęd i pasterka, na którą szło się na piechotę. Co niektórzy po wieczery wigilijnej szli do znajomych. Aby nie robić kłopotu rodzinie chodzono ze swoimi sztucami, łyżką i widelcem – bo nie każdy miał ich w domu na tyle, aby kogoś ugościć. Później z tymi sztucami w butach chodzono na pasterkę do kościoła, robiąc przy tym trochę hałasu i śmiechu. Od nowego roku chłopcy zaczynali chodzić jako kolędnicy. Najweselej było, gdy przyszły ostatki. To naprawdę był ubaw – dodaje. – Przebierało się kilka osób, brali wóz lub sanie, konia, wiązki słomy i taki bardzo duży koszyk (służył

on w gospodarstwie do noszenia sieczki), do niego kładło się siano lub słomę. Grajek brał akordeon, drugi bęben i jeździli do tych domów, gdzie była młoda mężatka. Zabierali ją i wozili dotąd, aż młody mąż ją wykupił. Często jeździli bardzo długo, z jednego końca wsi na drugi, aż dostali dużo wódki i jechali do następnego domu, którego gospodarz lubił takie hece. Zdarzyło się nawet, że porwali w taki sposób młodą małżonkę organisty, który wysłał posłańców, aby ją uwolnić... ale i tak musiał postawić rozgrzewający trunek. Jednym słowem – było bardzo wesoło, a my jako dzieci i młodzież ganialiśmy za nimi, bośmy chcieli dostać trochę cukierków, coś słodkiego. Nie było tylu sklepów i pieniędzy, jak w dzisiejszych czasach – wyjaśnia. – Nie można było jednak za długo tak za nimi biegać, bo to był wtorek, ostatni dzień karnawału, a za chwilę zaczynał się post – Środa Popielcowa. W taki zabawny sposób kończyło się karnawał. W Poniedziałek Wielkanocny kolejna tradycja – gdy chłopcy złapali dziewczynę, zaciągnęli ją pod studnię i zmoczyli do suchej nitki, to nikt się nie obrażał, a nawet zapowiadało się, że będzie ona miała wzięcie wśród chłopców przez cały nadchodzący rok. – Aha, jeszcze przypominało mi się. Był taki zwyczaj, w którym też często i ja brałam za swojej młodości udział z kolegami i koleżankami – przypomniła sobie pani.

– Kiedy wychodziła panna za mąż i był dzień ślubu, a miał przyjechać pan młody, robiliśmy „zasadki”. Przynosiło się snopek słomy na drogę, na środek ulicy, cepy (to takie dwa kije – jeden dłuższy, drugi krótszy) i nimi się słomę młóciło albo robiło się swary (kłótnie) między sobą. Wówczas brało w tym udział co najmniej 3 osoby, a im nas było więcej, tym weselej. Trwało to dotąd, aż drużba lub pan młody się wykupił. „Przeszkody” organizowano, bo nie chciano, aby panna młoda opuszczała sąsiadów. Natomiast u pana młodego już po ślubie, gdy miał z młodą małżonką przyjechać, to przed jego mieszkanie sąsiadki przynosiły różne rzeczy potrzebne w gospodarstwie: drzewo, garnki, wodę w wiadrach, skopki do dojenia krów, niecki, w których wygniatano ciasto drożdżowe lub kąpano małe dzieci (nie było dawniej wanienek). Oczywiście, jak już przyszli małżonkowie od ślubu, pani młoda – gospodyni musiała to sama posprzątać, by zrobić wejście do swojego nowego domu i dla gości. Szybkie i zwinne sprzątanie zapowiadało udane małżeństwo i dobrą gospodynię.

– Oj, nie każdej pani młodej się chciało sprzątać, a wtedy wszystkie rzeczy rozrzucała gdzie popadło. Na oślep. Można było oberwać jakimś garnkiem... – uśmiechnęła się na wspomnienie. – Tak. Zmieniły się te czasy – zadumała się. – Ale i ludzie się zmienili, każdy ma w domu telewizor, laptopy, komputery i pędzi gdzieś, za czymś. Powiem, że niekoniecznie ma to dobry wpływ na współczesną młodzież. Nikt nie ma czasu ani szacunku dla innych, dla starszych, dla siebie i dzieci, bo ciągle się śpieszy. A gdzie czas na zabawę i radość z niej? Na ludzką życzliwość i dobroć względem innych?

Na tym zakończyła swoją opowieść. Te krótkie wspomnienia o tym, co kiedyś się działo w Gościeradowie i okolicach, są nieprawdopodobne, ale warte przedstawienia i zapamiętania. To tylko namiastka tego, co starsi mają nam do przekazania. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś mama zabierze mnie do tej pani, abym mogła posłuchać tych niesamowitych opowieści. Może jeszcze się z Wami czymś ciekawym podzielę...

*Aleksandra Dąbrowska*  
*A.D. 2016*

## Z dziejów Księżomierzy słów kilka...

*Księżomierz, 20 kwietnia 2016r.*



ROGA CIOCIU!

Tak bardzo się za Tobą stęskniłam. Dawno się nie widziałyśmy. Postanowiłam zaprosić Cię, żebyś przyjechała do mnie na wakacje. Wiesz, jak lubię, kiedy do nas przyjeżdżasz, bo zawsze jest zabawnie.

Mam Ci tyle do opowiedzenia! Wiesz, niedawno nasza sąsiadka była u nas i opowiadała o wielkim pożarze. Otóż historia, którą teraz Ci opiszę, zaczęła się w kwietniu 1973 roku na ulicy Gościeradowskiej. A było to w nocy z 6 na 7 kwietnia... Po południu moi dziadkowie zauważyli dym, który unosił się niedaleko naszego domu. Postanowili wyjść na ulicę i zobaczyć, skąd dochodzi. Okazało się, że z powodu zwarcia instalacji elektrycznej w pewnym gospodarstwie wybuchł ogień. Był naprawdę straszny! Wiele osób dobrze pamięta to wydarzenie i jest dla nich traumą. Ogień zaczął się rozprzestrzeniać, paląc niektóre budynki gospodarcze oraz stodoły. Oprócz pożaru był także silny wiatr, który przenosił ogień z miejsca na miejsce. Po jednej ze stron ulicy Gościeradowskiej żywioł niszczył większość gospodarstw oraz budynków gospodarczych, które były drewniane i pokryte strzechą. Na początku wybuchła panika. Wszczęto alarm. Ludzie wraz z tutejszą strażą próbowali gasić żywioł w zarodku, ale nie dawali rady i wezwali na pomoc inne jednostki – przyjechało ponad 30 zespołów OSP, m.in. Państwowa Straż Pożarna z: Lublina, Kraśnika i Janowa Lubelskiego. Wodę na gaszenie brano ze zbiornika wodnego na środku wsi. Dzisiaj miejsce to zwane jest „stawek”. Po pewnym czasie brakło wody, zaczęto dowozić ją z pobliskich miejscowości. Księżomierska ludność traciła nadzieję na ugaszenie. Poproszono tutejszego księdza o modlitwę i pokropienie ognia święconą wodą. Po paru minutach ogień stawał się łagodniejszy i mniejszy, aż w końcu udało się go ugasić, ale niestety – straty były ogromne. Niektóre rodziny straciły całe gospodarstwa. Po pożarze ludzie zaczęli sobie pomagać i wspólnymi siłami odbudowali spalone budynki. Ta opowieść bardzo mnie zaciekała. Przecież tutaj mieszkam i nie przypuszczałabym, że część mojej ulicy była kiedyś w zgliszczach.

Przepraszam ciociu, że aż tak się rozpisałam. To wszystko przez tę opowieść, która bardzo mnie zaintrygowała. Nie mogę przestać o niej myśleć. Ciekawa jestem, co u Ciebie słychać? Jak zdrowie? Czy wszystko w porządku? Jeszcze raz Cię serdecznie zapraszam do nas. Ślę gorące całusy.

Twoja bratanica Karolina.

*Karolina Krawczyk*  
*A.D. 2016*

## Znachor

**W** okresie międzywojennym, w czasie okupacji i po wojnie, do końca lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, opieka medyczna ludności, a szczególnie mieszkańców wsi, była niedostateczna. Brakowało lekarzy, a głównie specjalistów. Lekarze wykonywali swoje praktyki w miastach, gdzie istniały również szpitale. W Gościeradowie w okresie międzywojennym był lekarz zatrudniony prawdopodobnie przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, który przyjmował chorych pacjentów. Porady lekarskie były płatne. Z bezpłatnej porady mogli korzystać tylko chorzy, którzy uzyskali od księdza proboszcza odpowiednie zaświadczenie. W okresie okupacji z opieką medyczną było jeszcze gorzej, ze względu na działania wojenne. Po wojnie w latach pięćdziesiątych powstał w Gościeradowie państwowy ośrodek zdrowia, w którym pracował lekarz ogólny, stomatolog oraz dwie pielęgniarki. Za porady lekarskie i usługi stomatologiczne, a także za transport chorych karetkami pogotowia ratunkowego musieli płacić pacjenci. Ten stan trwał do czasu objęcia ludności wiejskiej ubezpieczeniem społecznym. Te trudności w dostępie do usług medycznych przez znaczną część społeczeństwa w okresie międzywojennym i po wojnie do lat sześćdziesiątych spowodował, że pojawili się „lekarze”, którzy, bez odpowiednich kwalifikacji zdobytych na uczelniach, wykonywali czynności na rzecz chorych, w większości z pozytywnym skutkiem. Obok zielarzy, których było najwięcej, były też osoby, które wykonywały operacje specjalistyczne z zakresu chirurgii urazowej.

Jednym z takich „lekarzy” był mój dziadek Jan Długosz. W środowisku Gościeradowa oraz bliższych i dalszych okolicach zasłynął on umiejętnością składania zwichniętych i złamanych kończyn górnych, dolnych oraz obojczyków. Dziadek pochodził ze wsi Salomin. Urodził się w 1878 roku, a zmarł w grudniu 1951 roku. W 1905 roku ożenił się z Zofią Janiszewską i zamieszkał w Wólce Gościeradowskiej, a po jej przedwczesnej śmierci, z Rozalią Skowrońską z Liśnika Dużego. Zajmował się pracą w gospodarstwie rolnym oraz udzielał pomocy poszkodowanym w różnych wypadkach, którzy przyjeżdżali do niego o każdej porze dnia i nocy w ciągu roku. Z bardzo skąpych informacji uzyskanych od mojej mamy Heleny Porębskiej z domu Długosz, wiem, że dziadek swoje umiejętności zdobył podczas kontaktu z le-

karzami, z którymi zetknął się w czasie odbywania służby wojskowej i działań wojennych w I wojnie światowej. Swoją wiedzę praktyczną rozszerzał, wykonując zabiegi składowania złamanych kończyn.

Wyposażenie „gabinetu” dziadka było bardzo skromne. Najczęściej stosował następujące materiały: do usztywnienia załamanych kończyn listewki drewniane, tekturę szarą lub deseczki oraz płótno lniane jako bandaże. Używana też była glina zmieszana z octem, która likwidowała opuchliznę i jednocześnie usztywniała kończynę (w wyniku osuszania się gliny następowało jej ztwardnienie). W innych przypadkach na chore kończyny nakładana była miazga z korzenia żywokostu tj. rośliny rosnącej na piaszczystych nieużytkach. Poszkodowani pacjenci w różnym wieku (nawet małe dzieci) byli przywożeni wozami konnymi lub saniami w zależności od pory roku, często z bardzo odległych miejscowości (nawet zza Wisły). Były to ofiary różnych wypadków i upadków, które zdarzały się podczas wykonywania różnych prac polowych, transportowych, bójek, jak również przemieszczania się w czasie złych warunków atmosferycznych.

Jako mały chłopiec często przyglądałem się czynnościom, jakie wykonywał dziadek u osób, które doznały złamania ręki, nogi lub obojczyka. Widok był niezbyt przyjemny, ponieważ podczas wykonywania czynności składowania kości osoby te bardzo cierpiały z bólu, zaciskały zęby, płakały a nawet krzyczały. Najgorzej było z małymi dziećmi, których płacz, krzyki były bardzo wzruszające. Pamiętam, jak jeden mały chłopiec podczas zabiegu najpierw prosił dziadka, żeby mu nic nie robił, a gdy to nie pomogło, zaczął go przeklinać. Obecni przy tym rodzice oniemieli z wrażenia, bardzo dziadka przepraszały i twierdzili, że ich syn w domu nie przeklina. Dziadek nie posiadał żadnych środków do uśmierzania bólu.

Sam zabieg polegał na odpowiednim ustawieniu złamanej kończyny lub obojczyka tak, aby mogła się prawidłowo zrosnąć. W tym celu dziadek uciskał palcami miejsce złamania do momentu, aż poszczególne części kości znalazły się w takiej pozycji, by mogło dość do ich połączenia (zrośnięcia). Następnie na kończynę lub obojczyk nakładał zmieszaną glinę z octem. Obecnie do tych celów używa się gipsu. W innych przypadkach kończyna była okładana miazgą z korzenia żywokostu. Po nałożeniu gliny lub żywokostu następowało bandażowanie kończyny lub obojczyka tkaniną lnianą. Ostat-

nią czynnością było usztywnienie złamanej kości tekturą, listwami drewnianymi i bandażem. Usztywnienia były noszone przez osobę poszkodowaną do całkowitego zrośnięcia się, które trwało w zależności od stopnia złamania i wieku danej osoby.

Wszystkie zabiegi wykonane przez dziadka były udane, a pacjenci szybko wracali do zdrowia. Nie słyszałem o przypadkach złe zrośniętych kończyn, obojczyków, jak również o komplikacjach. Od członków rodziny dowiedziałem się, że do dziadka zgłaszały się też osoby, którym w szpitalu źle zostały wykonane operacje. W tych sytuacjach dziadek ponownie przeprowadzał zabieg. Pierwszą czynnością było tzw. łamanie kości polegające na ich rozdzieleniu w celu ponownego ustawienia do zrośnięcia. Do wykonania tego zabiegu dziadek nagrzewał cegłę lub kamień do wysokiej temperatury, a następnie wkładał do wiadra, przykrywał tkaniną i przez otwór polewał octem w wyniku czego następowało parowanie. Nad wiadrem ustawiona była ręka lub noga. Oddziaływanie pary na kończynę trwało, aż do stanu zwiotczenia się mięśni i rozdzielenia złamanej kości. Dalszą czynnością było odpowiednie ustawienie złamanej kości do zrośnięcia. Wykonywał tę czynność uciskając palcami miejsca, w którym nastąpiło złamanie. Zabieg kończył się okładaniem gliną z octem, bandażowaniem i usztywnianiem kończyny. Jak skuteczne było oddziaływanie pary wytworzonej podczas polewania octem na rozgrzany kamień lub cegłę, może świadczyć historia wypadku (o której się dowiedziałem), jaka się przydarzyła w latach czterdziestych ubiegłego wieku 6-letniemu chłopcu zamieszkałemu z rodzicami we wsi Liśnik Duży. Chłopiec ten podczas wchodzenia na strych budynku spadł z drabiny i uderzył łokciem o kamień. Uderzenie spowodowało pęknięcia kości łokciowej. Rodzice zawieźli chłopca do szpitala w Lublinie. Po ustawieniu złamanej kości i nałożeniu gipsu w celu usztywnienia ręki chłopiec wrócił do domu. Po zdjęciu gipsu okazało się, że ręka jest sztywna i nie zgina się w łokciu. Przerażeni rodzice dowiedzieli się od sąsiadów, że we wsi Wólka Gościeradowska mieszka „lekarz”, który składa złamane kości poszkodowanym, a nawet tym, którym źle złożono w szpitalu. Dziadek przy pomocy wytworzonej pary rozluźnił mięśnie i kości ręki, co spowodowało, że można było poprzez stopniowe wykonywanie odpowiednich ruchów przywracać rękę do sprawności. Po pewnym czasie chłopiec uzyskał pełną spraw-



ność ręki i mógł nią wykonywać wszystkie czynności. Dziadek nie podejmował się wykonywania zabiegu ustawienia złamanych kończyn, gdzie wystąpiło znaczne przemieszczenie się kości tzn. gdy złamany koniec kości przebił skórę i wysunął się na zewnątrz.

Dziadek za swoją pracę nie pobierał wynagrodzenia, więc wdzięczni pacjenci zapraszali go na różnego rodzaju uroczystości rodzinne, takie jak przyjęcia, chrzciny, wesela. Jako mały chłopiec uczestniczyłem często z dziadkiem w wielu tych uroczystościach. Dziadek nawet uzależniał swoją obecność od tego, czy moja matka pozwoli zabrać mnie ze sobą. Na to nie zawsze chciała się zgodzić, ponieważ jazda odbywała się w czasie 1-3 godzin wozem konnym po drogach gruntowych z wybojami, a woźnica liczył już 70 lat. W czasie podróży umilałem drogę dziadkowi rozmową, obiecując, że jak dorosnę, to kupię samochód i wszędzie będę go woził. Powrotów nie pamiętam, ponieważ często wracaliśmy nocą, a ja spałem ułożony wygodnie na wozie wyłożonym sianem i starannie okryty.

Po śmierci dziadka „praktykę lekarską” wykonywał jego syn Wiktor Długosz. Dziadek przekazał mu swoją wiedzę medyczną, którą ten wykorzystywał, aż do początku lat osiemdziesiątych. Wraz z rozwojem placówek służby zdrowia, poszkodowani w wypadkach byli kierowani na operacje wykonywane przez dyplomowanych lekarzy specjalistów w szpitalach.

Mój dziadek Jan Długosz znany był dobrze parafianom kościoła w Gościeradowie. Był członkiem rady parafialnej, a jego działalność na rzecz Kościoła była wysoko ceniona przez księży proboszczów Pawła Markowskiego i Feliksa Kardasa oraz organistę Czesława Jakowskiego.

Obok mojego dziadka chciałbym wymienić inne osoby, które wykonywały np. usługi dentystyczne lub weterynaryjne, nie posiadając odpowiedniego wykształcenia. Niedaleki sąsiad moich rodziców Stefan Goleń usuwał bolące zęby zgłaszającym się do niego osobom. Posiadał kilka narzędzi do tego służących. Po usunięciu zęba wręczał proszek do płukania jamy ustnej, co miało spowodować szybkie gojenie. Środków znieczulających ból nie posiadał.

We wsi Książomierz obok kościoła mieszkał Edward Rudnicki. Przez rolników nazwany był „doktorem”. Posiadał on duży zasób wiedzy praktycznej w zakresie chorób zwierzęcych i ich leczenia. Po-

czątkowo potrzebujących rolników odwiedzał w ich gospodarstwach rolnych jeżdżąc rowerem i wykonywał wszystkie czynności, do których był wzywany. Gdy w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku w Gościeradowie powstała lecznica dla zwierząt, zatrudnił się na stanowisku sanitariusza. Lecznica ta została potem przeniesiona do wsi Wólka Gościeradowska.

Życie ludności wiejskiej zawsze było ciężkie. Małe rozdrobnione gospodarstwa z trudem mogły utrzymać wieloosobowe rodziny. Pomimo braku należytej opieki medycznej, weterynaryjnej oraz usług specjalistycznych, ludność wiejska mogła korzystać z pomocy osób, które choć bez należytego wykształcenia, zdobywały wiedzę w różnych dziedzinach. Oprócz lekarzy, dentystów, weterynarzy, zielarzy można było spotkać też wielu wybitnych fachowców, którzy np. konstruowali maszyny stosowane w gospodarstwach rolnych. Ci ludzie zasługują na wspomnienie i opisanie ich osiągnięć dla potomnych.

*Tadeusz Porębski*  
*A.D. 2016*

## Złote ręce

**L**RODZIŁEM SIĘ W CZERWCU 1945 ROKU we wsi Wólka Gościeradowska. Nasza rodzina liczyła pięć osób. Ojciec prowadził gospodarstwo rolne o powierzchni poniżej 3 ha. Kiedy sięgam pamięcią do lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, to widzę obraz ciężkiego życia nie tylko mojej rodziny, lecz także wszystkich mieszkańców wsi, a szczególnie tych kilku rodzin wielodzietnych. Gospodarstwa we wsi były drobne, występowała duża szachownica gruntów, które były w klasie czwartej, piątej, a nawet szóstej. Rolnicy uprawiali głównie żyto, owies, ziemniaki i rośliny pastewne. Wydajność z jednego hektara była niska. Nawozy mineralne w tym czasie nie były znane. Nawożenie roślin odbywało się obornikiem oraz łubinem lub seradelą przyorywanymi w stanie zielonym. Uzyskiwana produkcja rolna przeznaczona była na samozaopatrzenie oraz na wykonanie nałożonego planu obowiązkowych dostaw. Siła nabywcza mieszkańców wsi była bardzo niska. We wsi było dużo młodzieży, która nie miała możliwości podjęcia pracy w zakładach uspołecznionych (tylko nielicznym się to udało). Niektórzy z nich wyjeżdżali sezonowo na północ Polski, gdzie zatrudniali się przy kopaniu rowów melioracyjnych. Pracy była ciężka i niezbyt dobrze płatna. Poziom życia mieszkańców nie tylko naszej wsi, lecz także wszystkich miejscowości wiejskich w całym kraju obniżał fakt wprowadzenia przez państwo obowiązkowych dostaw produktów rolniczych takich jak: zboże, żywiec i mleko. Każde gospodarstwo rolne otrzymywało z Gromadzkiej Rady Narodowej decyzję określającą ilości produktów na dany rok, które rolnik musiał dostarczyć do punktu skupu. Za dostarczone produkty rolnicy otrzymywali zapłatę w wysokości 50% ceny rynkowej. Za niewywiązanie się z obowiązku dostarczenia wyznaczonych płodów rolnych groziły rolnikom wysokie kary pieniężne, a nawet pobyt w więzieniu. Biurokracja w tym zakresie działała prężnie, o czym świadczy fakt, że wezwania do dostawy zboża były dostarczane już w czasie, gdy żyto jeszcze nie zakwitło. Pamiętam, jak codziennie lub co drugi dzień nosiłem w naczyniu 2 litry mleka na środek wsi do zlewni, by móc wykonać nałożony plan. Wydajność mleczna krów była niska, ponieważ nie były one karmione wysokobiałkową paszą, tylko pasione latem na zaniedbanych i rozdrobnionych łąkach, drogach, miedzach lub w lesie.

Innym przykrym zjawiskiem dla mieszkańców wsi w tym czasie była próba kolektywizacji rolnictwa. Cyklicznie przybywała do wsi delegacja aktywistów, którzy namawiali rolników do przekazywania gospodarstw i tworzenia na ich bazie spółdzielni produkcyjnych. Obiecywali znaczną poprawę poziomu życia, słowem dobrobyt oraz mechanizację, szczególnie uciążliwych prac. Z czasem namawianie zamieniało się w groźne naciski. Jednak żaden rolnik ze wsi nie zdecydował się przystąpić do spółdzielni produkcyjnej i przekazać gospodarstwa.

W niedalekiej odległości od wsi znajdowało się Państwowe Gospodarstwo Rolne. Niektórzy rolnicy ze wsi nawet zazdrościli mieszkańcom PGR-u poziomu życia. Mężczyźni pracowali po 8 godzin dziennie, a w czasie żniw po 10 godzin. Otrzymywali wynagrodzenie w pieniądzu i deputaty. Posiadali też działki przyzagrodowe, na których uprawiali głównie warzywa. Obróbkę i nawożenie tych działek zabezpieczał PGR. Mieszkali w mieszkaniach służbowych, które były wyposażone w energię elektryczną, której nie posiadało jeszcze wiele wsi w tym rejonie. Po zbiorach zbóż władze PGR-u urządzały ich mieszkańcom huczne dożynki.

W tych bardzo trudnych czasach mieszkańcy wsi starali się wykorzystywać wszystkie istniejące możliwości do przeżycia. Przejawiali wiele inwencji twórczych i różnych umiejętności, co pozwalało zaspokajać ich potrzeby. Jednym z takich mieszkańców naszej wsi był mój wujek Wiktor Długosz – syn Jana Długosza i brat mojej matki Heleny Porębskiej. Urodził się w 1911 roku, a zmarł w 1985 roku. Mieszkał obok moich rodziców. Jego rodzina składała się z czterech osób. Syn Henryk był starszy ode mnie, a córka Krystyna młodsza. Prowadził gospodarstwo rolne o powierzchni około 4 ha. Wujek Wiktor odziedziczył po swoim ojcu Janie umiejętności składania złamanych lub zwichniętych kończyn górnych i dolnych oraz obojczyków. Po śmierci mojego dziadka Jana, w 1951 roku, wujek godnie zastępował swojego ojca w składaniu kończyn poszkodowanym osobom. Zabiegi wykonywał w sposób profesjonalny, co przyniosło mu wdzięczność wielu osób nawet z dalekich miejscowości. Sam sposób wykonania zabiegu nie uległ zmianie i był przeprowadzany tak, jak robił to jego ojciec. Pacjenci zgłaszali się do wujka nawet w latach osiemdziesiątych.

Wujek Wiktor Długosz zasłynął w tym czasie również umiejętnościami technicznymi, które wykorzystywał dla własnych potrzeb oraz innych osób. Jednym z większych działań, jakiego się podjął, było przesunięcie na odległość około 40 metrów bieżących stodoły wykonanej z bali sosnowych, pokrytej słomianą strzechą, o znacznej kubaturze i wadze. Stodołę tę otrzymał od swojego ojca, a znajdowała się ona na działce siedliskowej moich rodziców. W myślach opracował, w sposób szczegółowy, plan przesunięcia stodoły na swoją działkę. Wiele osób ze wsi, które poznały ten zamiar, nie wierzyło, że może się to udać. Inni byli ciekawi tego, jak będzie się to odbywać. Jako mały chłopiec z ciekawością przysłuchiwałem się prowadzonej dyskusji, a potem obserwowałem przygotowanie i przebieg tej operacji. Pierwszą czynnością było wzmocnienie poszczególnych ścian stodoły deskami, ażeby się nie rozeszły podczas przesuwania. Potem cała stodoła przy pomocy lewarków ręcznych (podnośników) została uniesiona na pewną wysokość (ok. 50 cm). Pod podniesioną stodołę zostały umieszczone, wzdłuż budynku, deski, na które położono prostopadle okrągłe drewniane kłocce. Po tych deskach, na kłocach odbywało się przesuwanie stodoły na wskazane miejsce. Przy pomocy kilku koni i kilkunastu osób udało się stodołę umieścić na właściwym miejscu. Operacja przebiegła sprawnie i bez niespodzianek. Żadne uszkodzenia nie wystąpiły. Innego wariantu przeniesienia stodoły wujek nie brał pod uwagę. Rozbiórka, a następnie składanie w nowym miejscu byłoby bardzo czasochłonne i kosztowne.

Drugim bardzo ważnym problemem wymagającym niezwłocznego rozwiązania był brak studni. Wujek, jak również moi rodzice oraz sąsiedzi zaopatrywali się w wodę ze źródła za młynem odległego o około 400 m, a w razie potrzeby do celów gospodarczych z rzeki oddalonej o 200 m. Woda była przynoszona bez względu na porę roku w dwóch wiadrach jednocześnie przy pomocy tzw. jarzma umieszczonego na ramionach. W tej sytuacji wujek wraz z moim ojcem Janem zdecydowali się wybudować własną studnię. Wykopali otwór w ziemi o głębokości około 4 metrów, w którym umieścili betonowe kręgi. Wujek wykonał drewniany żuraw z elementami metalowymi służący do pobierania wody ze studni. Wykonał też wydrążone koryto z pnia drewna, które było umieszczone obok studni. Służyło ono do pojenia krów i koni. Studnia była czynna aż do początków lat siedemdziesiątych.

Wujek Wiktor wykazał się umiejętnościami w zakresie wykonywania prac murarskich. Zdecydował się przenieść budynek mieszkalny, w którym mieszkał o kilkanaście metrów dalej. Budynek został rozebrany, a następnie złożony na wymurowanej podmurówce. Wszystkie te prace wykonywał przy pomocy członków rodziny i sąsiadów. Do wykonania pozostał mu trzon kuchenny z ogrzewaczem. Obawiając się tego, że może mu się nie udać własnoręczne zbudowanie trzonu kuchennego z ogrzewaczem, wynajął starszego już wiekiem zduna z Gościeradowa. Z wykonanej przez niego pracy był bardzo niezadowolony. Podczas palenia wydostawał się dym, a ogrzewanie było niedostateczne. Rozebrał więc budowlę aż do fundamentów, a następnie sam wymurował trzon kuchenny z ogrzewaczem. Okazał się bardzo funkcjonalny i wydajny, o czym świadczy fakt, że służył mu ponad trzydzieści lat.

W latach pięćdziesiątych i później dużą rolę w gospodarstwach wiejskich spełniały wykonane z drewna beczki, balie, cebrzyki, wiadra i inne naczynia lub pojemniki. Beczki były wykorzystywane między innymi do kiszenia kapusty, gromadzenia wody itp., balie zaś do prania i kąpieli, a wiadra drewniane do karmienia zwierząt domowych. Przedmioty te po wielu latach używania wymagały naprawy, które polegały na wymianie dna lub uszkodzonych klepek. Praca do wykonania była w pewnym stopniu precyzyjna. Wujek posiadał skromny w wyposażeniu warsztat stolarski. Wykonywał te naprawy zgłaszającym się rolnikom. W warsztacie stolarskim wykonywał też inne przedmioty takie jak kwietniki, ławki, koryta, młynki do czyszczenia zboża, sanki i inne. Pamiętam też, że wykonał trumnę jednej biednej zmarłej kobiecie.

Kiedy zbliżała się zima, wujek wykonywał z suchego drewna brzoźowego podeszwy do butów o grubości około 3 cm. W podniszczonych już butach ze skóry, a szczególnie ich spodach wymieniał podeszwy skórzane na drewniane. Łączenia dokonywał za pomocą gwoździków po uprzednim zamocowaniu na przyszwach butów skórzanych otoków. Buty tak wykonane były mocne i ciepłe. Jedyną wadą ich było to, że były śliskie. Dla wyeliminowania poślizgu na podeszwach były przybijane poprzeczne paski ze skóry lub z gumy. Tak zwane drewniaki cieszyły się wzięciem nie tylko ludzi starszych, ale też i młodych. Buty kupowane w sklepach na zimę były złej jakości

i drogie. W obuwiu wykonanym przez wujka chodzili głównie biedni mężczyźni. Dla własnych potrzeb wujek wykonywał sobie skórzane półbuty i naprawiał też inne buty, które tego wymagały.

W okresie zimowym do przemieszczania się w różne miejsca, do transportu opału, drewna i innych towarów używane były sanie ciągnięte przez konie. Sanie były wykonane z drewna i posiadały skrzynie ładowne. Wujek Wiktor wykonywał i naprawiał takie sanie sobie i innym ludziom.

Młodzi ludzie, którzy zamierzali zawrzeć związek małżeński, zgłaszali się do wujka z prośbą o wykonanie im obrączek ślubnych. Obrączki te wykonywał z kopiejek rosyjskich, które były uznawane za srebrne. Wujek najpierw w tych monetach wykonywał otworki, a następnie na stalowym pręcie przy pomocy młotka formował ich kształty. Ostatnią czynnością było szlifowanie i czyszczenie powierzchni. Z pił poprzecznych do cięcia drewna wykonywał noże kuchenne z rękojeściami z drewna. Noże te w tym czasie były jakościowo dobre, z czego zadowoleni byli Ci, którzy się nimi posługiwali. Jako mały chłopiec z zainteresowaniem obserwowałem wszystkie prace, które wykonywali dziadek i wujek.

Po wielu latach nie sposób wymienić wszystkich prac, jak również przedmiotów, które wujek Wiktor Długosz wykonał dla siebie i potrzebujących. W tym czasie, kilka lat po wojnie, potrzeby społeczeństwa nie mogły być zaspokajane odgórnie, ponieważ przemysł był zniszczony i brak było ludzi posiadających odpowiednie kwalifikacje. Również i potrzeby ludności były bardzo skromne. Społeczeństwo wiejskie musiało sobie odpowiednio radzić. Dzięki umiejętnościom mojego dziadka Jana Długosza i jego syna Wiktora mieszkańcy mogli korzystać z ich pomocy w różnej formie w przystępny sposób. Za uzyskaną pomoc okazywali im wdzięczność. Wspomnienia o nich i ich dokonaniach pozostały w pamięci wielu ludzi.

Swoje wspomnienia z lat dziecięcych o sytuacji społeczno-gospodarczej na wsi i wydarzeniach, które obserwowałem kończę fragmentem mojego wiersza napisanego w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku:

Tam, gdzie wieś jest biedna,  
gdzie są wąskie pólka,  
rozciąga się moja wieś rodzinna,  
Gościeradowska Wólka.

Leży między wsiami,  
Gościeradowem i Liśnikiem,  
a szeroka asfaltowa szosa,  
dzieli ją i łączy z Annopolem i Kraśnikiem.

*Tadeusz Porębski*  
*A.D. 2016*



## To były piękne czasy...

**S**IEDZIELIŚMY JEDNEGO LETNIEGO WIECZORU z moją mamą na dworze na huśtawce. Dołączył do nas mój wujek Andrzej i tak dorośli zaczęli, od słowa do słowa, wspominać, jak to było kiedyś.

Oboje z moją mamą, tatą i babcią prowadzili skup owoców. Mieli po 9, 11 lat, kiedy ich tata, a mój dziadzio, przejął go po nagle zmarłym panu Dudzińskim. Wówczas jeszcze w naszej miejscowości nikt bardzo nie miał malin, ale już zaczynały się plantacje porzeczek i truskawek. Natomiast w sąsiednich miejscowościach, takich jak: Suchodół, Liśnik Duży, Gościeradów, Wólka Gościeradowska było ich więcej. Siedzibą naszego skupu na samym początku był garaż u jednego z mieszkańców Liśnika Dużego. Codziennie, już od 29 czerwca co roku, przez 15 lat o godzinie 16.00 stawialiśmy się w gotowości do przyjmowania owoców. Jeszcze ludzie byli w polu, gdy my całą rodziną jechaliśmy na skup, aby przygotować miejsce na łubianki i skrzynki. Rozładowywaliśmy puste pojemniki, aby kontrahenci mieli na wymianę. Wszystko musiało być gotowe. Około godziny 17.00 zaczęli przyjeżdżać pierwsi klienci. W pierwszych latach końmi i furmankami. Nie raz byliśmy świadkami, jak konie się spłoszyły i ciężko było je utrzymać w ryzach. Sąsiad z sąsiadem wspólnie przywozili plony ziemi, aby zarobić parę złotych. Kolejki ciągnęły się kilometrami. Później, ponieważ było coraz więcej uprawiających owoce, przenieśliśmy się na bazę SKR w Liśniku Dużym. Tam były bardzo duże garaże po ciągnikach i kombajnach, więc było więcej miejsca.

– Andrzej, a pamiętasz? – zapytała moja mama – W jednym stał stary ciągnik, którego nikt nie używał. Przy nim była taka wysoka gaśnica.

– A było coś takiego. Nasz kolega coś zaczął przy niej montować i wybuchła, dlatego wiemy, że była wypełniona pianą – zaczął się śmiać na wspomnienie. – Gdy wybuchła, wszystko było białe, ciągnik, maliny i my, a było nas kilkoro dzieciaków. A krzyku i strachu było co nie miara. Nikt nie chciał powiedzieć, kto był winny. Pouciekaliśmy po całym placu.

– Tak. Wyglądaliśmy jak bałwany wśród malin – rozpromieniła się mama. – Z każdym rokiem było coraz więcej ciągników, a później samochodów. Skupione owoce zabierał samochód – chłodnia, często dwa razy: wieczorem i w nocy, i wywoził do przetwórni w Dwi-

kozach. Z czasem to i takie wielkie samochody z odkrytym dachem jechały gdzieś do dalej położonej przetwórni. Samochody – chłodnie były pełne. Wchodziło tam ponad 5 ton owoców i nieraz trzeba było zamykać je na siłę. Ciekł z nich sok z malin. Gdy nie było ludzi, to wtedy graliśmy w piłkę albo bawiliśmy się w chowanego z kolegami i koleżankami, którzy przychodzili na skup.

– Oj, działa się, działa – mówił wujek. – Tak zapoznało się wiele par i nawiązało przyjaźni, które trwają do dzisiaj.

– Pewnie, były i rozstania – westchnęła mama, uśmiechając się znacząco do wujka. Wracaliśmy często po północy, zmęczeni, ale nie było nam dane długo odpoczywać, bo rano szliśmy z krowami w pole, potem rwać czarne porzeczki do południa, a później na obiad i znowu na skup. Tak upływał nam pierwszy miesiąc wakacji. A w drugim – sierpniu był czas żniw. Było trochę tego pola...

– Jak sięgam pamięcią – zaczął mój wujek – gdy pojawiły się pierwsze zboża, jeszcze nie bardzo dojrzałe, to siedłem z moim dziadkiem Władkiem z kosą i kosiliśmy dla konia. On kosił kosą, babcia Natalia robiła powrósła, bo nie było sznurków, a my z siostrą odbieraliśmy. Robiliśmy snopki i stawiali w mendle, aby dobrze wyschły. Później mój tata kupił kosiarkę, to już kosa nie była potrzebna. Kosiło się nią na takie „garście”, a później kładło na powrósła i robiło snopki. Układało w kopki do wyschnięcia i zwoziło do stodoły, a w ferie zimowe młóciło maszyną. Ulepszeniem całych żniw była w późniejszym czasie snopowiązałka. To już był wynalazek, bo nie tylko kosiła, ale jeszcze wiązała od razu sznurkiem w snopki. Trzeba było je ułożyć po kilka, wysuszyć i zwieźć do stodoły. Całymi dniami ludzie pracowali i my, jako dzieci razem z nimi.

– Andrzej, a pamiętasz, jak wykosiliśmy z hektar pszenicy snopowiązałką i szła taka ogromna ciemna, deszczowa chmura? – zaczęła moja mama. – A pszenica to był skarb dla rolnika, z niej była mąka. Wtedy sąsiedzi przyszli nam z pomocą. Zostawili swoje nie wykoszone zboże, a pomogli nam złożyć w kopki, aby jak najmniej zmokło i aby jak najmniej było strat.

– To była taka sąsiedzka pomoc, o którą nikt nie musiał prosić, po prostu, tak należało zrobić i już – dodał mój wujek. – Tak było przez kilka lat, a dopiero potem sprowadzono pierwsze kombajny, które są ulepszane z każdym rokiem i koszą dzisiaj w żniwa.

– Niemożliwe! – zdziwiłam się – To nie mieliście telefonów ani komputera? – zapytałam.

Roześmieli się oboje.

– Jedyną rzeczą, jaką mieliśmy, to był czarno-biały telewizor, a później kolorowy, ale my nie mieliśmy czasu oglądać telewizji – stwierdziła mama. – Jak było tylko wolne, to my z wujkiem, zazwyczaj w niedzielę, bo wtedy nie było skupu, biegliśmy na ulicę lub do kogoś na podwórko pograć w klasy albo gumę.

– Wielu ludzi już odeszło, ale ci, co zostali, chociaż się zmienili, zestarzelili, posmutnieli, to zawsze, gdy się spotykamy, z uśmiechem na twarzy, wspominamy tamte czasy – zadumała się mama.

*Aleksandra Dąbrowska  
A.D. 2017*

## Obdarowany szczęściem

**W**IEŚ KSIĘŻOMIERZ NALEŻAŁA W REGIONIE do bardziej postępowych w okresie międzywojennym. Wyjazdy mieszkańców do różnych miejscowości, nawet do Warszawy, a młodzieży do szkół spowodowały, że wszystkie wydarzenia, które występowały gdzieś w Polsce, były przekazywane do środowiska wiejskiego. Były one impulsem do rozwijania działalności gospodarczej i społeczno-kulturalnej.

W Księżomierzy powstawały organizacje społeczne takie jak: Koło Młodzieży Wiejskiej „Wici”, Ochotnicza Straż Pożarna, Kółko Rolnicze, Koło Gospodyń Wiejskich i Związek Strzelecki. We wsi funkcjonowała szkoła, przedszkole i biblioteka. Organizacje te przeprowadzały różnego rodzaju kursy, szkolenia, pokazy i konkursy. W wyniku tych działań kształtowała się wśród mieszkańców świadomość społeczna, a także patriotyzm i aktywność do działań na rzecz środowiska.

We wsi Księżomierz, w tym czasie, mieszkali moi dziadkowie: Józefa i Józef Porębscy, którzy mieli pięcioro dzieci: Władysława, Jana (mojego ojca), Stanisława, Genowefę i Bolesława. Dziadek prowadził małe gospodarstwo rolne, co powodowało, że z trudem mógł utrzymać rodzinę. Przez pięć lat brał udział w walkach w I wojnie światowej. Po powrocie wielu zainteresowanym mieszkańcom opowiadał o swoich wojennych przeżyciach.

Wśród rodzeństwa wyróżniał się mój stryjek Stanisław, który urodził się 6 lutego 1916 roku. Kiedy był kilkunastoletnim chłopcem nauczył się zawodu szewca. Wykonywał głównie naprawy butów skórzanych, bo w takich chodzili mieszkańcy wsi. Za namową kolegów wyjechał do Warszawy na poszukiwanie pracy i lepszych warunków życia. W Warszawie pracował przez kilkanaście miesięcy. Niskie zarobki i wysokie koszty utrzymania nie zachęcały go do dalszego pobytu. To spowodowało, że wrócił do rodzinnej wsi. Z Warszawy przywiózł gramofon na korbkę z kompletem płyt, czym sprawił dużo radości członkom rodziny.

W tym czasie w Księżomierzy, podobnie jak w całym kraju, była duża podaż siły roboczej. Rodziny były w większości wielodzietne, stąd też dorastająca młodzież poszukiwała pracy. We wsi było kilku bogatych gospodarzy, którzy zatrudniali w pracach polowych część

młodzieży. Inni młodzi ludzie pracowali przy wyrębie lasu albo emigrowali do sąsiednich wsi w poszukiwaniu pracy. Mój ojciec Jan wraz z braćmi chętnie zatrudniali się do pracy w lesie, przy żniwach, wykopkach, omłotach i innych zajęciach.

W miesiącu sierpniu 1939 roku mój ojciec Jan i stryjek Stanisław zostali zmobilizowani do wojska w związku ze spodziewanym wybuchem wojny. Po wybuchu wojny jednostka wojskowa, w której był mój ojciec, została okrążona przez wojska niemieckie i skapitulowała. Dowództwo niemieckie dość łagodnie obeszło się z żołnierzami polskimi. Po złożeniu broni zostali oni wysłani do domów. Niemcy zatrzymali tylko oficerów i podoficerów.

Stryjek Stanisław miał mniej szczęścia. Pododdział, w którym służył, dostał się do niewoli rosyjskiej. Dowództwo armii radzieckiej wywiozło oficerów w nieznanym kierunku, a żołnierzy umieścili w obozie strzeżonym przez NKWD. Tam warunki pobytu były bardzo trudne. Jeńcy polscy byli głodzeni i torturowani. Strykowi po około 2 miesiącach pobytu udało się wraz z kilkoma kolegami zbiec. Powrócił do swojej rodzinnej wsi Księżomierzy. Zajmował się naprawami skórzanego obuwia i pracami w gospodarstwie. Wykonywał także nowe obuwie, gdy udało mu się zdobyć odpowiednie skóry na tzw. cholewki i podeszwy.

Po wybuchu wojny wieś Księżomierz była w różnej formie represjonowana przez okupanta. Podczas jednej ze zorganizowanych łapanek mających na celu pozyskanie młodych mężczyzn na roboty do Niemiec, stryjek został schwytany wraz z innymi mieszkańcami. Zatrzymanych załadowano na samochody, tzw. budy, które były odpowiednio zabudowane w celu uniemożliwienia przewożonym ucieczki. Stryjek, po zajęciu miejsca na platformie samochodu, zaczął szukać sposobu ucieczki z transportu. Zdawał sobie sprawę, że są przewożeni do obozu na Majdanku lub do innych istniejących na terenie okupowanej Polski. Wpadł na pomysł podjęcia próby zerwania kilku desek z podłogi platformy samochodu. Uważał, że poprzez wykonany otwór w podłodze uda mu się gwałtownie upaść na jezdnię i tym sposobem on i inni przewożeni wydostaną się na wolność. Gdy był już blisko celu zorientował się, że za samochodem jadą uzbrojeni żołnierze niemieccy na motorach i ucieczka ta się nie uda. Wraz z innymi mieszkańcami wsi znalazł się w obozie koncentracyjnym na

Majdanku. Poznał życie obozowe i porównywał je z pobytem w obozie u Rosjan. Po wyzwoleniu wielokrotnie powtarzał, że pomimo doznanych upokorzeń i stresów, warunki życia w obozie u Niemców były znacznie lepsze niż u Rosjan. Niemcy bowiem dawali więźniom cokolwiek do jedzenia, natomiast u Rosjan przymierali głodem.

W obozie przebywał około 3 tygodnie. Władze obozowe przygotowały odpowiednią partię więźniów do wywiezienia. Wśród nich znalazł się też stryjek. Kiedy był już w wagonie tzw. „bydlęcym” niezwłocznie zaczął szukać sposobu wydostania się z transportu. Wagony przed wyjazdem zostały pozamykane. Posiadały małe, okratowane okienka w celu uniemożliwienia przewożonym ucieczki podczas jazdy. Stryjek zorientował się, że w jednym okienku uda się rozgiąć kratę i przez powstały otwór istnieje możliwość wydostania się z wagonu. Był mężczyzną szczupłym i niezbyt wysokim. Po rozgięciu kraty udało mu się w powstały otwór wejść i wyskoczyć z wagonu. Upadł na trawę bokiem i poczuł silny ból w lewej ręce. Doznał prawdopodobnie pęknięcia obojczyka (na ból w tym miejscu uskarżał się przez około pół roku). Po wyskoczeniu z pociągu zauważył, że znajduje się w pobliżu miejscowości Gołęb koło Puław. Korzystając z osłony nocy i bocznych dróg, udało mu się powrócić do Księżomierzy. Kiedy opowiadał, w jaki sposób udało mu się wydostać z pociągu, wszyscy go podziwiali.

W innej łapance, urządzonej przez Niemców w Księżomierzy, został schwytany kolega stryjka Tadeusz Jarosz, który wraz z innymi mieszkańcami wsi został przewieziony do obozu na Majdanku. Jak opowiadał po wojnie o swoich przeżyciach w obozie, to najtrudniej było mu zapanować nad głodem i nie sięgać po surowe ziemniaki lub buraki, które powodowały choroby, a następnie śmierć. Tadeuszowi Jaroszowi udało się zbiec z obozu i wrócić do rodzinnej wsi.

Dla zabezpieczenia się przed represjami Niemców, już od wiosny 1941 roku we wsiach powstawały placówki Batalionów Chłopskich. Walczyło w nich około 170 tysięcy żołnierzy i oficerów. W czasie II wojny światowej żołnierze Batalionów Chłopskich przeprowadzili ponad 3 tysiące różnego rodzaju akcji bojowych. Obrona ludności polskiej przed terrorem oraz eksploatacją gospodarczą była głównym celem działania żołnierzy BCh. Polegała ona na: paleniu tartaków, składów drewna, unieruchamianiu gorzelni, mleczarni,

niszczeniu magazynów, niszczeniu akt kontygentowych, odbijaniu więźniów, wysadzaniu pociągów z wojskiem i zaopatrzeniem dla żołnierzy walczących na wschodzie. Sławne partyzanckie bitwy pod Wojdą, Zaborecznem, Różą w obronie ludności Zamojszczyzny oraz wspólne z Armią Krajową walki w lasach lipskich, janowskich i Puszczy Solskiej potwierdziły wysoki patriotyzm i oddanie ojczyźnie chłopą polskiego. Zapisali piękną kartę w historii walki narodu o niepodległość.

W Księżomierzy powstała placówka Batalionów Chłopskich podlegająca pod obwód numer 2 Kraśnik, który wchodził w skład IV okręgu Lublin. Komendantem tej placówki był Bolesław Nosek – przedwojenny podoficer wojska. W pobliskim lesie prowadził on ćwiczenia podwładnych partyzantów. Stryjek w tym oddziale zajmował się zaopatrzeniem m.in. w broń i amunicję oraz łącznością, tzn. przekazywaniem meldunków, rozprowadzaniem podziemnej prasy itp. Do oddziału partyzanckiego należeli między innymi: mój stryjek Stanisław, Jan Rota, Tadeusz Puzio, Jan Wójcik, Jan Bugajski i Tadeusz Jarosz. Ojciec Tadeusza Jarosza posiadał w Księżomierzy wiatrak, który przerabiał zboże na mąkę i paszę do początków lat sześćdziesiątych. Natomiast syn Tadeusz po założeniu rodziny w latach pięćdziesiątych zamieszkał we wsi Węglenek. W swoim gospodarstwie skonstruował młyn do przerobu zboża na paszę dla zwierząt. Urządzenia w tym młynie były wykonane w większości z drewna, np. koła, które były obite blachą. Władza ludowa nie pozwoliła mu na świadczenie usług rolnikom. Pomimo dużego zapotrzebowania na tego typu usługi, młyn został rozebrany.

Stryjek miał łatwość w nawiązywaniu kontaktów. Był znany i lubiany w okolicznych wsiach, co ułatwiało mu wykonywanie zleconych zadań. Stryjek wstępując do BCH otrzymał pseudonim „Żelazny”. Wielokrotnie śmierć zaglądała mu w oczy, jednak udało mu się przeżyć.

Kiedy po wojnie opowiadał o swoich przeżyciach, to okazywały się one wprost dramatyczne. Mnie utkwiły w pamięci dwa takie zdarzenia. Pod koniec czerwca stryjek otrzymał rozkaz od dowódcy placówki udania się do wsi Dąbrowa Annopolska w celu dokonania zakupu broni. Karabin odebrał w godzinach południowych. Kiedy wracał rowerem z Dąbrowy z karabinem na plecach i był już

na „stawku” (tj. plac obok remizy strażackiej w Księżomierzy), został zatrzymany przez dwóch żołnierzy niemieckich. Nakazali mu zejść z roweru, oddać broń i iść z nim do remizy, w której urzędował ich dowódca. Stryjek korzystając z krótkiej chwili ich nieuwagi, wyrwał się i zaczął biec przez plac. Niemcy zaczęli do niego strzelać, jeden w pozycji stojącej, a drugi ukląkł na jedno kolano. Kule gwizdały mu z jednej i z drugiej strony. Kiedy przebiegł przez plac (ok. 70 m) i wpadł w rosnące żyto (działo się to przed żniwami), Niemcy byli przekonani, że go zastrzelili i zaprzestali dalszych działań. Zajście to obserwowały dwie przerażone kobiety z pobliskich zabudowań. Były również przekonane, że stryjek został zabity. Podano nawet informację do mojego dziadka Józefa, żeby przyjechał wozem zabrać ciało syna Stanisława. Kiedy po pewnym czasie stryjek wyszedł z żyta i zapytał kobiety, które obserwowały to zdarzenie, czy Niemcy już poszli, jedna z nich z wrażenia zemdląła.

Innym razem stryjek przekazywał meldunki i prasę podziemną do Gościeradowa i okolicznych wsi. Po wykonaniu zadania spotkał się z kolegami we wsi Wólka Gościeradowska. W tradycji partyzantkiej było przyjęte to, że koleżeńskie spotkania były zakrapiane alkoholem. Każdy z kolegów popisывał się swoimi przeżyciami. Stryjek natomiast zaprezentował swoją znajomość języka rosyjskiego. Został zauważony przez przypadkowych Niemców, którzy podejrzewając, że jest szpiegiem rosyjskim, doprowadzili go do dowódcy. Ten zaś uznał, że jest on szpiegiem i polecił żołnierzom, ażeby zaprowadzili go do pobliskiego lasu i rozstrzelali. Nie pomogły prośby i wyjaśnienia (w tym mojej matki Heleny, która znała język niemiecki jeszcze ze szkoły), że to nie jest szpieg tylko mieszkaniec wsi, a mówi po rosyjsku, bo jest pijany. Kiedy żołnierze zaprowadzili go do lasu, jeden z nich powiedział po polsku: „My strzelimy w górę, a Ty cwaniaku uciekaj, ile sił masz w nogach”. Okazało się, że byli to Ślężacy wcieleni przymusowo do Wehrmachtu.

Partyzanci z Batalionów Chłopskich z różnych placówek kontaktowali się z jednym z mieszkańców Dąbrowy Annopolskiej w sprawach broni, meldunków itp. Pracował on jako policjant granatowy na posterunku w Annopolu. Korumpując Niemców pieniędzmi, artykułami żywnościowymi tj. wędlinami, masłem, miodem itd., zdobywał broń, amunicję i granaty dla partyzantów. Uratował on też



wielu mieszkańców okolicznych wsi przed wywózką do obozu w Janowie Lubelskim, represjami, a nawet śmiercią z rąk Niemców. Kiedy odwiedziłem tego pana w latach siedemdziesiątych, opowiadał mi swoje przeżycia z czasów okupacji. W jego gospodarstwie były dwa pomieszczenia, w których urządzone były szpitale polowe: jedno pod budynkiem mieszkalnym, a drugie w budynku gospodarczym. Obydwa odpowiednio zamaskowane. Kiedy Niemcy w jego mieszkaniu pili wódkę, nie podejrzewali, że w tej posesji jest szpital i leczeni są ranni partyzanci. Jeden z mieszkańców Świeciechowa opowiadał mi, że jego rodzinie groziła wywózka do obozu lub nawet rozstrzelanie, gdyby Niemcy lub policjanci granatowi z Annopola znaleźli podczas przeprowadzanej rewizji zabite niekolczykowane dwa tuczniki. W ostatniej chwili zostały one zakopane w oborniku. Do pomieszczenia w oborze podczas rewizji wszedł ten policjant z Dąbrowy Annapolskiej, a kiedy zorientował się, że w oborze zakopane są dwa tuczniki, to w to miejsce narzucił jeszcze więcej obornika.

Partyzanci z oddziału Bolesława Noska z placówki w Księżomierzy (w tym mój stryjek) brali udział w wielu walkach i potyczkach z Niemcami m.in. pod Annopolem i Urzędowem. Trzech partyzantów z tej placówki zginęło, a kilku zostało rannych.

Po zakończeniu wojny stryjek zamieszkał w Księżomierzy i zajmował się wykonywaniem usług szewskich. Szerokie kontakty koleżeńskie umożliwiały mu zdobycie skóry i innych dodatków do naprawy obuwia, jak też wykonywania nowych butów na zamówienie.

W 1947 roku ożenił się z Marią Żyłą i zamieszkał we wsi Ludmiłówka, zwaną przez starszych mieszkańców Zalesiem. Zajmował się prowadzeniem gospodarstwa rolnego, którego powierzchnię powiększał. Przebudował też wszystkie budynki. Przez kilkanaście lat wykonywał naprawy obuwia i nowe buty. W okresie powojennym zapotrzebowanie na usługi szewskie było duże. Mieszkańcy wsi przyносили do naprawy obuwię skórzane, które było często bardzo zniszczone. Były przypadki, że stryjek zaczynał naprawę butów, a kiedy okazało się, że będzie to trudne, tracił cierpliwość, odkładał, by po pewnym czasie wrócić i zakończyć naprawę. Kiedy jego syn Józef-Wiesław i córka Halina założyli rodziny, pomagał im wraz z żoną Marią fizycznie i finansowo w budowie domów, budynków gospodarczych i powiększaniu gospodarstw.

W okresie międzywojennym wieś Zalesie (Ludmiłówka) była wsią biedną. We wsi znajdowała się tylko jedna studnia, z której czerpanie wody przez mieszkańców odbywało się od wczesnych godziny porannych. Utarło się w tym czasie powiedzenie w sąsiednich wsiach: „bieda jak w Zalesiu”.

W okresie okupacji w Ludmiłówce zatrzymywały się grupy partyzantów z Batalionów Chłopskich, Armii Krajowej i Armii Ludowej (Edwarda Gronczewskiego ps. Przepiórka). Przebywał też w Ludmiłówce Grzegorz Korczyński późniejszy generał i wiceminister obrony narodowej wojska polskiego.

Po wyzwoleniu kilku aktywnych ludowców z Ludmiłówki w tym i mój stryjek postanowiło zmieniać oblicze swojej wsi. Korzystając z rozległych kontaktów i znajomości, które zaistniały jeszcze w okresie okupacji oraz pomocy władz wojewódzkich i powiatowych zdecydowano we wsi wybudować wodociąg. Uznali bowiem, że jest to najpilniejsza potrzeba, która przyczyni się do rozwoju społeczno-gospodarczego środowiska. Dla pozyskania środków na inwestycje wieś uczestniczyła w różnych konkurach i współzawodnictwach, zajmując czołowe miejsca. Wodociąg został wybudowany. Był to drugi wodociąg w województwie lubelskim (pierwszy został wybudowany we wsi Poczėsle). O wodociągu w Ludmiłówce pisało wiele czasopism. Następnym zadaniem do wykonania, które sobie wyznaczono, była budowa utwardzonych dróg przez wieś oraz do Dzierzkowic i Księżomierzy. Po wybudowaniu asfaltowych dróg i ułożeniu chodników przez wieś, przysłała kolej na budowę domu ludowego, a po kilku latach również i kaplicy.

Obecnie wieś zmieniała się nie do poznania. Mój stryjek, który angażował się w realizację tych przedsięwzięć, przeżył nieszczęśliwy wypadek. Kiedy jechał do leśniczego do Księżomierzy 30 listopada, został potrącony przez samochód ciężarowy, który go potem ciągnął za sobą kilkaset metrów. Stan jego był bardzo ciężki, można nawet uznać, że beznadziejny. Rodzina była przekonana, że może nastąpić śmierć i podjęła pewne przygotowania. Ja uważałem, że skoro do tej pory stryjek wychodził z różnych niebezpiecznych opresji cało, to i teraz może mu się uda. Byłem nawet o tym przekonany. Po dłuższym pobycie w szpitalu stryjek wrócił do domu. Nie czuł się jednak dobrze. Wypadek spowodował pogorszenie się stanu fizycznego

i psychicznego u 65-letniego mężczyzny. Kiedy opowiadał swoje wojenne przeżycia, zalewał się łzami. Uprzedzał jednak, ażeby nie zwracać na to uwagi.

Stryjek zmarł 11 lipca 1998 roku w wieku 82 lat. Należał do organizacji kombatanckich: ZBOWiD, a po jej przemianowaniu do Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych. W 1990 roku wstąpił do Związku Sybiraków. Za działalność w ruchu oporu, a po wyzwoleniu za pracę społeczną został odznaczony Medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939”, Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945, Krzyżem Partyzanckim, Odznaką Weterana Walk o Niepodległość, Krzyżem Batalionów Chłopskich.

*Tadeusz Porębski*  
*A.D. 2017*

## Geneza powstania Ochotniczej Straży Pożarnej w Wólce Gościeradowskiej i pierwsze lata jej działalności.

**D**O ZAKOŃCZENIU II WOJNY ŚWIATOWEJ, życie ludności wiejskiej było bardzo trudne. Wydajność z produkcji rolnej była niska, szczególnie na glebach słabych. Nawożenie gleb odbywało się obornikiem, a nawozy mineralne były nieznane. Uzyskiwana produkcja rolna przeznaczona była na potrzeby własne i na zrealizowanie obowiązkowych dostaw płodów rolnych wyznaczonych dla każdego gospodarstwa przez władze państwowe.

Ludność wiejska, w tym czasie, borykała się z wieloma problemami i ciężarami, które utrudniały jej życie. Najbardziej uciążliwe były obowiązkowe dostawy zbóż, mleka i żywca, które miało wykonać każde gospodarstwo. W przypadku niewykonania któregoś z nich, groziły surowe kary, aż do więzienia włącznie. Za dostarczone płody rolnicy otrzymywali zapłatę wynoszącą około pięćdziesiąt procent ceny rynkowej.

Innym uciążliwym dla wsi problemem była sprawa kolektywizacji rolnictwa. Grupy aktywistów partyjnych cyklicznie odwiedzały poszczególne wsie, namawiając lub wręcz naciskając na ludność, aby zakładała spółdzielnie produkcyjne. Obiecywali, że spółdzielnia zabezpieczy im lepsze i dostatnie życie oraz zatroszczy się o nich w okresie starości. Chętnych do przekazania gospodarstw do spółdzielni nie było.

Stosunkowo często w okresie powojennym występowały na wsiach różne klęski losowe, takie jak: powodzie, pożary, susze i nadmierne opady deszczu. Wsie położone nad Wisłą były narażone na straty spowodowane przez powodzie. Wały zabezpieczające przed powodzią były po wojnie uszkodzone i nie zabezpieczały przepływu podwyższonego poziomu wody, szczególnie podczas wiosennych roztopów. W latach pięćdziesiątych władze państwowe zdecydowały, że na terenach wzdłuż rzeki Wisły będą budowane i remontowane wały przeciwpowodziowe. Do tych prac zostali zaangażowani rolnicy wraz z wozami konnymi nawet z odległych miejscowości. Mój ojciec wraz z innymi mieszkańcami wsi wyjeżdżali wozami konnymi na kilka dni do pracy w miejscowości Świeciechów.

Duże straty majątkowe w gospodarstwach rolnych powodowały pożary. Wybuchały one o każdej porze dnia i nocy w ciągu roku. Najmniej pożarów wybuchało w okresie zimowym. Pożary spowodowane były w większości przez zaproszenie ogniem na skutek nieostrożnego użytkowania lamp i latarni naftowych, palącymi się papierosami, podczas wykonywania różnych prac w gospodarstwie oraz nieszczelności przewodów kominowych. Tylko nieliczne wsie w powiecie kraśnickim były zelektryfikowane. W pozostałych wsiach do oświetlenia domów używano lamp naftowych a w obejściach gospodarczych latarni naftowych. W stodołach i oborach oraz innych budynkach gospodarczych było dużo suchej słomy lub siana, które na skutek zaproszenia ogniem szybko się zapalały.

Dużo pożarów powodowały bawiące się zabawkami i pozostające bez opieki dzieci, których rodzice byli zaangażowani do wykonywania prac polowych. Podpalaczami były też nietrzeźwe osoby dorosłe. Występowały również pożary (nieliczne) w pojedynczych budynkach wywoływane celowo dla uzyskania odszkodowania lub zniesienia współwłasności.

W ramach prowadzonej akcji profilaktycznej przez jednostki straży pożarnej, wyznaczone zespoły strażaków przeprowadzały kontrole w gospodarstwach rolnych na wsi. Zwracały one szczególną uwagę na czystość i porządek na podwórkach, tzn. czy nie są one zaśmiecone i czy w niedozwolonych „krótkich” odległościach nie są usytuowane stogi siana lub słomy. Sprawdzano też, czy rolnicy posiadają w wyznaczonym miejscu podręczny sprzęt gaśniczy, taki jak beczkę z wodą, bosak i tłomnice. Władze państwowe zaleciły umieszczania na wrotach stodoł w miejscach widocznych napisu: „Palenie surowo zabronione”.

Stosunkowo dużo pożarów wybuchało też na skutek wyładowań atmosferycznych, które występowały w okresie letnim, w dzień i w nocy. W celu zapobiegania powstawania pożarów spowodowanych tymi wyładowaniami, w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia we wsiach zostały zainstalowane, nieodpłatnie na budynkach mieszkalnych i gospodarczych, urządzenia odgromowe. Na szczytach budynków umieszczane były pionowo drewniane wsporniki o długości 60-80 cm. Na tych wspornikach poziomo do szczytów budynku był przeciągany drut ocynkowany o średnicy 5 mm. Końce

tych drutów były prostopadle przeciągane do gruntu. Zalecano właścicielom budynków, by te końce drutów zostały zakopane w ziemi na głębokości około 1 m na długości co najmniej 5-6 m. Z moich obserwacji wynikało, że znaczna część rolników z tego się nie wywiązywała, a końcówki drutów wisiały na drzewach lub zostały odcięte i przeznaczone do innych celów.

Powstawaniu pożarów i rozmiarom szkód sprzyjała drewniana zabudowa, pokrycie dachów strzechą i zagęszczenie budynków. Tylko niewielki odsetek budynków było murowanych, głównie z białego kamienia wapiennego. Podobna sytuacja była z pokryciami budynków, przeważały pokrycia słomiane (strzecha) wykonywane we własnym zakresie przez rolników ze słomy żytniej. Bardzo rzadko budynki były pokryte czerwoną dachówką ceramiczną.

Częstym niekorzystnym z punktów widzenia ochrony przeciwpożarowej zjawiskiem w gospodarstwach rolnych było dobudowywanie do stodół lub obór innych mniejszych budynków, takich jak szopy na sprzęt, kurniki, drewnutnie i inne. Były one wykonywane z drewna i pokryte strzechą. Często w tych budynkach wybuchały pożary. Zagęszczona zabudowa występowała w wielu wsiach np. w Gościeradowie, Księżomierzy i innych miejscowościach. Pożary, które wybuchały w takich miejscach, zawsze trawiły wiele budynków i były trudne do ugaszenia. Bardzo duże pożary wybuchły w latach pięćdziesiątych we wsi Piaski koło Kraśnika i Słodkowie. Spłonęły tam dziesiątki zabudowań. Duży pożar był też w Gościeradowie Plebańskim, tylko zmiana kierunku wiatru spowodowała, że straty były znacznie mniejsze. W Wólce Gościeradowskiej pierwszy pożar po wojnie wybuchł we wschodniej części wsi i był groźny. Nieomal w tym samym miejscu wybuch drugi pożar w latach sześćdziesiątych, w rozmiarach strat jak poprzedni. W zachodniej części wsi w pierwszym pożarze najpierw spalił się dach budynku mieszkalnego, a w niedługim czasie wybuchł duży pożar w wyniku, którego spłonęło kilka budynków. Obok domu moich rodziców od strony wschodniej w drugi dzień Wielkanocy również spłonęło kilka budynków.

Wybuchały też pożary spowodowane lekkomyślnym zachowaniem osób dorosłych, Jeden z mieszkańców wsi Kolonia Liśnik Duży, wracając w stanie nietrzeźwym ze spotkania z kolegami, wpadł do rzeki i zmoczył ubranie. Postanowił wysuszyć garderobę przy ogni-

sku. W tym celu podpałił rosnącą suchą trzcinę na stawach obok rzeki. Trzcina zaczęła się szybko palić i powstała chmura dymu. Miejscowa straż pożarna z Liśnika Dużego nie wzięła udziału w gaszeniu (być może uznała, że nie było potrzeby) natomiast do pożaru przyjechała straż z Gościeradowa. Po sprawdzeniu miejsca spalenia się trzciny powróciła powrotem do bazy. Większość spalonych w wyniku pożarów budynków nie była ubezpieczona. Powodem tego był fakt, że wielu rolników nie stać było na opłacenie składek ubezpieczeniowych. Poszkodowanym po pożarach pomagali mieszkańcy, nie tylko miejscowej wsi, lecz także i sąsiednich, ofiarując im płody rolne niezbędne do przeżycia rodziny i utrzymania inwentarza żywego. Straty, jakie powstawały w wyniku pożaru, obejmowały nie tylko budynki lecz także i zwierzęta oraz narzędzia rolnicze. Władze państwowe zabezpieczały pogorzelcom kupno potrzebnych materiałów budowlanych na budowę budynków.

W pierwszych kilkunastu latach po wojnie konstruowanie budynków z materiałów ogniotrwałych było niemożliwe z powodu ich braku na rynku. Istniejące w Kraśniku cztery cegielnie państwowe, produkowały cegłę na potrzeby odbudowy miasta ze zniszczeń wojennych, powstawania budynków użyteczności publicznej oraz osiedla mieszkaniowego w fabrycznej części Kraśnika. Rolnicy mogli się ubiegać o przydział niewielkiej ilości materiału np. kilkudziesięciu lub kilkuset sztuk cegły) do wykonania niezbędnych remontów, szczególnie budynków mieszkalnych (dotyczyło głównie przewodów kominowych). Wymagane było złożenie podania w sprawie przydziału określonej ilości materiału do Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej. Specjalna komisja GRN sprawdzała na miejscu, czy remont jest konieczny i czy wskazana w podaniu ilość materiału zabezpieczała jego wykonanie. Po otrzymaniu zlecenia zakup materiałów odbywał się w Gminnej Spółdzielni „Sch”. Dopiero na skutek uchwalonych przez Sejm przepisów ustawowych, w początkach lat sześćdziesiątych, pozwolono indywidualnym rolnikom na budowanie prywatnych cegielni, wytwarzanie w nich cegły i sprzedaż zainteresowanym. Powstały w tym czasie zespoły wypału cegły we wsiach Kowalin i Spławy. W innych miejscowościach wyrabiano też dachówkę z masy cementowej. To spowodowało, że w okresie kilkunastu lat w całym powiecie kraśnickim powstało wiele budynków mieszkalnych i gospodarczych z materiałów ogniotrwałych.

W pierwszych powojennych latach, w których wieś borykała się z wieloma trudnościami, powstawały organizacje rolnicze, takie jak spółdzielnie, kółka rolnicze, zespoły produkujące materiały budowlane itp., które przejawiały inicjatywy społeczne i gospodarcze mające na celu poprawę życia mieszkańców. Dużą rolę w tym okresie odgrywały ochotnicze straże pożarne. Rozwijały nie tylko działalność ratowniczo-gaśniczą, ale także profilaktyczną mającą na celu zabezpieczenie przed pożarami. Prowadziły także działalność społeczno – kulturalną.

We wsiach sąsiadujących z Wólką Gościeradowską istniały w tym okresie straże pożarne w Gościeradowie i Liśniku Dużym oraz Księżomierzy (gromada Księżomierz). Straże te powstały: w Gościeradowie w 1907, a pozostałe w okresie międzywojennym i były dobrze zorganizowane.

W okresie międzywojennym dużą aktywność w rozwijaniu działalności straży w Gościeradowie przejawiał ksiądz proboszcz Paweł Markowski, który pełnił funkcję prezesa, a jego zastępcą był organista Czesław Jackowski. Pan Jackowski pełnił w tym czasie funkcję Wójta Gminy Gościeradów. Zorganizował i prowadził orkiestrę dętą, której członkowie byli strażakami. Orkiestra uświetniała graniem uroczystości kościelne i państwowe. I tak w dniach odpustów z ganku budynku, w którym mieszkał organista, dawała koncert dla wiernych. W Boże Narodzenie orkiestra zajmowała miejsca na chórze. Granie w kościele orkiestry dętej powodowało drganie szyb w oknach. Orkiestra uczestniczyła także w procesji rezurekcyjnej.

Straż posiadała remizę drewnianą wybudowaną w okresie międzywojennym oraz budynek garażowy z wieżą obserwacyjną. Już w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia straż była wyposażona w samochód gaśniczy marki Star20 (używany) i motopompę produkcji angielskiej, wysoko wydajną, usytuowaną na ogumionych kołach. Podczas wyjazdów do akcji gaśniczej była doczepiana do samochodu. Na skutek wyeksploatowania często ulegała awarii i była remontowana przez Kazimierza Morszczyznę, który posiadał w Gościeradowie warsztat mechaniczny. Ponadto straż posiadała odpowiednią ilość węży oraz drobny sprzęt, który był niezbędny w prowadzeniu akcji gaśniczej. Jednostki OSP miały trudności w nabyciu nowego sprzętu pożarniczego, gdyż był on ogólnie reglamentowany. Na prze-



łomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych prezesem straży był Cyprian Rutkowski, a naczelnikiem Stanisław Olender. Budynek remizy, w którym znajdowała się sala widowiskowa, scena i chór wykorzystywany była głównie podczas akademii z okazji świąt państwowych, koncertów oraz występów zespołów artystycznych. Zabawy taneczne nie były zbyt często organizowane. Do czasu otwarcia budynku usytuowanego obok posterunku milicji, w którym zostało zorganizowane kino „Partyzant” (początek lat sześćdziesiątych), to właśnie w remizie OSP były wyświetlane filmy fabularne.

Kierownikiem kina „Partyzant” był Jan Koba, a operatorem sprzętu Marian Ogorzałek. W sali kina odbywały się słynne zabawy sylwestrowe na kilkaset osób, jak również występy zespołów artystycznych i akademie. Z występami przyjeżdżał zespół artystyczny z jednostki wojskowej z Kraśnika.

Straż pożarna w Liśniku Dużym powstała w 1925 roku. W latach pięćdziesiątych straż posiadała motopompę oraz niezbędne wyposażenie do prowadzenia akcji gaśniczej. Do pożaru wyjeżdżała wozami konnymi, co znacznie opóźniało rozpoczęcie akcji gaśniczej. W tym czasie, dzięki dużemu zaangażowaniu strażaków i społeczeństwa Liśnika Dużego, została wybudowana w krótkim czasie remiza piętrowa. Na parterze znajdowały się pomieszczenia garażowe na samochód i wyposażenie oraz sala konsumpcyjna uruchamiana dla gości podczas odbywania się zabaw tanecznych. Natomiast na piętrze znajdowała się sala taneczna i scena z kulisami. Remiza piętrowa stanowiła wyjątek w powiecie kraśnickim, a straż zdobyła tym uznanie od władz i społeczeństwa.

Zabawy taneczne w Liśniku Dużym odbywały się bardzo często, a w latach sześćdziesiątych, w co drugą niedzielę, na przemian z zabawami organizowanymi przez Ochotniczą Straż Pożarną w Liśniku Małym. Na zabawy przyjeżdżało, głównie motorami i rowerami, dużo młodzieży z okolicznych wsi, a nawet i z Kraśnika. Młodzież ta prezentowała nowe figury taneczne i modne ubiory. Do tańca przygrywał młodzieżowy zespół „Herbertów” z Woli Trzydnickiej. Wszystkie przeboje śpiewane na festiwalach i w radiu były grane na zabawach, co było bardzo pozytywnie przyjmowane przez młodzież. Zespół ten był bardzo lubiany i cieszył popularnością. Zarząd OSP zawarł nawet umowę z tym zespołem na granie na zabawach w okresie całego roku.

Młodzież bawiła się bardzo kulturalnie. Osób pod wpływem alkoholu nie wpuszczano na salę taneczną usytuowaną na piętrze. Czuwało nad tym dwóch strażaków przy schodach. Organizowane zabawy dostarczały strażakom dużych dochodów. Przeznaczano je na uzupełnianie sprzętu pożarniczego i umundurowania wyjściowego. W remizie wyświetlane były również filmy fabularne. Jeden raz w tygodniu kierownik kina „Partyzant” wraz ze swoim pracownikiem przyjeżdżali z Gościeradowa furmanką do Liśnika w celu wyświetlenia filmu. Utrzymanie jednostki straży na wysokim poziomie organizacyjnym, wyszkolenie druhów strażaków oraz wyposażenie jednostki w niezbędny sprzęt gaśniczy to zasługa zarządu, m.in. Władysława Leszczyńskiego, który był wieloletnim prezesem i znanym w środowisku działaczem społecznym oraz naczelnika Andrzeja Najsa.

Ochotnicza Straż Pożarna w Księżomierzy powstała w 1925 roku w inicjatywy kilku miejscowych działaczy społecznych. Pierwszym prezesem Zarządu OSP był Franciszek Malinowski, a naczelnikiem Julian Marcuga. Ze składek pieniężnych i ofiar materialnych wybudowana została w latach 1928-1929 remiza drewniana. We wschodniej części budynku znajdowała się sala taneczna i scena, a w zachodniej części garaż na sprzęt gaśniczy. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, straż posiadała motopompę z wyposażeniem i wóz strażacki konny, którym wyjeżdżała do pożarów. Remiza strażacka wykorzystywana była do różnych celów. Odbywały się w niej zebrania wiejskie, zabawy taneczne, występy zespołów artystycznych, między innymi zespołu tanecznego z miejscowej szkoły zawodowej prowadzonego przez Helenę Twarogową. W remizie były również wyświetlane filmy fabularne przez kino objazdowe z Lublina, którego kierownik pochodził z Księżomierzy. Dużym powodzeniem i uznaniem miejscowej młodzieży i okolicznych wsi cieszyły się zabawy organizowane przez straż, a szczególnie w dniach odpustów (2 lipca). W tym dniu rano, strażacy organizowali zbiórkę, by czwórkami udać się do kościoła. Tam na placu przy kościele pilnowali porządku. W godzinach popołudniowych rozpoczynała się zabawa na placu obok remizy tzw. „Stawku” bawiła się tam młodzież i osoby starsze. Do tańca przygrywała orkiestra dęta. Przebojem muzycznym w tym czasie bardzo często granym na zabawach była piosenka „Siwy włos” śpiewana w radio przez piosenkarkę Martę Mirską. Na śro-

dek wsi, w okolicy remizy, po uroczystym obiedzie, ściągali tłumnie mieszkańcy wraz z osobami u nich goszczącymi z okazji odpustu, aby posłuchać muzyki i popatrzeć na bawiącą się młodzież. Wieczorem zabawa odbywała się w remizie, a przy wejściu należało wykupić bilet wstępu.

Druhowie z OSP z Księżomierzy znani byli z zaangażowania w walce z pożarami oraz działalności kulturalnej na rzecz mieszkańców wsi. Byli też widoczni podczas różnych wydarzeń na wsi, imprez kulturalnych i uroczystości kościelnych.

Na powstanie inicjatywy zorganizowania Ochotniczej Straży Pożarnej w Wólce Gościeradowskiej, wsi małej (liczącej ok. 60 gospodarstw) i biednej, złożyło się kilka powodów. Jednym z nich był fakt częstotliwości powstawania pożarów na wsiach i skuteczności ich gaszenia ze względu na odległości i czas dojazdów. W latach pięćdziesiątych w Gromadzie Gościeradów i w sąsiednich gromadach nie było dróg utwardzonych, a jedynie gruntowe, poza szosą na trasie Kraśnik-Annopol. Była ona wykonana z drobnych tzw. „kocich łbów”. Okoliczne straże nie dysponowały samochodami (poza OSP Gościeradów), lecz tylko wozami konnymi. Zdarzało się, że z powodu słabych dróg nie mogła też dojechać do pożaru nawet straż państwowa z Kraśnika. Były sytuacje, że przybyła na miejsce straż mogła tylko dogaszać pogorzelisko lub zabezpieczać sąsiednie budynki przez rozprzestrzenieniem się ognia.

Innym podwodem powstania koncepcji zorganizowania OSP w Wólce Gościeradowskiej, był fakt, że wieś nie dysponowała żadnym budynkiem publicznym, a nawet salą, w której mogłyby się odbywać zebrania wiejskie, spotkania z przedstawicielami władz i występy zespołów artystycznych. Młodzież wiejska, której było dość dużo (spowodował to wyż demograficzny, który wstąpił po zakończeniu wojny), z zazdrością patrzyła na swoich rówieśników z sąsiednich wsi, którzy uczestniczyli w różnych imprezach kulturalnych organizowanych przez strażaków w remizach.

Zabrania wiejskie w tym czasie odbywały się latem na błoniach od strony wschodniej wsi, a w pozostałych okresach w mieszkaniach prywatnych.

Moi rodzice wielokrotnie użyczali mieszkania na zorganizowanie zebrań, w których uczestniczyło kilkadziesiąt osób. Trwały one po kil-

ka godzin. Mieszkaliśmy wówczas w jednej obszernej izbie (5 osób), w budynku drewnianym, krytym strzechą, który liczył ponad sto lat.

W tej sytuacji kilku aktywnych mieszkańców, mających rozległe kontakty rodzinne i towarzyskie z przedstawicielami sąsiednich wsi (z których wielu należało do straży), doszło do wniosku, że utworzenie we wsi ochotniczej straży pożarnej spowoduje większą skuteczność gaszenia pożarów w najbliższej okolicy. Zwiększy także ochronę przeciwpożarową oraz rozwinie działalność kulturalną. Jednocześnie inicjatorzy powstania straży mieli świadomość, że prace nad utworzeniem jednostki trzeba zaczynać od zera. W latach pięćdziesiątych nie można było liczyć na jakąkolwiek pomoc finansową lub rzeczową ze strony Gromadzkiej i Powiatowej Rady Narodowej, jak również Komendy Powiatowej w Kraśniku. Nie zważając na trudności, mając przekonanie, że to zamierzenie może się udać, na zebraniu wiejskim odbytym w 1956 roku podjęto decyzję o utworzeniu jednostki ochotniczej straży pożarnej w Wólce Gościeradowskiej, do której zapisało się osiemnaście niżej wymienionych osób: Marcin Krasoń, Juliusz Filipczak, Tadeusz Tezz, Bogdan Samojedny, Tadeusz Samojedny, Wiktor Samojedny, Marian Krasoń, Tadeusz Krasoń, Marian Goleń, Eligiusz Goleń, Czesław Gołda, Aleksander Czuliński, Kazimierz Kędra, Henryk Goleń, Adam Goleń, Adam Pęzioł, Władysław Wójcik, Wiktor Dymara.

Walne zabranie straży wybrało zarząd w następującym składzie:

1. Adam Pęzioł – prezes,
2. Tadeusz Krasoń – sekretarz,
3. Władysław Wójcik – skarbnik,
4. Marcin Krasoń – naczelnik,
5. Juliusz Filipczak – zastępca naczelnika.

Po wyborze zarządu niezwłocznie przystąpiono do załatwiania niezbędnych spraw organizacyjnych, by móc podjąć jakąkolwiek działalność. Dużym zaangażowaniem w tworzeniu jednostki OSP wykazał się naczelnik Marcin Krasoń, który wspomagany przez członków zarządu, niestrudzenie załatwiał różne sprawy, które nie cierpiały zwłoki.

W pierwszym okresie po powstaniu straży niezwykle cenną pomoc okazał dyrektor Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Wólce Gościeradowskiej pan Dzianot. Przekazał on nieodpłatnie dla

potrzeb straży pompę obsługiwaną ręcznie, która była dotychczas używana do wyciągania gnojowicy z obór. Pompa ta, po oczyszczeniu i drobnym remoncie wykonanym we własnym zakresie, służyła strażakom przez wiele lat do gaszenia pożarów. Drugim cennym darem dyrektora było przekazanie budynku byłej kuźni o powierzchni około 25 metrów kwadratowych, która służyła gospodarstwu do wykonywania remontów maszyn i sprzętu rolniczego. Długoletnim kowalem w tej kuźni był Stefan Wojdan, który mieszkał obok swoich rodziców. Na tym budynku (którego trzy ściany były drewniane, a jedna murowana ze względu na usytuowane tam palenisko) umieszczona była tabliczka z literami WTD, co świadczyło, że była ona wybudowana z funduszy Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, powstałego w okresie międzywojennym i powiązanym ze spadkiem po hrabim Suchodolskim w Gościeradowie. Ten budynek został przekazany straży na składowanie sprzętu gaśniczego. Najcenniejszym jednak darem była przekazana nieodpłatnie działka o powierzchni 0,5 ha, położona wzdłuż rzeki Tuczyn, odległej od budynku byłej kuźni o około 50 metrów. Nieruchomość ta służyła wcześniej pracownikom PGR-u jako ogródki działkowe, na której głównie uprawiane były warzywa.

Wyposażenie, które straż otrzymała lub zakupiła, stanowiła: pompa ręczna, kilka odcinków węży tłoczących z prądownicą i jeden ssący, drabina, bosak, tłomnica, hydroletka oraz syrena ręczna. Do obsługi pompy potrzeba było po czterech strażaków zmieniających w razie ich zmęczenia, a do rozwinięcia linii gaśniczej dwóch strażaków.

Dla podniesienia gotowości jednostki, doprowadzenia akcji gaśniczej i jej skuteczności były organizowane ćwiczenia prowadzone w własnym zakresie przez naczelnika Marcina Krasonia. Obejmowały one musztrę, rozwinięcie linii gaśniczej i wykonanie piramidy. Cyklicznie odbywały się też szkolenia druhów strażaków prowadzone przez komendę straży państwowej w Kraśniku. Corocznie organizowane były zawody strażackie przy udziale kilku sąsiednich jednostek. Często odbywały się one na zakończenie uroczystości z okazji np. święta ludowego i wzbogacały program tych uroczystości. Zmagania strażaków o uzyskanie dobrych wyników obserwowali mieszkańcy okolicznych wsi, w tym młodzież (uczestniczyłem w takich uroczystościach i zawodach w Księżomierzy). Ochotnicza Straż Pożarna

z Wólki Gościeradowskiej uczestniczyła też w zawodach. W zakresie rozwinięcia akcji gaśniczej na czas była klasyfikowana oddzielnie z uwagi na to, że nie dysponowała motopompą spalinową.

Dla skuteczności gaszenia pożarów bardzo ważny był szybki dojazd i rozwinięcie linii gaśniczej oraz dostęp do wody. W wielu przypadkach było to niemożliwe. W większości jednostki dysponowały jedynie wozami konnymi i dojazd do pożaru po drogach gruntowych, nieutwardzonych, często po opadach deszczu, znacznie się przeciągał. W większości przypadków dużą trudnością w gaszeniu pożarów był brak wody lub jej niedostateczna ilość. W wielu wsiach znajdowały się tylko studnie, w których woda znajdowała się na głębokości kilkunastu lub kilkudziesięciu metrów, np. w Księżomierzy, Aleksandrowie, Ludmiłowce. Nie było mowy o wykorzystaniu jej do celów gaśniczych. Najlepsza sytuacja dla strażaków była wtedy, gdy w pobliżu pożaru przepływała rzeka, znajdowały się stawy lub inne zbiorniki wody.

Dla rozwiązania problemu dostarczenia wody do gaszenia, która znajdowała się w dużej odległości, jedna jednostka straży pobierała wodę motopompą z rzeki lub ze zbiornika i tłoczyła ją na odległość kilkuset metrów do rozłożonego basenu, natomiast druga z tego basenu tłoczyła do gaszenia pożaru oddalonego od dalsze kilkaset metrów. W tym czasie nie było na wsiach wodociągów, dopiero w latach sześćdziesiątych władze państwowe podjęły decyzję o budowie we wsiach, gdzie zachodziła potrzeba, basenów przeciwpożarowych.

Kilka razy, jako młody chłopiec, obserwowałem wyjazd naszych strażaków do pożaru. Wybuch pożaru sygnalizowali mieszkańcy lub funkcjonująca w tym czasie na wsi nocna warta na widok czerwonej łuny w nocy lub chmury dymu w dzień. W tym czasie strażak, który posiadał od garażu klucze, ręczną syreną podawał sygnał druhom strażakom do zbiórki. Jeżeli była to pora dzienna, większość strażaków pracowała w polu. Na głos syreny lub gongu porzucali oni pracę w polu, a końmi lub bydlęciem zajmowali się w tym czasie członkowie rodziny. Do garażu przyjeżdżali też woźnice (m.in. mój wujek Wiktor Długosz), których zadaniem było przewiezienie sprzętu i obsługę pożaru. Zdarzały się przy tym różne nieprzewidziane zdarzenia, np. trudności w sprzężeniu dwóch różnych koni do jednego wozu, zdarzało się też, że konie były zbyt zmęczone do kontynuowania szybkiej

jazdy. Pomimo tego straż starała się dojechać do pożaru nawet oddalonego o kilkanaście kilometrów.

Zdarzył się przypadek, że wybuchł pożar w nocy. Naczelnik Marcin Krasoń wraz z załogą uznali, że to może być niedaleka odległość i postanowili jechać. W tym czasie na głos syreny zjawił się młody mężczyzna (jak się okazało pracownik firmy z Lublina), który zadeklarował się zawieźć strażaków wraz ze sprzętem do pożaru samochodem ciężarowym. Nie zważając na złą drogę, starał się jechać jak najszybciej. Okazało się, że pożar wybuchł w miejscowości Linów za Wisłą. Straż pożarna z Wólki Gościeradowskiej pomimo skromnego wyposażenia, bardzo skutecznie ugasiła pożar.

We wsi było nas kilkunastu chłopców w wieku 16-20 lat. Byliśmy świadkami powstawania straży, odbywanych ćwiczeń i prowadzonych akcji gaśniczych. Naczelnik Marcin Krasoń, chcąc nas wykorzystać do pomocy w wykonywaniu różnych prac, zaproponował nam stworzenie młodzieżowej sekcji straży. Być może przewidywał, że w przyszłości będziemy mogli zasilić stan jednostki. Obiecywał nam, że jak opanujemy podstawowe zasady musztry, rozwinięcia linii gaśniczej, to otrzymamy z PSP w Kraśniku hełmy, pasy i toporki. To nas zachęciło do tego, żeby prawie w każdą niedzielę ćwiczyć musztrę i stawianie tzw. piramidek przy udziale boska i siedmiu osób. Marzeniem naszym było też uczestniczenie w mundurach w warcie honorowej przy grobie Chrystusa i w uroczystościach strażackich. Pomimo upływu czasu obiecanego wyposażenia nie otrzymaliśmy, działalność nasza zanikła, a część kolegów po skończonej szkole rozjechała się po Polsce.

Powszechne było zjawisko dużego zaangażowania strażaków w ratowanie zwierząt gospodarskich i zabudowań. Za udział w akcjach gaśniczych strażacy nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia. Stracony przez nich czas, związany z gaszeniem pożarów, był im odliczany od tak zwanego „szarwarku” tj. prac, do których wykonania zobligowane były wszystkie gospodarstwa. Prace były wykonywane w miejscowościach, np. przy budowie i remoncie dróg, mostów i innych obiektów. Każdy rolnik mógł je wykonywać osobiście lub z użycie woza konnego.

Największym problemem, który stanął przed strażakami zaraz po powstaniu jednostki, była sprawa budowy remizy wraz z garażem na sprzęt. Zarząd OSP i większość strażaków, jak również mieszkańcy

wsie, była za budowę, licząc się z faktem, że nie będzie to takie łatwe. Nie można było bardzo liczyć na pomoc finansową ze strony Gromadzkiej Rady Narodowej, jak również Komendy Powiatowej Straży Pożarnej. Wólka Gościeradowska była wsią małą i biedną. Stąd też niektóre liczące się osoby, nawet ze ścisłego kierownictwa Prezydium GRN, nie wierzyły, że we wsi powstanie remiza. Gotowi byli czynić zakłady.

Niezwłocznie po otrzymaniu działki przystąpiono do załatwiania pozwolenia na budowę. Jednocześnie organizowana była na terenie wsi zbiórka środków pieniężnych i materialnych, głównie drewna. Rolnicy, którzy posiadali własne lasy, w tym mój ojciec Jan Porębski, przekazywali sosny na potrzeby budowy do wykonania więźby dachowej, podłóg, sceny i kulis. Z zebranych pieniędzy, wynajętymi pojazdami, sprowadzono pustaki cementowe z miejscowości Lipa i wapno gaszone z Ożarowa (wówczas woj. kieleckie), które po zlasowaniu, używane było do murowania ścian i wykonania tynków. Kamień do wykonania fundamentów został sprowadzony ze wsi Szczecyn. Ofiarowane przez mieszkańców sosny zostały pocięte na bale i deski w tartaku u pana Chajera w Gościeradowie. Przy wykonywaniu wszystkich prac niefachowych, związanych z gromadzeniem materiałów i wykonaniu ław fundamentowych, pracowała społecznie nieomal cała wieś. Mieszkańcy pracowali również jako pomoc przy murarzach, cieślach i stolarzach oraz wykonywali czynności porządkowe. Prace murarskie i tynkarskie wykonywali Marian i Tadeusz Krasoń. Przy nakładaniu tynków pracował w wolnym czasie, mój kolega szkolny Kazimierz Wąwro, który uczęszczał w tym czasie do szkoły budowlanej w Lublinie. Prace ciesielskie, dekarские i stolarskie wykonywali: Wiktor Samojedny i Mieczysław Zieliński przy pomocy wielu innych mieszkańców.

Budowa i wykończenie budynku trwały kilkanaście miesięcy. W czasie uroczystości otwarcia remizy zorganizowana została loteria fantowa (fanty zabezpieczyli mieszkańcy wsi), były występy zespołów artystycznych (śpiewała Zofia Wronko z Radia Lublin) oraz wystąpienia przedstawicieli władz gromadzkich i powiatowych. Uroczystość zakończyła się zabawą ludową. Środki finansowe na budowę remizy i zakup niezbędnego wyposażenia straż zdobywała z różnych źródeł. Wcześniej, pomimo braku własnej remizy, straż zdecydo-



wała się organizować zabawy taneczne głównie w okresach letnich. W tym celu wynajmowała drewniany budynek mieszkalny opuszczony przez rodzinę Dęgów, którzy po wojnie wyjechali na ziemie północne. Dysponentem całej nieruchomości (dom, obora i działka siedliskowa o powierzchni ok. 1 ha) był Kazimierz Kędra. Budynek składał się z dwóch niedużych pomieszczeń tj. kuchni i pokoju stołowego. W kuchni zorganizowany był bufet, a w pokoju grała orkiestra i bawiła się młodzież. Na zabawy przychodziła nie tylko mieszkańcy, lecz także osoby z Gościeradowa i Liśnika. Wraz z kolegami pomagaliśmy strażakom przy organizacji zabawy. Przynosiliśmy stoły, krzesła i inne potrzebne przedmioty.

Pamiętam, że pod koniec lat pięćdziesiątych budowana była linia energetyczna wysokiego napięcia z Lublina do kopalni fosforytów w Annopolu. Doły na usytuowanie słupów (ok. 3-4 m) były kopane ręcznie. Słupy były stawiane przez 6-8 osób. Wcześniej przewożono je samochodami ciężarowymi, przez pola uprawne, wzdłuż budowanej linii. Tędy też ciągnięte były przewody energetyczne. Z tego tytułu powstawały straty w uprawach rolnych. U mojego ojca na powierzchni ok. 2 arów. Za zniszczenia w uprawach rolnikom przyznano odszkodowania. Najwyższe odszkodowania wynosiły po kilkanaście złotych. Ojcu wyliczono 4 zł 34 gr. Mógł je odebrać we wskazanym miejscu w Lublinie. Ponieważ nikt z mieszkańców nie był zainteresowany odbiorem odszkodowania w Lublinie, Zarząd OSP zaproponował każdemu poszkodowanemu zrzeczenie się należności na rzecz straży oraz potwierdzenie tego podpisem na porządkowej liście. Delegowanym przez straż druhom wypłacono w Lublinie ogółem ponad 1000 zł. Środki te zostały przeznaczone na potrzeby straży.

Innym sposobem na pozyskanie środków na budowę remizy był pomysł zorganizowania teatru amatorskiego i wystawianie sztuk dla społeczności wiejskiej. Sztuki teatralne wystawiane przez teatry amatorskie cieszyły się dużą popularnością. Pomysł zyskał zwolenników i niezwłocznie przystąpiliśmy do jego realizacji. Prezes zarządu OSP Adam Pęzioł (który w tym czasie pracował na stanowisku głównego księgowego w Spółdzielni Oszczędnościowo – Pożyczkowej w Gościeradowie) zaproponował wystawienie sztuki wodewilu pod tytułem „Zaloty na kwaterze”. Sztuka przedstawiająca zabawne sytuacje spowodowane przez żołnierzy, którzy stacjonowali na wsi, bardzo nam

się spodobała. Adam Pęziół był reżyserem i jednocześnie grał rolę kapitana – przełożonego żołnierzy. Występowało kilkunastu aktorów. Ja grałem rolę literata Leona Grafomańskiego, akurat przebywającego na wsi i podziwiającego krajobraz, którego spotykają zabawne niespodzianki. Dekoracje w postaci narożnika budynku, płotu, imitacji drzew wykonał Wiktor Samojedny. Reżyser Pęziół korzystając z posiadanych znajomości w różnych instytucjach w Kraśniku, wypożyczył z Ligi Przyjaciół Żołnierza umundurowanie, hełmy i broń długą dla żołnierzy, a dla kapitana umundurowanie, futerał na pistolet i pas (osobiście odbierałem to wyposażenie z LPZ). Próby odbywały się w sali budynku PGR, której użyczył nam dyrektor. Po upływie około jednego miesiąca prób, pierwszy występ mieliśmy w remizie OSP w Gościeradowie przy pełnej sali publiczności. Zorganizowaliśmy jeszcze trzy przedstawienia w Księżomierzy, Liśniku Dużym i Trzydniku. Najbardziej nieudany był występ w Trzydniku, ponieważ uprzedziło nas kino objazdowe z seansem filmowym. Po obejrzeniu filmu, część publiczności opuściła salę i udała się do domu. Teatr przemieszczał się wozami konnymi (wyposażenie i aktorzy). Wyjazdy były w niedzielę po południu, a powrót w nocy. Po tych występach, u części aktorów wystąpiła niechęć do dalszej pracy i teatr zakończył swoją działalność, chociaż sztuka podobała się publiczności.

Po wybudowaniu remizy i oddaniu jej do użytku, dla zdobywania środków na działalność, straż zaczęła organizować zabawy taneczne. Z frekwencją na tych zabawach było różnie. Najmniej młodzieży było wtedy, gdy w sąsiedniej miejscowości odbywała się zabawa, np. w Liśniku lub Gościeradowie.

Działając w kole Związku Młodzieży Wiejskiej, wynajęliśmy remizę i zorganizowaliśmy zabawę. Dochód z zabawy miał być przeznaczony na zakup adapteru i kompletu płyt. Zabawa się udała, gdyż była dodatkowo przeplatana skeczami, które wprawiały gości w dobry nastrój.

Remiza wykorzystywana była do różnych celów. Oprócz zabaw były występy teatralne (m.in. występował teatr ze szkoły w Liśniku Dużym), zebrania wiejskie oraz przyjęcia weselne. Ponadto jeden raz w tygodniu przyjeżdżał kierownik kina „Partyzant” Jan Koba i operator Marian Ogorzałek, którzy wyświetlali filmy dla mieszkańców wsi i PGR.

Teraz, po upływie ponad pół wieku, nie sposób jest wskazać osoby szczególnie zasłużonej w powstanie i rozwój straży w Wólce Gościeradowskiej. Lista tych osób jest długa i obejmuje wszystkich druhów strażaków i tych czynnie działających na rzecz środowiska, jak również i tych, którzy wspierali ich działalność. Duży wkład pracy w organizację i rozwój straży wnieśli: dyrektor PGR-u pan Dzia-  
not, prezes OSP Adam Pęziół i Wiktor Dymara, który przez kilka lat pełnił funkcję przewodniczącego GRN w Gościeradowie, a od 1976 roku prezesa zarządu OSP. Na uznanie zasługuje też wkład pracy na-  
czelnika Marcina Krasonia, który poświęcił dużo czasu i energii przy tworzeniu jednostki i na przygotowanie strażaków do walki z poża-  
rami. Angażował się także na rzecz kościoła parafialnego w Goście-  
radowie, gdzie był aktywnym członkiem rady parafialnej po moim  
dziadku Janie Długoszu. Na początku lat sześćdziesiątych zamiesz-  
kał we wsi Wólka Gościeradowska Feliks Goleń, który do tej pory  
mieszkał w Liśniku Dużym i należał do tamtejszej jednostki straży.  
Niezwłocznie włączył się do pracy w naszej straży, został gospoda-  
rzem remizy i aktywnie uczestniczył w różnych przedsięwzięciach.  
Słowa uznania i podziękowania należą się też czynnym i aktywnym  
strażakom (w większości już nieżyjącym), którzy dla ratowania mie-  
nia mieszkańców wsi, w czasie pożarów, poświęcali swój cenny czas,  
zdrowie, a nawet życie.

Wkład pracy, który wnieśli nie tylko strażacy, lecz wszyscy miesz-  
kańcy wsi zaowocował powstaniem jednostki OSP i wybudowaniem  
remizy, która od wielu lat służy już następnym pokoleniom. Swoim  
zaangażowaniem dla tworzenia dobra wspólnego dali przykład mło-  
demu pokoleniu, że nawet w trudnych warunkach można osiągnąć  
zamierzony cel. Tylko trzeba w to wierzyć.

*Tadeusz Porębski  
A.D. 2017*

## Święta Bożego Narodzenia obchodzone w mojej rodzinie

**K**IEDY SIADAMY DO KOLACJI WIGILIJNYCH Z MĘŻEM, z trzema zamężnymi córkami i ośmiorgiem wnuków, to w myślach wspominam święta, które przeżywałam będąc dzieckiem. Od tego czasu upłynęło już około 60 lat. Wydaje mi się, że pomimo przygotowania skromnego jedzenia, urządzania choinki i mieszkania, okres świąt dla całej rodziny był bardzo radosny. Dotyczy to również wszystkich mieszkańców naszej wsi Wólki Gościeradowskiej. Moja rodzina liczyła 5 osób. Składała się z: matki, ojca i brata mamy, mnie i mojego o 5 lat starszego brata. Mieszkaliśmy wówczas w jednej dużej izbie, w budynku mieszkalnym, który liczył około 100 lat. W pomieszczeniach były dwa małe okna, a obok budynku rosły dwa duże drzewa liściaste, co powodowało, że nawet w dni słoneczne wewnątrz panował półmrok. Wioska nie była zelektryfikowana. Do oświetlenia pomieszczeń służyły lampy naftowe, a przy wykonywaniu prac w budynkach gospodarczych latarki naftowe. W naftę rodzice zaopatrywali się w sklepie z artykułami spożywczymi i przemysłowymi. W każdej większej wsi były takie sklepy. Ekspedienci nalewali ją klientom z beczek metalowych do butelek szklanych o pojemności jednego litra. Zapas nafty w ilości trzech litrów wystarczał na około 1 miesiąca świecenia. Prasowanie tkanin odbywało się przy pomocy żelazek, w których umieszczone były rozżarzone węgle drzewne. Mieszkańcy wsi podczas dłuższych wieczorów jesienno-zimowych spotykali się z sąsiadami, rozmawiali, czytali książki i gazety. Podobnie czas spędzała młodzież. Niektórzy lubili słuchać opowiadań starszych ludzi o przeżyciach z okresu okupacji. Dużym powodzeniem cieszyło się opowiadanie bajek, których bohaterami byli dobrzy i źli ludzie, diabły i inne straszidła.

Przygotowania do świąt zaczynały się już z początkiem miesiąca grudnia. Najważniejszym zadaniem było zaopatrzenie się w produkty roślinne, które były używane do przygotowania potraw na stół wigilijny, a więc mąki, kaszy, oleju rzepakowego i innych. A żeby te produkty pozyskać, ojciec zawoził pszenicę do młyna i przerabiał na mąkę. Młyn znajdował się w pobliżu zabudowań rodziców. Z prosa i gryki wyrabiano kasze, które były używane do pieczenia ciast, tzw. pierogów. Do ich pieczenia używane były oprócz mąki i kaszy, ser

(twaróg), jajka, cukier, cynamon i inne dodatki. Produktem ubocznym z mielenia pszenicy były tzw. otręby używane do przygotowania paszy dla świń. Kasiarnia znajdowała się w Kolonii Liśnik Duży. Olej rzepakowy był tłoczony w olejarni w Gościeradowie Plebańskim. Ojciec zawoził do olejarni kilkadziesiąt kilogramów rzepaku, który był najpierw ogrzewany do odpowiedniej temperatury w bębnie obrotowym, a następnie umieszczony w prasie. Prasa była obsługiwana przez 2–4 mężczyzn, którzy obracali mechanizm dociskowy wskutek czego z rzepaku uzyskiwany był olej, a produktem ubocznym był tzw. makuch w kształcie prostopadłościanu. Z dostarczonego rzepaku ojciec otrzymywał kilka butelek oleju. Mniejsza część tego oleju była używana na potrzeby własne, a pozostałą ilość sprzedawano głównie na targu w Kraśniku lub Annopolu. Olej rzepakowy był wspaniały. Jego zapach, kolor i smak pamiętam do dzisiaj. Do jedzenia był wykorzystywany w różnorodnych formach. Najczęściej wlewaliśmy go na spodek, przyrządzaliśmy z cebulą na surowo lub z cebulą smażoną, a następnie maczaliśmy w nim chleb. Ponadto do kolacji wigilijnej był wykorzystywany do kapuśniaku postnego i do omasty ziemniaków gotowanych w „mundurkach”.

Na co najmniej tydzień przed świętami była przynoszona z lasu przed wsią Księżomierz choinka. Musiała być zgrabna i posiadać odpowiednią ilość gałązek. Do wyszukania ładnego drzewka, tata z bratem potrzebował zazwyczaj pół dnia. Gdy drzewku brakowało kilku gałązek, te miejsca były uzupełniane poprzez montowanie dodatkowych. Na kilka dni przed świętami odbywało się tzw. „świniobicie”, to jest zabijanie tucznika z przeznaczeniem do spożycia w czasie i po świętach. Gdy mój tata posiadał takiego tucznika, to namawiał 2–3 sąsiadów do podziału. Jeżeli nie udało mu się wyhodować, to kontaktował się z innymi, mającymi do zbycia ćwiartkę tucznika. W naszym domu, z powodu stosunkowo niedużej ilości mięsa, „z przodka” wyrabiana była kiełbasa, kaszanka i boczek, a czasem też galareta. Kości po obróbce używane były do przygotowania zup. Wyroby sporządzone przez rodziców były bardzo smaczne i obok ciasta najczęściej jedzone przez nas dzieci. Przed Wigilią matka robiła porządki, organizowała pranie, a tata przygotowywał suche drewno do palenia w piecu do pieczenia chleba i ciasta. Chleb był u nas wypiekany jeden raz w tygodniu w ilości 5 brytfanek jednorazowo.

Dzień przed Wigilią były pieczone ciasta drożdżowe oraz sernik, makowiec i szarlotka oraz ciastka. Wraz z bratem pomagaliśmy mamie w przygotowywaniu ciast do pieczenia. Pracy w tym dniu i w Wigilię było bardzo dużo. Przy czynnościach prasowania pomagał brat, ponieważ prasowanie żelazkiem na węgle wymagało wielu umiejętności. Samo żelazko było odlane z żeliwa i nie posiadało żadnych powłok zabezpieczających – estetycznych. Przed prasowaniem pierwszą i najważniejszą czynnością było oczyszczenie go z korozji i innych zanieczyszczeń. Niewykonanie tych czynności przed prasowaniem powodowało powstawanie na tkaninie ciemnych smug. Szczególnie było to widoczne na materiałach jasnych, w tym białych koszulach. Żelazko posiadało w tylnej części otwór, tzw. duszę, przez którą dopływało powietrze. To ona utrzymywała znajdujące się wewnątrz żelazka węgle w odpowiedniej temperaturze. Następną czynnością przed samym prasowaniem było włożenie rozżarzonych węgli (najlepiej grubszych) do pojemnika żelazka i odczekanie na moment rozgrzania się żelazka. Sprawdzanie temperatury żelazka odbywało się poprzez dotknięcie jego stopki palcem zwilżonym śliną. Żelazkiem załadowanym węglami można było prasować przez okres 20 – 30 min. Węgle w żelazku powoli spalały się i trzeba było od czasu do czasu dmuchać przez otwór, ażeby nie przygasły. Jeżeli to już nastąpiło, dalsze prasowanie zależało od tego, czy posiadało się następne węgle, wygarnięte z pieca chlebowego przed wypiekiem ciast, kaszanki albo mięsa. Podczas prasowania trzeba było bardzo uważać, żeby tkanina nie została zabrudzona, bo przez otwór z żelazka często wysypał się popiół ze spalonych węgli. Osoby, które często zajmowały się prasowaniem, posiadały już doświadczenie i udawało się im wykonać prasowanie bez zabrudzeń. Przy prasowaniu np. koszul zaczynało się od tylnej części koszuli następnie do przedniej i rękawów. Kołnierzyk był prasowany na końcu z tego względu, że żelazko było już w trakcie prasowania oczyszczone i odpowiednio nagrzane.

W Wigilię od samego rana, mama przygotowywała produkty do uroczystej kolacji. W dużych rodzinach wielopokoleniowych przygotowywanych było 12 potraw, min.: kapuśniak z grzybami i ziemniakami zasmażanymi na oleju, pierogi z kapusty i z grzybami, kapusta zasmażana olejem, groch (fasola) z suszonymi owocami ugotowany

mi z wodą, kluski z makiem, ucierane wałkiem w donicy oraz racuszki (placki smażone na oleju), były też śledzie. Racuszki mama zaczynała smażyć od godzin popołudniowych. Ponieważ nam z bratem najbardziej smakowały racuszki, to podbieraliśmy dyskretnie dla zaspokojenia głodu. Tego dnia obowiązywał post ścisły i dopiero kolację jedzono wieczorem.

Od godzin popołudniowych przygotowywana do ubierania była choinka. Dla bezpieczeństwa mocowana była gwoździami do podłogi i sufitu. Uzupełniano jej brakujące gałązki. Ozdób choinkowych było stosunkowo dużo. Oprócz bombek (kupowanych w różnych okresach, może nawet i przed lub zaraz po wojnie) były aniołki, mikołaje, lalki, piłki kolczate oraz łańcuchy z bibuły o różnych kształtach. Anioły i aniołki, mikołaje i lalki były w części wykonane własnoręcznie z tego materiału. Głowy, ręce i nogi kupowane były w sklepie. Dorabiano skrzydła, sukienki i inne części garderoby. Ozdoby były umiejętnie wieszane na choince, uwzględniając: kolory, wielkości, rodzaj ozdób itp. Na choince wieszano też jabłka i cukierki. Ostatnią czynnością było umieszczenie łańcucha, włosów anielskich i świeczek woskowych. Świeczki były zapalane na krótki okres, ponieważ szybko się wypalały. Kiedy były zapalone, trzeba było uważać, ażeby nie zapaliła się choinka, bowiem zdarzały się na wsiach takie przypadki. Zapalone na choince świece, przy oświetleniu lampy naftowej sprawiały niesamowity i tajemniczy widok. Do tego roztaczał się piękny zapach igliwia choinki zmieszanego się z zapachem topionego wosku ze świeczek.

Stół, na którym spożywano kolację, nakrywano białym obrusem. Pośrodku stołu umieszczone było siano owinięte w płótno. Na nim kładziono chleb, a na chlebie opłatek. Do kolacji zasiadali umyci i ubrani odświętnie domownicy. Mieszkanie było posprzątane, ażeby nie trzeba było tego robić po kolacji. Ponieważ w Boże Narodzenie wykonywane były tylko niezbędne prace, do domu przynoszono zapas wody i drewna do palenia w piecu. Dla zwierząt był przygotowany odpowiedni zapas paszy do podawania w określonych porach dnia. Pierwszą czynnością rozpoczynającą kolację było połamanie się opłatkiem. Zaczynał zawsze ojciec wymawiając słowa: „Na szczęście, na zdrowie...”. Po tym łamali się opłatkiem pozostali domownicy i składali sobie nawzajem życzenia.

W naszej pięcioosobowej rodzinie nie było przygotowywanych 12 potraw lecz mniej. Dla nas dzieci, jak już wspomniałam, największą atrakcją były racuszki smażone na oleju rzepakowym. Apetyt dopisywał też na inne potrawy, np. kapuśniak z ziemniakami gotowanymi w mundurkach zaprawianymi olejem. Tego dnia bowiem obowiązywał post ścisły. Pościli dorośli i nawet dzieci. Po kolacji wspominaliśmy wcześniejszą Wigilię. Mama opowiadała, że jak żył jej tata, a nasz dziadek Jan Długosz, i kilka lat po jego śmierci, Wigilia odbywała się aż w 4 miejscach. W jednym roku zaczynała się w naszym domu, do którego przychodziły rodziny syna Wiktora i dwóch jego córek, w sumie około 20 osób. Po poczęstunku obecni przechodzili na kolacje do domu syna, a następnie do domów jego córek. Wieczera kończyła się w czwartym domu. W następnym roku kolacja była organizowana u rodziny syna. Następnie obecni przechodzili do następnych trzech rodzin. Tak w Wigilię, jak i w Boże Narodzenie nie można było wychodzić z domu, nawet do znajomych. Po przeżyciu radości związanych z choinką i jedzeniem zaczynaliśmy się nudzić. Sytuacja się zmieniła na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. W naszej wsi w każdym domu zostały zainstalowane głośniki, które transmitowały pierwszy program Polskiego Radia, poprzez urządzenie zainstalowane w urzędzie pocztowym i linię napowietrzną. Dla nas, dzieci, a nawet dla dorosłych była to ogromna radość. W naszej wsi z powodu braku elektryczności nie było odbiorników radiowych lampowych. W Wigilię i w pierwszym dniu świąt zespół Mazowsze śpiewał kolędy. Było też wiele innych atrakcyjnych audycji w ciągu roku, min. oprócz wiadomości, powieść „Matysiakowie” oraz koncerty kapeli „Dzierżakowskiego”, które cieszyły się największą popularnością. W Boże Narodzenie rodzice i mój brat chodzili do kościoła na uroczystą mszę. W tym dniu, jak też w Wielką Niedzielę, kościół w Gościeradowie był pełen wiernych. Dla uświetnienia uroczystości organista Czesław Jackowski angażował na chórze orkiestrę dętą, która grała kolędy. W drugi dzień świąt tata podawał zwierzętom (krowom, koniom) opłatek z chlebem tzw. bydłęcym. Miało to powodować szczęście w prowadzeniu hodowli. Po upływie kilku dni był Nowy Rok. Pamiętam tradycję związaną z tym dniem, a mianowicie poranne mycie, które odbywało się z monetami zanurzonymi w wodzie. Miało to przysporzyć pieniędzy i dorobku w ciągu roku. Zbli-



żała się uroczystość Trzech Króli, a nas ogarniał smutek, że po tym dniu zostanie rozebrana choinka. A tak się do niej przyzwyczailiśmy. Miała miły tajemniczy wygląd. Przed lub po Nowym Roku kończyły się wędliny i ciasta przygotowane na święta. Na święto Trzech Króli na wsi były pieczone szczodroki, tj. obwarzanki. Z tym się wiązała tradycja chodzenia po wsi. Młodzież po wyrecytowaniu kilku zwrotek przygotowanego wiersza otrzymywała od gospodyń wymienione ciasta. W pierwszym dniu po święcie Trzech Króli, przed południem, była rozbierana choinka. Bombki i inne ozdoby były pakowane do pudełek i całość w specjalnym worku wynoszona była na strych, gdzie czekały do następnych świąt. Żał nam było choinki do tego stopnia, że brat odcinał wierzchołek świerka, który ubieraliśmy wycinanymi z papieru (najczęściej z gazet) ozdobami. Po kilku dniach i ta choinka była wyrzucana z mieszkania.

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku w okresie Świąt Bożego Narodzenia tradycją stało się chodzenie kolędników po wsiach. Ja tamtych kolędników nie pamiętam, ale mój brat w tym czasie był małym chłopcem i występ oglądał w naszym mieszkaniu. W naszej wsi starsza młodzież i kilku mężczyzn zorganizowało grupę kolędników liczącą kilkanaście osób. W zespole tym był min. król Herod, jego syn, dwóch żołnierzy, marszałek, śmierć, diabeł, Żyd i aniołek oraz muzykant grający na akordeonie. Najzabawniejszymi postaciami była śmierć i diabeł, które podczas przemieszczania się do następnych zabudowań straszyły dzieci i młode kobiety. Na uwagę zasługiwały stroje kolędników – profesjonalnie i artystycznie wykonane, pomimo, że w okresie powojennym w sklepach były braki wielu potrzebnych artykułów, w tym dekoracyjnych. Zespół kolędników występował przez kilka okresów świątecznych nie tylko w naszej wsi, lecz także w kilku bliższych i dalszych miejscowościach. Występy kolędników cieszyły się popularnością, o czym świadczy fakt, że byli chętnie zapraszani przez mieszkańców wsi.

Świąta Bożego Narodzenia przeżywane w dzieciństwie wspominam z rozczuleniem. Pomimo trudnych warunków materialnych i mieszkaniowych były one wesołe i przez nas wyczekiwanie. Nasze dzieci cechowała silna wiara w ich magiczną moc. Kiedy rano wstałam i zobaczyłam, że w koszyku, który trzymał Święty Mikołaj znajduje się cukierek, to wierzyłam że to od niego. Nie odczuwaliśmy

niedogodności spowodowanych np. warunkami atmosferycznymi, kiedy był śnieg z mrozem nawet do kilkudziesięciu stopni. Nam nie dokuczało zimno. Kiedy patrzę na moje wnuki, które Święta Bożego Narodzenia przeżywają tak jak każdy inny dzień świąteczny, to mi ich żal, że nie mogą przeżywać radośnie, tak jak ja. Może dlatego, że ich potrzeby życiowe są w pełni zabezpieczone a i otoczenie przeżywa święta inaczej niż ponad 50 lat temu. Porównując te dwa okresy, tj. moje dzieciństwo i teraźniejszość, dostrzegam pozytywne i negatywne zjawiska w życiu dzieci.

*Danuta Olech*  
*A.D. 2017*

## Miłość nie wybiera

**C**ZĘSTO MOŻE WYDAĆ SIĘ, że po naszych przodkach nie został żaden ślad. Że nic nie wiemy o tym, czy byli szczęśliwi, a ich życie przypominało takie wymarzone, jak z bajki, czy może jednak było usłane problemami, z którymi nieraz ciężko było sobie poradzić. Czasem zastanawiałam się nad tym, dlaczego moi pradziadowie nie zostawili po sobie żadnych wspomnień. Było to dla mnie niezrozumiałe i bardzo nad tym ubolewałam, bo marzyłam, by poznać ich historię. Wkrótce jednak zmieniłam zdanie na ten temat, a był to dokładnie moment, w którym znalazłam dziennik mojej praprababci Marysi, zatytułowany słowami: „To właśnie tu się wydarzyło”.

Pierwszym moim odczuciem po znalezieniu dziennika była radość. Dziwny przypływ szczęścia z faktu, że znalazłam coś, o czym tak długo myślałam, o pamiętce po zmarłej babci. Później zaś, ogarnęło mnie przerażenie. Bałam się, że znajdę wiadomości, które mogą zmienić mój światopogląd. W końcu będzie to dla mnie podróż do przeszłości. Wahałam się przez chwilę, co zrobić, ale jednak ciekawość wzięła górę nad strachem. Otworzyłam pierwszą stronę. Dużymi literami napisane było: „Moją historię zrozumie tylko ten, kto czysto patrzy na świat”. Zastanawiałam się przez chwilę, co moja babcia miała na myśli pisząc te słowa i czy ja sama czysto patrzę na świat? Mam w końcu tylko piętnaście lat i sama jeszcze nie jestem przekonana do mojego światopoglądu.

Mimo to nie chciałam zatrzymać się na tych słowach, więc otworzyłam kolejną stronę. Zanim jeszcze przeszłam do treści, zauważyłam, że kobieta miała bardzo ładne pismo. Moją uwagę przykuł sposób, w jaki wykonywała „ogonki” przy literach jakich jak: j, g, y. Szybko spostrzegłam, że ja robię bardzo podobne. W tej samej chwili pomyślałam, że jednak coś nas łączy. Zaczęłam przeglądać wzrokiem tekst. Na kolejnej stronie widniały słowa: „Tęsknota jest najlepszym dowodem miłości”. Kolejna rzecz, która wprawiła mnie w zakłopotanie. Nie miałam jeszcze wtedy pojęcia, co mogą oznaczać te słowa. Przekartkowałam kilka kolejnych stron, a czytając je zauważyłam, że moja babcia mieszkała tylko ze swoim małym synkiem. Jasne wtedy stało się dla mnie, że słowa, o których wcześniej wspomniałam, mogą odnosić się do jej męża, który brał udział w wojnie o Polskę. Był już

wieczór, odłożyłam dziennik w bezpieczne miejsce, by go nie zgubić i poszłam zająć się zadaniami, które jeszcze miałam do wykonania tamtego dnia. Przez cały czas myślałam o tym, jak musiała się czuć moja praprababcia z myślą, że gdzieś tam, daleko jej mąż walczy za Ojczyznę, a ona będąc w swoim małym domu, nie może mu w żaden sposób pomóc, ani wesprzeć go. Pomyślałam sobie, jak bardzo musiała czuć się wtedy bezsilna, ale cóż, takie jest życie i nikt z nas nie może nic na to poradzić.

Następnego dnia, gdy wróciłam ze szkoły, znów udałam się po dziennik i otworzyłam stronę opowiadającą o dalszych losach mojej babci. „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą [\*]”. Tak brzmiał kolejny wpis. W moich oczach pojawiły się łzy. To takie smutne stracić bliską osobę, bez możliwości pożegnania się z nią. Przez chwilę rozważałam to, jakbym się czuła, gdybym ja straciła miłość swojego życia. Załamałabym się. Miałam nadzieję, że moja babcia była silną kobietą i potrafiła żyć dalej. Wiedziałam, że wszystko się wyjaśni, gdy odczytam kolejne kartki z dziennika.

Na następnych stronach babcia opisywała życie po śmierci jej męża. Nie było ono łatwe. Codziennie wieczorem płakała, zapisując swe przeżycia w dzienniku. Wiedziała, że musi być dzielna, bo ma dla kogo. Musi żyć dla swojego małego synka, którego kochała nad życie. Gdy otworzyłam następną stronę, zauważyłam, że nie ma na niej za dużo tekstu. Babcia napisała tylko, że na chwilę obecną, kończy z pisanem dziennika, bo chce skupić się na poprawie swojego bytu, a prowadząc swoje zapiski, ciągle wraca wspomnieniami do tego strasznego okresu w jej życiu.

Przez kilka kolejnych dni nie zagłębiałam do notatek babci. Chciałam trochę odpocząć i przemyśleć sobie wszystko. W życiu mojej przodkini zakończył się pewien etap. Może i czas, bym ja zmieniła coś w swoim? Za kilka dni, znów wróciłam do czytania. Liczyłam na to, że dla mojej babci wszystko dobrze się potoczyło i gdy znów zaczęła pisać, była szczęśliwa. Nie myliłam się...

W jej historii zaszły duże zmiany – poznała kogoś. W pierwszych wpisach o tym mężczyźnie, nie wyglądało to tak, jakby miała się ponownie zakochać. Wręcz przeciwnie, babcia była zła i poirytowana tym, że musiała przyjąć do domu obcego człowieka. Wydano nakaz rządowy, w którym każda gospodyni miała obowiązek

przyjęcia pod swój dach żołnierzy potrzebujących schronienia. Takim właśnie był pan Stanisław. Początkowo ich relacje nie były dobre, w domu odzywali się do siebie tylko, gdy zaszła taka potrzeba. W dzienniku było bardzo dużo wpisów dotyczących pana Stanisława, a mnie dziwiło to, że jak na osobę, za którą babcia nie przepadała, pisała o nim: „Sprawiał tylko problemy swoimi zaczepkami”. Pomyślałam sobie wtedy, że ich relacja musiała funkcjonować na zasadzie: „Kto się czubi, ten się lubi”. Gdy byłam mała i skarżyłam się mojej mamie, że ktoś mi dokucza, bardzo często odpowiadała mi tymi słowami. Chwilę później uświadomiłam sobie, że całe piątkowe popołudnie spędziłam na czytaniu zapisków babci. Zamknęłam dziennik i poszłam na wieczorny spacer z przyjaciółką, w głowie ciągle mając pytanie, jak potoczyły się dalsze losy babci Marysi i pana Stanisława?

W weekend miałam dużo wolnego czasu, więc w spokoju mogłam przejrzeć kolejne zapiski z dziennika. Przeczytałam o tym, jak rozwijały się relacje babci z pieszczotliwie nazwanym przez nią „Stasiem”. W końcu sama przyznała, że jest nim zauroczona. To takie piękne, mimo tylu problemów, ponownie się zakochać. Narastały też, niestety, problemy z jej synem, który wkraczał w okres buntu. Uciekał z domu, często z jego ust padały słowa, jak bardzo jej nienawidzi i że swoją nową miłością zniszczyła mu życie. Cóż mogła począć, w końcu jak mówi przysłowie: „Miłość nie wybiera”. Prababcia Marysia często wspominała w dzienniku słowa, które powiedziała do niej kiedyś jej babcia: „Nie ma pośpiechu, jeśli coś jest nam przeznaczone, wydarzy się we właściwym miejscu i we właściwym czasie”. Tak właśnie było w jej przypadku. Miłość do pana Stanisława była jej przeznaczona, miłość na liśnickiej ziemi. Miłość w czasie okrutnej wojny. Miłość, jakiej pragnęło wielu: prawdziwa i niespotykana. W niedługim czasie okazało się, że owocem tej miłości będzie dziecko. Na świat przyszła mała córeczka, którą nazwali Leokadia. Leokadia była moją prababcią. Po jej narodzinach syn babci Marysi odwrócił się od matki całkowicie. Wyjechał do odległego o 500 km miasta. Zauważyłam, że pisząc o tym, mojej babci łzy spływały po policzkach, gdyż na kartce papieru zostały po nich suche ślady. Mimo tego, że miała oparcie w swojej miłości, czuła się winna temu co się stało. Reszta rodziny odwróciła się od niej. Najbliżsi zerwali z nią kontakt. Trwało to kilka

lat, aż do śmierci Stanisława. Babcia znowu kogoś straciła. Została tylko z trzynastoletnią córką. Sama była już niezdolna do pracy, a na utrzymanie dostawała tylko drobną sumę pieniędzy, które otrzymywała jej córka po zmarłym ojcu. Moja prababcia pomagała jej, jak tylko umiała. Musiała godzić obowiązki domowe z nauką. Babcia Maria często wspominała w swoich zapiskach, jak bardzo jest dumna ze swej córki, ale też jak bardzo tęskni za synem, który się jej wyrzekł. Dobrze wiedziała, że gdyby tylko wrócił, przyjęłaby go z otwartymi ramionami.

Syn wrócił po skończonych studiach. Może zatęsknił, a być może nie miał się gdzie podziąć. Wrócił, ale nie sam. Razem z nim wprowadziła się dziewczyna, wydawać by się mogło, sympatyczna, młoda kobieta. Takie przynajmniej sprawiała wrażenie na mojej praprababci oraz prababci, która sama była już w szczęśliwym związku z młodym, bogatym mężczyzną z tej samej wsi i planowała ślub. Po przeprowadzce córki, życie mojej babci przemieniło się w prawdziwy koszmar... Tyle udało mi się przeczytać przez dwa dni. W tygodniu szkolnym, znów nie miałam czasu, by zajrzeć do notatek. Zostało ich już niewiele, więc postanowiłam, że nadrobię wszystko w weekend.

Ostatnio skończyłam czytać na tym, że życie kobiety zamieniło się w prawdziwy koszmar. Wtedy jeszcze nie wiedziałam dlaczego. Od początku dało się zauważyć, że dotychczas ładne i staranne pismo mojej babci, zmieniło się w bardzo niestaranne. Reszta notatek chyba wyjaśniła tę sytuację... Okazało się, że kochany do tej pory syn pierworodny, wraz ze swą żoną, wyrzucili kobietę w podeszłym wieku z domu. Do mieszkania została jej tylko stara szopa, stojąca naprzeciw posesji. Nie miała tam dobrych warunków, było bardzo zimno, bez dostępu do wody. Moja prababcia codziennie przynosiła swojej matce tyle, ile mogła. Musiała to robić po kryjomu, bo jeśli dowiedziałaby się o tym jej przyrodni brat, sama mogłaby mieć spore kłopoty. Złe warunki sprawiły, że babcia ciężko zachorowała i zakończyła pisanie swojego dziennika. Niedługo potem umarła.

Po przeczytaniu tego wszystkiego nie mogłam się otrząsnąć. To straszne, ile można dać komuś serca, a ile się za to otrzyma wdzięczności. Straszne, ale niestety prawdziwe. Takie jest życie. Ludzie potrafią być bez serca, a inni mają go aż nadto. Historia ta, może nie do końca szczęśliwa, opowiada o losach mojej praprababci. O losach,

które tu właśnie się wydarzyły. Tu, w naszej wsi moi przodkowie przeżywali chwile szczęśliwe i te, których nikt nie chciałby doświadczyć. Była prawdziwa miłość, ale też rozczarowania. Była pomoc i odrzucenie. Było wszystko, ale czy tak na prawdę ktoś o tym pamięta? Życie każdego człowieka jest inne. Każdy ma inne aspiracje i cele. Żyjemy razem, w naszej małej ojczyźnie, tej właśnie, w której wszystko się wydarzyło i dalej będzie się przydarzać, bo każdy człowiek pisze inną historię.

*Julia Gac  
A.D. 2018*

## Konkurs

**D**EWNEGO DNIA MOJA NAUCZYCIELKA od języka polskiego powie-  
działa mi, że jest organizowany konkurs pt. „To właśnie tu się  
wydarzyło” i zachęca nas do napisania prac. Bardzo się ucieszyłam na  
tę wiadomość, ponieważ już rok temu brałam w nim udział i zajęłam  
trzecie miejsce. Pani kazała napisać prace jak najszybciej. Byłam bar-  
dzo zaskoczona, że na oddanie pracy konkursowej mam tylko dwa  
dni. Od razu zaczęłam szukać tematu, którym mogę się zająć. Myśla-  
łam, myślałam i nic – czarna dziura w głowie. Byłam bardzo zmęczo-  
na po całym dniu, więc położyłam się spać.

We śnie przyszła do mnie pani Janina Wierzchowska. Byłam  
bardzo zaskoczona jej widokiem. Nie wiedziałam, co zrobić. Janina  
Wierzchowska była opanowana i patrzyła na mnie spokojnym wzro-  
kiem. Po chwili przestałam się jej bać i zaczęłam rozmowę.

– Dlaczego pani do mnie przyszła? – zapytałam.

– Spróbuję ci pomóc w napisaniu twojej pracy na konkurs – od-  
powiedziała.

– Jak pani chce to zrobić? – z wielkim niedowierzaniem kontynu-  
owałam rozmowę.

– Opowiem ci trochę o moim życiu – odpowiedziała rozmówczyni.

Ja, nie zastanawiając się dłużej, zaczęłam uważnie i z zaciekawie-  
niem jej słuchać.

– Urodziłam się w Warszawie 1883 roku i mieszkałam tam do mo-  
mentu, w którym skończyłam szkołę. Nie miałam łatwego życia. Moi  
rodzice wcześniej umarli. Wychowywała mnie ciotka. Po ukończeniu  
pensji w 1898 roku, zaczęłam pracę nauczycielki. Na początku praco-  
wałam przez pięć lat na Podhalu. Przygotowywałam dwie dziewczyn-  
ki do szkoły prowadzonej przez Zgromadzenie Sióstr Niepokalanek  
w Nowym Sączu: jedną do trzeciej, drugą do czwartej klasy. Gdy  
w 1907 roku moje uczennice wstąpiły do szkoły, przyjechałam do cio-  
ci. W tym samym czasie wyszłam za mąż. Ze względu na problemy  
materialne, musiałam kontynuować pracę nauczycielki w szkole lu-  
dowej. Nie było to proste, ponieważ musiałam ukończyć seminarium  
i zdać rządowy egzamin. W Piotrkowie w 1908 roku zdałam egzamin  
rządowy. W tym samym roku otrzymałam pracę w szkole w Przy-  
tocznie na Ziemi Siedleckiej. W 1914 roku wzięłam udział w sześcio-



tygodniowym kursie metodyczno-pedagogicznym. Dzięki niemu zyskałam większe doświadczenie. Po ukończeniu kursu, wróciłam na poprzednią posadę. Wszystko wskazywało, że w moim życiu będzie wszystko dobrze. Aż do dnia 29 czerwca 1915 roku, w którym to cały mój majątek został spalony przez Rosjan. Zostałam z rodziną bez dachu nad głową. Okazja poprawienia warunków mojego życia nadarzyła się późną jesienią 1915 roku.

3 listopada 1915 roku objęłam posadę nauczycielki w Liśniku Dużym. Po trzech latach pracy zostałam kierowniczką 2-klasowej szkoły w tej miejscowości.

Podczas swojej pracy w Liśniku pomagałam mieszkańcom na różne sposoby. Dzięki znajomości języka rosyjskiego i niemieckiego, pisałam listy do dowódców wojskowych państw zaborczych, aby pewne osoby uwolnić z obozów bądź zapobiec zesłaniu. Prowadziłam tajne nauczanie. Pomimo zakazu państw zaborczych uczyłam dzieci kultury i języka polskiego. Narażałam swoje życie, ale najważniejsze było dla mnie to, żeby nasza ojczyzna nie zginęła.

Uczyłam dzieci i dorosłych, jak dbać o higienę oraz wpajałam najważniejsze wartości takie jak Bóg, honor, ojczyzna. Najważniejsze było dla mnie bezpieczeństwo dzieci. Dużą wagę przywiązywałam do polskich pisarzy. Najbardziej kochałam wiersze Adama Asnyka i Kazimierza Przerwy-Tetmajera.

Brałam również czynny udział w życiu codziennym mieszkańców. Organizowałam wiele przedsięwzięć. Byłam bardzo lubiana i szanowana. Moja kariera nauczycielki w Liśniku Dużym dobrze się układa. Niestety przerwała ją choroba, która wywołana była przeżyciami związanymi z ciężkimi warunkami pracy nauczycielskiej. Musiałam przerwać czynną pracę zawodową. Zmarłam w 1962 roku.

Jejku! Nie wierzę! Mam pomysł! – powiedziałam rozemocjonowanym głosem.

Wzięłam kartkę i zaczęłam pisać pracę o pani Janinie Wierzchowskiej.

Po zakończeniu mojego tekstu, Janina Wierzchowska pożegnała się ze mną i odeszła. Byłam jej bardzo wdzięczna za to, że mi pomogła. Cieszyłam się, ale po chwili posmutniałam, bo jak mogłam nie mieć pomysłu na pracę, przecież życie naszej patronki jest najlepszą historią, którą należy rozsławiać.

– Dlaczego na to sama nie wpadłam? – pytałam samą siebie.

Po długich rozmyślaniach zasnęłam. A kiedy rano zadzwonił budzik, na szafce nocnej przy łóżku zobaczyłam gotową pracę konkursową. Zatem co było jawą, a co snem?

*Barbara Pyra*

*A.D. 2018*

## Rodzinna fotografia

**B**ARDZO LUBIĘ OGLĄDAĆ ZDJĘCIA, bo przypominam sobie różne miejsca, w których byłem oraz historie z nimi związane. Często oglądam fotografie z kimś z mojej rodziny, a wtedy słucham opowieści dotyczących zdjęć. Niedawno znowu przeglądałem rodzinny album. Znalazłem w nim zdjęcie, na którym był mój tata. Prawie go nie poznałem, bo był wtedy dziewiętnastoletnim chłopcem.

Zdjęcie przedstawia tatę, który trzyma białą świecę. Stoi za cicią i wujkiem, którzy trzymają w strojnym białym becie małe dziecko. Za nimi zobaczyłem coś dziwnego. Nie wiedziałem, co to jest, więc poszedłem do babci. Na moją prośbę babcia Lucyna opowiedziała mi historię tego zdjęcia.

Wykonano je w dniu 12.05.1996 r. na uroczystości chrztu świętego mojego kuzyna Kamila pod kościołem w Księżomierzy, a raczej pod jego zgłiszczami. Bo to, co zobaczyłem za postaciami stojącymi z dzieckiem, to właśnie zgłiszcza starego kościoła.

W sobotę 4 maja po południu babcia była na miejscowym cmentarzu, aby uporządkować grób swojej mamy. Kiedy wracała do domu, przystanęła przed wejściem do kościoła. Widziała, że jest on pięknie



wysprzątany. Drewniane dębowe podłogi były świeżo umyte, deski były jeszcze mokre. Kościół był otwarty, bo odbywały się tam nabożeństwa majowe. Babcia widziała oświetlony ołtarz i obraz Matki Bożej. Z daleka lśniła Jej pozłacana szata. Babcia pomodliła się chwilę i wróciła do domu. Jak się później okazało, widziała tę świątynię i obraz znajdujący się tam po raz ostatni.

Późno w nocy babcię obudziły syreny strażackie. Otworzyła okno i od cioci mieszkającej nieopodal usłyszała, że pali się kościół. Podobno łunę pożaru było widać aż w Ludmiłównce, bo modrzewiowa świątynia płonęła jak wielka pochodnia. Również wewnątrz kościoła było



obite sosnowymi i jodłowymi deseczkami, czyli boazerią. To także sprzyjało rozprzestrzenianiu się ognia. Wysuszone lakierowane drewno szybko się paliło. Babcia słyszała, że pierwsza zobaczyła ogień z okna swojego domu pani Bernas – organistka, która wraz z mężem alarmowała śpiących ludzi. Parafianie zaczęli się szybko gromadzić, aby ratować kościół. Babcia pamięta, jak opowiadano, że ksiądz Tadeusz Brzyski chciał za wszelką cenę ratować to, co najcenniejsze – obraz Maryi, ale kiedy otworzono kościół, było tam już bardzo dużo płomieni i dymu. Nie pozwolono wejść księdzu Brzyskiemu, bo naraziłby swoje życie. Ogień strawił feretrony, ornaty, tabernakulum z całą zawartością, kielichy – całe wnętrze kościoła. Gdy przyjechali strażacy, to ogień wydobywał się już przez okna. Strażaków było wielu, a księżomierska straż, której członkowie czuli miłość i sentyment do Matki Bożej, mimo ogromnego niebezpieczeństwa, chciała ratować Jej obraz. Kiedy jednak oderwano od budynku ścianę, na której znajdował się obraz, okazało się, że jest on już spalony. Wtedy strażaków ogarnął ogromny smutek. Z obrazu pozostały tylko metalowe szczątki korony Maryi i Pana Jezusa. Parafianie płakali i bezradnie patrzyli na płonący kościół, bo widok był przerażający. Uratowano niewiele: wyniesiono baldachim, kielichy z zakrystii, część ornatów i komży. Jedna z zabezpieczonych komży należała do mojego wujka Tomasza i obecnie znajduje się w moim domu. Babcia pamięta, że zgłiszcza kościoła dopalały się i dymiły jeszcze w niedzielę, kiedy odprawiano pierwszą mszę świętą o godzinie 9.00. w letniej kaplicy, która ocalała przed pożarem. Wspominała, że to był bardzo trudny dzień, bo przyjeżdżało wiele osób, które nie dowierzały, że księżomierska świątynia jest w zgłiszczach, a słynący łaskami obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem spłonął. Serca zebranych wypełniał ogromny smutek i pustka.

Babcia opowiadała mi tę historię drżącym z przejęcia głosem. Kiedy wspominała o tym, że obraz spłonął, w jej oczach dostrzegłem łzy. Wyjęła z szafy ocalałą komżę i pokazała ją. Powiedziała, że schowała ją na pamiątkę, bo tak niewiele z pożaru ocalało. Nie wiedziałem, że oglądając stare fotografie, można tak wiele się dowiedzieć o swojej rodzinie i miejscowości.

*Szymon Niedziałek*  
A.D. 2018

## Warto pomagać

(tyt. oryg. „Wspomnienia wracają”)

**P**AMIĘTAM WESOŁE ĆWIERKANIE PTAKÓW, bezchmurne niebo. Była ładna pogoda. Razem z moją babcią – Marią udałyśmy się na spacer w stronę pobliskiego stawu w Wólce Gościeradowskiej. Natknęłyśmy się na rodzinę, która karmiła łabędzie. Lubiliśmy to miejsce, bo swobodnie się nam rozmawiało, a okolica temu sprzyjała. Nasza rozmowa dotyczyła tematyki II wojny światowej, gdyż interesuję się tym okresem. „Tamte czasy” niebezpieczne i śmiertelne, zbierające żniwo w postaci ludzkich istnień. Mimo wszystko ludzie starali się różnymi sposobami je zachować. Wojna nie toczyła się tylko w wielkich miastach, ale w całym kraju, więc chciałam się dowiedzieć więcej na jej temat. Babcia okazała się niezastąpiona. Opowiedziała mi o wydarzeniach, których jej mama była świadkiem.

Były to lata czterdzieste. Rodzina Kulików mieszkała razem z córką Marianną (moją prababcią) naprzeciwko kościoła parafialnego w Gościeradowie. Prowadzili małe gospodarstwo. Hodowali krowy, konie i kury. Moja prababcia pomagała w domu, gdyż szkoły były zamknięte. Spotykała się z rówieśnikami i po kryjomu próbowali się uczyć. Było to niebezpieczne, ale dzieci chciały zdobywać wiedzę. Czasami siedziała przy oknie i wpatrywała się w samoloty lecące na niebie. Cała wieś czuła strach. Nikt nie miał pewności, że bomba nie zostanie zrzucona.

Młoda Marianna oraz jej mama Stanisława Kulik siedziały na ławce pod dużą lipą i robiły swetry na drutach. Miały dużo pracy, więc zajęło im to wiele czasu. W godzinach wieczornych, pod ich domem zjawiały się nieznajome osoby. Jak się okazało, potrzebowały pomocy. Mały chłopak był blady i wyczerpany. Na imię miał Andrzej. Ręce i twarz pokryte miał wrzodami. Nie chodził, zapewne nie miał sił. Matka pchała wózek, na którym siedział. Szukali ludzi dobrego serca, którzy daliby im schronienie. Nie mieli gdzie się podziać. Mąż kobiety musiał iść na wojnę, więc nie miał się kto nimi zaopiekować. Stanisława Kulik zaprosiła ich do domu, by nikt ich nie mógł podsłuchiwać. Po dłuższej rozmowie Kulikowie zgodzili się pomóc w trudnej sytuacji, choć sami dużo ryzykowali. Poruszył ich stan dziecka. Posiadali już schron, który znajdował się blisko studni. Nie był duży,

ale wystarczający. W środku leżał już mały materac. Nikt oprócz rodziny Kulików nie wiedział o ich obecności i tak musiało zostać, jeśli chcieli być bezpieczni. Andrzej prawie czas leżał, gdyż choroba dawała się we znaki i musiał wypoczywać. Jedynie wieczorami matka zabierała syna do domu, gdyż noce były chłodne. Nie było łatwo.

Tak mijały dni i tygodnie. Jakiś czas później ktoś zapukał do drzwi. Marianna otworzyła je, ale wystraszyła się, gdy ujrzała wysokiego mężczyznę w mundurze. Kazał zawołać kogoś dorosłego. Chciał razem z kompanami napić swe konie. Stanisława Kulik wyszła na zewnątrz. Rozpoznała, że to Rosjanin. Nie wyrażała sprzeciwu i użyczyła im wody ze studni. Najbardziej bała się jednej rzeczy... Konie stały tylko kilka metrów dalej od miejsca, gdzie skryła się matka z dzieckiem. Schron nie był solidny i nie wiadomo, co by się stało, gdyby podeszły bliżej. Modliła się jedynie w myślach, aby się tak nie stało. Najwyraźniej jej prośba została wysłuchana, bo konie zostały wyprowadzone. Mężczyzna wrócił po swoje dwie piersiówki, ponieważ zostawił je koło studni. Nagle wyraz jego twarzy zmienił się. Stał dokładnie nad tym schronem... Zapytał, dlaczego ziemia jest tu taka dziwna. Stanisława oczywiście odpowiedziała, że tylko mu się zdaje i jest taka od dawna, gdyż tam został zakopany ich pies.

Rosjanin uwierzył i mimo wszystko podziękował. Gdy kobieta wróciła do domu, wszyscy odetchnęli z ulgą. Było to pierwsze zdarzenie, które uświadomiło im, jak wiele ryzykują. Nadal czuli strach, ale nie chcieli rezygnować z pomocy.

Przez podwórko przewinęło się jeszcze wielu takich ludzi. Młodzi, starzy, kobiety, mężczyźni, wojskowi i cywile. Ale nikt nie pomyślał o tym, by ktoś mógł jeszcze tam przebywać... i to na całe szczęście. Mały Andrzej po kilku miesiącach powoli wracał do sił. Nie wyzdrowiał całkowicie, ale czuł się o wiele lepiej. Próbował nawet samodzielnie chodzić. Natomiast po jakimś roku po Gościeradowie rozeszła się wieść, że ojciec szuka swego synka Andrzeja, który był bardzo chory oraz swojej ukochanej żony. Marianna, gdy to usłyszała, pobiegła do mamy i o wszystkim opowiedziała. Nie minęło nawet pół godziny, a zjawił się pewien człowiek. Oświadczył, że chodzi po wsiach i szuka rodziny. Andrzej i jego mama zostali powiadomieni. Doszło do spotkania. Okazało się, że mężczyzna to właśnie ich szukał. Kobieta rozplakała się ze szczęścia. Nie mogła uwierzyć, że jej mąż przeżył. Tata

Andrzej zapowiedział, że zabiera rodzinę ze sobą, gdyż udało mu się zdobyć pieniądze na życie. Zaczął całować Stanisławę po rękach i dziękować za wszystko. Odpowiedziała jedynie, że pomoc człowiekowi w potrzebie jest dla niej obowiązkiem. Wszyscy byli szczęśliwi. Nie zabrakło łez i uścisków na pożegnanie. Kulikowie długo wspominali tę historię...

Czterdzieści lat później. Pięćdziesięcioletni kartograf wraz z synem podróżował do Lublina. Jadąc przez Gościeradów, dziwnie się poczuł. Wydawało mu się, że zna to miejsce bardzo dobrze. Gdy zauważył duże drzewo naprzeciwko kościoła parafialnego, wspomnienia wróciły. Zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Rozpoznał wielką lipę. Nie wahał się ani chwili. Zapukał do drzwi domu, przy którym rosło drzewo. Otworzyła mu dojrzała kobieta. To Marianna – córka Stanisławy i Władysława. Przedstawił się jako Andrzej, któremu kiedyś dobrzy ludzie z tego domu ocalili życie. Rozpoznała go natychmiast i poczuła, jakby czas się cofnął. Andrzej z synem weszli do środka. Mężczyzna opowiedział mu historię swojego życia. Bardzo to przeżywał, że mógł jeszcze raz być w tym miejscu. Niestety nie mógł dłużej zostać, gdyż miał bardzo ważne spotkanie. Zostawił jej kartkę z adresem oraz numerem telefonu i odjechał. Niestety kartka zaginęła i kontakt był niemożliwy, lecz wspomnienia zostaną na zawsze... Babcia bardzo mnie zadziwiła, ale jestem dumna z tego, jak zachowała się moja rodzina wobec tych ludzi. W tamtych czasach wielu sobie pomagało, ale nie każdy był skory do aż takich poświęceń. Dla mnie jest to wykazanie ogromnej odwagi i zrozumienia. Takim osobom powinien należeć się szacunek. Nie tylko mojej rodzinie, bo takich ludzi było więcej. Pomagali, bo wiedzieli, że każdy z nich mógłby być na miejscu osób potrzebujących. Warto pomagać, choćby dla samego siebie, gdyż czujemy, że zrobiliśmy coś dobrego.

Opowieść babci zajęła wiele czasu, ale nawet nie zdałyśmy sobie z tego sprawy. Cieszyłyśmy się, że rozmawiamy o historii naszego kraju i wsi. Do domu wróciłyśmy wieczorem. Zaplanowałam już kolejne spotkanie!

*Oliwia Konopa*  
A.D. 2018



## Wspomnienia wojenne mojego taty

**H**ISTORIA, KTÓRĄ CHCĘ OPOWIEDZIEĆ, wydarzyła się w czasie II wojny światowej. Jako mała dziewczynka słyszałam ją często od mojego taty i nigdy jej nie zapomnę.

Tata urodził się 12 stycznia 1908 roku w Gościeradowie, kiedy zaczęła się wojna, był już żonaty i miał dwoje dzieci: Marysię i Zdusia. Kiedy ósmego października 1943 roku zostaje aresztowany przez Gestapo, jego życie zmienia się w największy koszmar. Tamtego ranka wkraczają Niemcy do wsi i aresztują 10 osób podejrzanych o przynależność do partii komunistycznej. Oczywiście, zostali oni skazani niesłusznie, a dopiero po wojnie okazało się – dlaczego.

Pewnego dnia u gospodarza T. S. pojawili się Żydzi, prosząc o pomoc. Byli ukrywani przez niego na strychu. Dziś ten człowiek nie żyje, a jego bliscy o niczym nie wiedzieli. Nie chcąc urazić żyjących krewnych, nie wyjawiam nazwiska owej osoby, jedynie fakty, które zostały mi przekazane. Gospodarz niestety nie pomagał tym Żydom z dobroci serca, lecz widząc u nich bogactwo, kierował się tylko zachłannością.

Pewnej nocy kazał im uciekać, bo idą po nich komuniści. Żydzi zostawili w popłochu wszystko, co mieli i uciekli w stronę Kraśnika. Podobno, aby jego historia była wiarygodna, gospodarz T. S. podał kilka nazwisk, które mu tylko przyszły do głowy.

W Olbicieniu złapano owych Żydów i przewieziono na posterunek w Kraśniku. Tam ich przesłuchiowano. Żydzi myśleli, że Niemcy darują im życie, jeśli powiedzą o organizacji komunistycznej w Gościeradowie i ludziach, których zapamiętali. Niestety i tak zginęli, a rankiem 8 X 1943r. do Gościeradowa przyjechało Gestapo z listą w rękę i wszystkich z niej aresztowano.

Byli to: mój tata – Cmoluch Stefan,

Cmoluch Kazimierz,

Florek Edward,

Jocek Władysław,

Lebioda Henryk,

Lebioda Bolesław,

Łapiński Czesław,

Mazurek Stanisław,

Sarna Jan,  
Wójcik Feliks.

Niemcy także weszli do gospodarstwa T. S., ale nie udało się im go aresztować, został w tym czasie ukryty przez swoją córkę na furmance, przykryty obornikiem a następnie wywieziony w pole. Za to, że jego nie znaleźli, złapali jego żonę, która została strasznie pobita i przez wiele miesięcy nie wiadano, czy po tym pobiciu przeżyje.

Tak, jak tato opowiadał, do godziny 11-ej Niemcy mieli wszystkich z listy, oprócz niego.

Jemu udało się schować w stajni. Pod żłobem była kryjówka. Kiedy Niemcy go szukali, koń chodził luzem po stajni i nikt nie domyślił się, że ktoś tam jest ukryty.

Po odejściu Niemców, jego mama kazała mu, aby już wyszedł, bo już późno i słońce wysoko, trzeba w pole jechać. Tak więc, tato wyszedł ze swojej kryjówki, zaprzągnął konia i ruszył do pracy. Dojechał do szosy, a tam szli Niemcy z powrotem i pytali komendanta posterunku Dybowskiego: czy to Stefan Cmoluch? Ten potwierdził i tak oto tato został aresztowany.

Wszyscy aresztowani przez Gestapo zostali przewiezieni do więzienia na Zamek w Lublinie dnia 9 X 1943 r. Tam bici, torturowani nie przyznali się do winy, bo nie mieli do czego.

Nie pamiętał daty, kiedy na apelu rannym gestapowiec wskazując palcem, wybierał tych którzy od razu mieli zostać rozstrzelani.

Wtedy tata widział ich ostatni raz. Pamięta, jak pan Jocek, przechodząc obok niego powiedział: „Żegnaj, Stefan, pozdrów moich”. Nie wiedział, co się z nimi potem stało. Pan Jocek miał córeczkę Emilię Zapałę, której po wojnie mój tata został ojcem chrzestnym. Na grobie jej mamy pozostała tylko tabliczka z jego nazwiskiem, ale prawdziwego miejsca spoczynku nikt nie zna.

Pozostałych odesłano do obozów koncentracyjnych, głównie na Majdanek.

Tam, dnia 28 II 1944 r. trafił i mój tata. Jego numer to 8702.

Warunki w obozach były we wszystkich podobne; głód był motywem przewodnim obozowego życia. Zupa gotowana z pokrzyw, czarnej rzepy i kawałek chleba. Ludzi głodnych łatwiej było poskromić i nad nimi panować. Zimno, cienkie ubranie – pasiaki, drewniaki na nogach, mycki na głowach, takie warunki wytrzymywali tylko najsil-

niejsi. Baraki, prycze na których spali, były brudne i zawszone, ziąb, codziennie apele na mrozie, psy wilczury, którymi szczuto, bicie pejcami, to utrwaliło się w pamięci mojego ojca.

Najwięcej było w obozach Polaków. Żydów od razu na bramie oddzielano od reszty i szli prosto do „gazu”, byli też Cyganie, Rosjanie, Ukraińcy i inni.

Tata mówił, że pracował przy kopaniu dołów, do których wrzucono setki zmarłych. Rowy były tak głębokie na cztery metry, a każdą warstwę trupów zasypywano piaskiem i wapnem. Ziemia w dole była grząska od krwi po kolana. Jednego razu tata nie mógł się wydostać z takiego rowu, było zbyt głęboko i nie miał po prostu na to siły. Wtedy był już pewny, że zostanie w tym dole pogrzebany żywcem z resztą, ale ktoś podał mu rękę i pomógł się wydostać.

Po dwóch miesiącach pobytu na Majdanku, dnia 2 IV 1944 roku zostaje wywieziony do Niemiec do obozu Natzweiler. Przebywa tam do 8 V 1944 roku, a następnie jest przeniesiony do Komanda Schörzinger (Szercinger).

Jechali cztery dni z Majdanku do Natzweiler w wagonach bydlęcych, w których upchnięto 90 osób, bez jedzenia, picia, wszyscy w pozycji na stojąco. Żeby mogła jedna osoba z nich kucnąć, zmieniali się między sobą. Z tych dziewięćdziesięciu osób z tego transportu do obozu Natzweiler przeżyło tylko dwóch: mój tata, i o ile pamiętam z opowieści taty – Kajetan Koźmian z Piotrkowa Trybunalskiego.

Obozy znajdowały się blisko granicy Szwajcarii i Francji. Tam pracował w kamieniołomach. Jego numer w tym obozie to 10968. Numer dostawało się przeważnie po zmarłym więźniu. O samym pobycie w obozie tata nie za bardzo chciał mówić, były to bardzo bolesne wspomnienia. Gdy mówił o tym, pamiętam, że miał łzy w oczach.

Pytałam, czy nie można było uciec? Niezmiennie otrzymywałam te samą odpowiedź:

„Nie mieli siły, jedyne o czym marzyli to: najeść się czarnego chleba do syta i umrzeć.”

Kiedy było mu tak ciężko, pewnej nocy śniła mu się rzeczywistość, jaką zastał po powrocie do domu, to jego własne słowa. We śnie widział spalony Gościeradów, spalony dom, na progu zastał tylko matkę, ojca i najmłodszego brata.

Wtedy usłyszał czyjś głos i te słowa: „Modlitwa matki twej i córki nie pozwolą ci, abyś zginął.”

To te słowa sprawiły, że mógł tam przetrwać i tak mocno w nie wierzył, że nawet, kiedy prowadziliby go na rozstrzelanie, ufał, że nic nie stanie.

Miał jeszcze jeden podobny sen. Śnił mu się pokój, do którego weszła jego ówczesna żona z synem Zdzisławem i córką Marysią, która odbijała piłkę. Tacie wydawało się, że to nie piłka, tylko ogromna kula. Z drugiej zaś strony pokoju wyszła piękna kobieta, a on miał dokonać wyboru, z którą kobietą chce zostać. Wybrał żonę.

Nie wiedział wtedy jeszcze, że to był dzień, w którym zginęła jego żona i obydwójce dzieci. O tym fakcie dowiedział się dopiero po powrocie.

Kiedy w roku 1945 front się zbliżał, więźniów pędzono z obozów w głąb Niemiec. Były to tzw. „marsze śmierci”. Tata opowiadał, że jak zrobiono postój, to później na tym placu nie zostało nawet żdźbła trawy i korzeni. Zjedli wszystko.

Ostatnie, co pamiętał to, że szli przez jakiś tartak, a on potknął się i upadł. Nie miał siły się już podnieść. Niemcy uznali, że nie żyje i zostawili go tam. Było to w miejscowości Ostrach (Ostraich). Kiedy się ocknął, był sam leżący między deskami. Nocą z trudem dotarł do jakiegoś stojącego domu w pobliżu i wystraszoną Niemkę prosił o szklankę mleka. Wiedział, że nie wolno mu od razu najeść się do syta, gdyż tak wycieńczony organizm tego nie wytrzyma. Spał podobno cztery dni i noce. Niemka dobrze się nim opiekowała, miał czysto i był najedzony. Trafił stamtąd do szpitala, gdyż ważył tylko 32 kg.

Tak napisał w dokumentach: „Przebywałem w Schörzingen od 8.V. 1944r. do 18.IV.1945. Dnia 22.IV.1945 roku zostałem uwolniony przez Francuzów w miejscowości Ostraich”.

Po wyzwoleniu na tamtych terenach potrzebowano kogoś, kto zna kilka języków, aby jeńcom wyrobić dokumenty. Tata pracował przez jakiś czas w merostwie w jakimś mieście we Francji. Znał język polski, niemiecki, francuski i rosyjski, co było przydatne przy wydawaniu dokumentów dla byłych więźniów. Z posiadanych po tacie dokumentów i korespondencji z okresu 1 sierpnia 1945 i 1 lutego 1946 roku wynika, że zamieszkiwał w Sigmarinen.

Miał propozycję pozostania tam, lecz tęsknota za domem i rodziną była większa. Szczególnie, że dostał wiadomość przekazaną przez

Międzynarodowy Czerwony Krzyż, że wszyscy żyją i oczekują jego powrotu.

Do Polski wrócił 1 VII 1946 roku, ostatnim transportem dla repatriantów z Niemiec.

Dojeżdżając do Gościeradowa, w Opatowie dowiedział się od napotkanych ludzi, że jego żona i dzieci zginęli. Kiedy front rosyjski się zbliżał do Gościeradowa, Niemcy uciekając, palili wieś. Mieszkańcy zaczęli uciekać, siostra taty i żona z dziećmi uciekali do lasu. Bomba uderzyła w drzewo, a jej odłamki zabiły całą rodzinę.

To był dla niego ogromny cios, on przeżył piekło i wracał do domu, a ich tam już nie było.

Całe życie nie mógł się z tym pogodzić.

Wiadomo, wojna była okrutna, ale chyba najbardziej ciążyło mu, że nie był ze swoimi bliskimi, że nigdy już ich nie zobaczył, a to właśnie podtrzymywało go jeszcze przy życiu w trudnych chwilach obozowych.

Może gdyby nie został aresztowany, jego losy potoczyłyby się inaczej. Niestety powrócił do pustego domu.

Po tej tragedii tata jeździł po całej Polsce i się uczył, świadczą o tym liczne dokumenty i świadectwa. Był nawet słuchaczem szkoły prawniczej w Łodzi. Pracował w Lublinie w Najwyższej Izbie Kontroli. Kiedy zachorował na zapalenie opon mózgowych, powrócił do Gościeradowa. Ożenił się z siostrą pierwszej żony, moją mamą – Teodozją. Do końca życia robił, co najbardziej kochał – był rolnikiem.

Dopiero po wojnie odbył się sąd nad T. S., ale ci, co przeżyli, darowali mu jego winę, chyba przez wzgląd na błagania jego żony. Trzeba podkreślić, że po wojnie był on najbogatszym gospodarzem we wsi, ale życie nie było dla niego łaskawe.

Dziękuję się opowieścią mojego ojca, bo on przeżył to wszystko i stracił najbliższych przez egoizm drugiego człowieka.

Niektórzy znają prawdę o tamtych wydarzeniach. Nikt nie mówi o nich głośno ze względu na dobro żyjących krewnych tego człowieka. Ja opowiadam to dziś, aby utrwalić wspomnienia ojca, ale również ze względu na pamięć dziesięciu aresztowanych mieszkańców Gościeradowa. Piszę, przez wzgląd na niezmierne cierpienia tych, którzy odeszli oraz łzy rodzin ich oplakujących.

*Maria Mantyka A.D. 2018*

## Moje wspomnienia związane z Gościeradowem

(tyt. oryg. „Zastępstwo do czasu odejścia na emeryturę”)

**N**A POCZĄTKU STYCZNIA 1956 R. byłam w Powiatowym Wydziale Zdrowia w Kraśniku w sprawie zmiany miejsca pracy. Zadzwo-  
nił telefon, odebrał go kierownik wydziału. Po rozmowie zwrócił się do mnie z prośbą, czy nie poszłabym na zastępstwo do Gościeradowa za koleżankę, która odchodzi na urlop macierzyński. Dzwonił przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej z Gościeradowa, że bardzo potrzebna jest położna. Wyraziłam zgodę na to zastępstwo.

Na dworcu PKS dowiedziałam się, że do Gościeradowa dojechać mogę jedynym autobusem relacji Lublin–Ostrowiec, który kursuje raz dziennie. 15-go stycznia przyjechałam o godzinie 10-ej do Gościeradowa zobaczyć miejscowość i Ośrodek Zdrowia, który mieścił się wtedy w prywatnym domu nauczyciela pana Łomnickiego (obecnie p. Marii Ostrowskiej).

Przyjęła mnie pani dr Cieślak, porozmawialiśmy około piętnastu minut. Wróciłam na przystanek i w kiosku spożywczym czekałam na



powracający autobus z Ostrowca do Lublina do godziny 15-tej.

Dnia 18-go stycznia przyjechałam do pracy jako położna gromadzka, po kilku latach samodzielnej pracy „przyłączono” mnie do Ośrodka Zdrowia. Warunki pracy w tym ośrodku nie były najlepsze. Szafy z kartotekami znajdowały się w ganeczku (bez pieca), była malutka, ciemna poczekalnia. W jednym dużym pokoju odbywały się naraz: rejestracja chorych, zabiegi, a jednocześnie za parawanem przyjmował lekarz. Pomieszczenie to ogrzewał piec kaflowy. W rogu stała umywalka pedałowa z dwoma pojemnikami na wodę i płyn dezynfekcyjny, w związku z tym było ciasno. W drugim pokoju znajdował się gabinet stomatologiczny, na szczęście z oddzielnym wejściem i poczekalnią.

Rejon Ośrodka Zdrowia był bardzo rozległy, ponieważ obejmował Liśnik i Księżomierz, bo one nie miały jeszcze własnych placówek medycznych. Zaczęłam lepiej poznawać swoje środowisko.

Energię elektryczną miał tylko Gościeradów Szosa i PGR w Wólce Gościeradowskiej. Do sąsiednich miejscowości prowadziły niebrukowane drogi. Niejednokrotnie przemierzałam pieszo po kilkanaście kilometrów dziennie, czasem jeżdżąc furmanką i składając wizyty patronażowe położnicom i noworodkom.

Porody odbierałam w domu pacjentek (wówczas nawet przy lampkach naftowych). Kilkakrotnie zdarzyło się tak, że jeździłam od porodu do porodu, a do domu wracałam po kilku dniach.

Kilkakrotnie zdarzyło się tak, że bardzo dziecku spieszyło się na ten świat i urodziło się u mnie w domu. Pierwszym dzieckiem w Gościeradowie, któremu pomogłam przyjść na świat, był syn p. Kazi Florkowej – Marek. Z biegiem czasu rejon mojej pracy zawęził się, gdyż Liśnik i Księżomierz doczekały się własnych ośrodków zdrowia.

Na początku lat siedemdziesiątych został oddany do użytku mieszkańców Gościeradowa nowy ośrodek zdrowia (niestety wybudowany systemem oszczędnościowym). Warunki pracy uległy poprawie, ponieważ był oddzielny gabinet lekarski, zabiegowy, rejestracja, bieżąca woda i centralne ogrzewanie. Ulokowano w ośrodku aptekę z okienkiem do obsługi klientów od strony poczekalni. Nie było oddzielnego pomieszczenia na poradnię dla dzieci zdrowych (do szczepienia i badań profilaktycznych), dla dzieci chorych ani dla kobiet ciężarnych.

W jednej poczekalni byli dorośli chorzy, dzieci chore, zdrowe (do szczepień), pacjenci do stomatologa, klienci do apteki. Moja praca w terenie również stała się nieco łatwiejsza, ponieważ raz albo dwa razy dziennie kursował autobus do Szczecyna i przez krótki okres do Salomina. Przynajmniej w jedną stronę mogłam pojechać. W sytuacjach, kiedy w nocy trzeba było wezwać pogotowie, należało jechać na posterunek Milicji Obywatelskiej lub do Prewentorium Przeciwdrobnogłazowego, bo tylko one miały nocne połączenia.

Na kilka lat przed moim odejściem na emeryturę Ośrodek Zdrowia w Gościeradowie otrzymał dla swoich potrzeb karetkę pogotowia. Służyła ona do obsługi pacjentów w terenie. Zdecydowanie ułatwiło mi to pracę, gdyż mogłam czasami dojechać do moich pacjentek. W sytuacjach, kiedy karetka nie było lub korzystali z niej inni pracownicy, ja do swoich pacjentek dojeżdżałam „okazją” lub szłam pieszo. Na szczęście zawsze spotykałam się z ogromną serdecznością i życzliwością mieszkańców. Niewiele osób zastanawia się nad tym, jaką radość, nie tylko matce, ale i osobie przyjmującej poród, daje pojawienie się na świecie nowego człowieka.

Kończąc swoje krótkie wspomnienia, życzę wszystkim moim pacjentkom i ich dorosłym już dzieciom dużo zdrowia i długich lat życia. Przyszłam na zastępstwo na trzy miesiące (tyle trwał urlop macierzyński) w 1956 r., a trwało ono do mojego odejścia na emeryturę.

*Klara Berdys  
A.D. 2018*



## **Życie mieszkańców Księżomierzy i Ludmiłówki w latach 1939–1944**

Wywiad z panem Tadeuszem Czernielem.

**Czy posiadał pan gospodarstwo rolne? Jeżeli tak, to jak ono wyglądało?**

Tak, mój tata miał gospodarstwo rolne, takie średniej wielkości. Uprawialiśmy głównie żyto, pszenicę, owies. Po wojnie hodowałem również konopie. W polu i na gospodarstwie nie było tak, jak teraz. Mieliśmy tylko pług, brony, cepy, mało kto miał maszynę do młócenia. Sadu nie mieliśmy. Ze zwierząt to hodowaliśmy świnię, przeważnie to tak około pięciu czy sześciu, krowę i konia. Nawozów tak bardzo się nie kupowało, raczej wywoziło się obornik. Budynki były drewniane, wszystko pod strzechą. Głównie to były budynki na zboże i zwierzęta. Dom, w którym mieszkaliśmy, składał się w dwóch izb i sieni, a mieszkało w nim dwie rodziny – osiem osób. Kuchnia była uboga, tylko piec i kilka garnków.

**Czy we wsi były oddawane świadczenia na rzecz okupanta?**

Oczywiście! Zazwyczaj nie było określonej pory, Niemcy ogłaszali, że będzie zbiórka zboża, ziemniaków lub mleka, bo to najczęściej zabierano i był czas, żeby to zgromadzić. Później wszystko składano na środku wsi i Niemcy to zabierali. Konfiskowali też zwierzęta. Często chowało i hodowało się je w lesie, bo gdyby się Niemcy dowiedzieli, że ktoś ma zwierzęta, a ich nie oddał, to wywozili do obozów.

**Jak zaopatrywano się w rzeczy codziennego użytku, produkty?**

Chleb i mleko to mieliśmy z domu, mięso to różnie. Jak mówiłem wcześniej, hodowano wszystko po kryjomu, więc, jak ktoś hodował, to w nocy zabił świnkę i miał mięso. Samogon też się robiło, ale to nie tylko u nas, to prawie w każdym domu. Nie było też cukru, słodziło się sacharyną albo gotowało się buraki cukrowe i powstawał słodki wywar. Najtrudniej było o ubrania. Nie były też jakieś wysokiej jakości, tylko, np. bielizna i kalesony z lnu. Nie lubiłem ich nosić, bo wszystko drapało, a reszta szyta była z drelichu. Buty to były głównie drewniaki, mało kto miał skórzane. Czasami to wypłatało się ze słomy takie wałki i one służyły jako buty.

### **Jak obchodzono w domu różne święta i uroczystości?**

Głównie to obchodziło się tylko święta Bożego Narodzenia, Wielkanoc, o urodzinach nawet nikt nie myślał, bo nie było na to czasu i pieniędzy. A ze świąt, to pamiętam tylko choinkę przyozdobioną orzechami i jabłkami.

### **Czy dzieci uczęszczały do szkoły?**

U nas w domu co prawda chodzili wszyscy, ale nie każdy skończył. Do szkoły chodziły tylko te osoby, które miały książki. Ja miałem tylko do klasy piątej, więc pięć klas skończyłem a reszty już niestety nie.

### **Jak ludzie na wsi dowiadawali się o sytuacji na frontach?**

Większość wiadomości była przekazywana za pomocą radia, lecz nie każdy je miał. Nasz sąsiad, który mieszkał naprzeciwko, miał radio w domu i schowaną w krzakach antenę. Wieczorem schodziło się kilku ludzi, zasłanialiśmy okna, gasiliśmy światło i słuchaliśmy radia.

### **Czy działały jakieś organizacje polityczne w obrębie wsi lub gminy?**

#### **Czy działania partyzantów były wspierane?**

Z organizacji to pamiętam, że było tylko BCh i AK. A jeżeli chodzi o partyzantów, to zdarzało się, że przychodzili spać bądź jeść. Miejsca nie było, więc przyodziali się czymś, położyli na ziemi i spali, a gdy tylko zrobiło się jasno, wstawali i szli dalej w drogę.

### **Czy we wsi mieszkali Żydzi oraz czy mogli liczyć na pomoc mieszkańców?**

Byli oni u nas we wsi, ale wiadomo, że jak weszli Niemcy, to zaczęli się ukrywać. Jeżeli ktoś mógł, to pomagał, przechował, jeść dał, ale wielu ludzi się bało, bo Niemcy za to mogli zabić całą rodzinę.

### **Jak często ludzie chodzili do kościoła?**

U nas to często, bo każdy miał blisko, więc każdy w niedziele chodził i w większość świąt. Wcześniej było większe przywiązanie do Kościoła. Nie każdy też mógł chodzić. Było tak, że ludzie nie chodzili, bo niestety nie mieli się w co ubrać. Ale znów u mojej żony na Ludmiłowce, gdy jeszcze tam mieszkała, to chodzili już rzadziej, ale tylko ze względu, że kościół był w Dzierzkowicach, więc wybierali się tam, gdy pozwalała na to pogoda.

### Wywiad z panią Teodorą Czernel – wspomnienia

BYŁA WTEDY SOBOTA, przyszedł do nas pewien Rosjanin. W większości domów były klepiska, a u nas była podłoga, więc miał się gdzie przespać. Była zima, moja mama przygotowała dwa duże stołki, wyścielała je słomą i ustawiła je obok pieca, żeby mógł się rozgrzać i przespał tak całą noc. Rano, gdy wstaliśmy i mama wyszła na dwór, zobaczyła pełną ulicę niemieckich żołnierzy w białych strojach. Wróciła do domu i powiedziała „Bójcie się Boga, śpicie?! Niemcy po ulicy chodzą!”. Mój tata i Rosjanin wstali i przeszli do innego pomieszczenia. Mróz był straszny i śniegu też było dużo. Otworzyli okno, wyszli przez nie i tata szedł z nim krok w krok, tak aby go zasłonić, że jakby ktoś się od boku spojrzał to, żeby go widać nie było. Przeszli za naszą stodołę, żeby mógł uciec. Okazało się, że cała wieś była obstawiona i ucieczka była niemożliwa. Postanowili więc, że ukryje się on w stodole u sąsiada. Była to ostatnia deska ratunku. Stodoła nie należała już do nowych i miała w kilku miejscach dziury, więc łatwo się mógł tam przecisnąć. Przykrył się słomą i czekał. Zastanawialiśmy się potem, czy go znaleźli, czy jeszcze żyje, lecz po kilku dniach tata go spotkał. Powiedział mu wtedy, że miał wielkie szczęście. Przykryty był snopkami słomy, które Niemcy przeszukiwali. Przerzucali jeden za drugim i zostawili trzy ostatnie, za którymi schował się właśnie on. „Jeszcze trzy snopki i by mnie znaleźli” – tak to ujął.

To było w lipcu, rodzice kosili żyto, a ja zostałam z małą siostrą, która miała rok oraz z sześciolletnim bratem. Nagle na dworze zaczęło się robić zamieszanie, ludzie zaczęli biegać, krzyczeć, że Ukraińcy mordują w Dzierzkowicach. Wszystkich ogarnęła panika. Nie wiedziałam co zrobić, zaczęłam płakać. W tym całym zamieszaniu wzięłam siostrę, owinęłam ją chustą i przywiązałam do siebie, żeby ją udźwignąć. Wyszliśmy na dwór i przyszła do nas ciotka. Próbowała nas uspokoić, ale nadaremnie. Bardzo płakałam, a gdy młodsza siostra mnie widziała, to również zaczęła płakać razem ze mną. Rodzice przyjechali, mama zaczęła gotować obiad i nagle zaczęły jechać tabory załadowane po brzegi. Jechali od strony Dzierzkowic. W jednej chwili ogarnął nas strach i zdziwienie. Każdy zadawał sobie pytanie „Gdzie oni jadą? Nie zatrzymują się? Przecież rabowali wieś”. Okazało się że oni uciekają. Szczęście, jakie nas wtedy ogarnęło, było nie do opisania.

Różne przygody też się przydarzały nam podczas wojny. Razu pewnego Niemiec prowadził konia. Szedł już szmat drogi i ten koń był już tak zmęczony, że nie mógł dalej iść. Mężczyźnie spieszyło się bardzo, więc nie mógł czekać. Jedzenia też nie miał. Postanowił więc go oddać. Mój wujek, który jeździł na budowę, umiał niemiecki. Dogadał się z tym Niemcem. Chciał, aby przynieść mu śmietany, jajek, masła i wtedy odda konia. Rodzice oczywiście zebrali cały zapas, jaki mieli i udało się, dostaliśmy tego konia. Ale tak, jak to było w tamtych czasach, musieliśmy tego konia ukrywać przez całą wojnę i jeszcze długi czas po 1945 roku. W tym wypadku nam się udało i coś zyskaliśmy, innym razem znowu straciliśmy. Bowiem, któregoś lata – oczywiście w latach wojennych, w naszym sadzie, a był on dosyć duży, nocowali Ukraińcy. Przywiązali krowę do drzewa i rozłożyli swoje rzeczy. Mój tata poszedł w stronę Dzierzkowic do lasu w tamtejsze doły do tego konia, którego dostaliśmy od Niemca. My z mamą bałyśmy się zostać same, więc poszłyśmy spać do sąsiadki. Rano, gdy przyszliśmy do domu, zobaczyłyśmy otwarte drzwi, a przecież wychodząc wieczorem mama je zamykała. Jednak nic nie zginęło, byliśmy zdziwione. Lecz gdy Ukraińcy odjeżdżali, zagonili wszystkie gęsi do zagrody, zamknęli, wskoczyli do środka i aby głowy im ukręcali i do worków zbierali. Mama błagała, żeby chociaż dwie zostawili, bo ma dzieci i żebyśmy mieli co zjeść. Wtedy jedna Ukrainka zaczęła krzyczeć, machać rękami i iść w naszą stronę. Woleliśmy już ich zostawić i niestety zabrali nam wszystkie gęsi.

W Dzierzkowicach był pewien człowiek, nazywał się Dudek Franciszek. Z tego, co ludzie mówili, to nie był on dobry. Mówili, że w trakcie wojny dopuścił się jakichś zbrodni, ale nie pamiętam dokładnie jakich, prawdopodobnie zabójstw. Dziwnym trafem, mój tata nazywał się tak samo, też Franciszek Dudek. Pewnego razu wojska niemieckie jechały i zatrzymały się u nas na wsi. Kazali się zebrać wszystkim ludziom pod szkołą. Gdy wszyscy dotarli, kazali wszystkim, którzy mieli na nazwisko Dudek wyjść na środek. Wyszli więc wszyscy. Zapytali wtedy „Czy jest tu Dudek Franciszek? Jeżeli tak, niech wyjdzie”. Mój tata wyszedł, chcieli go rozstrzelać. Po ogłoszeniu zarzutów, przygotowali karabin. Wtedy wyszedł mój wujek, ten, który umiał niemiecki, zaczął z nimi rozmawiać. Wytłumaczył im, że

zaszło nieporozumienie, że mój tata nie byłby w stanie kogoś zabić. Porozmawiali trochę i się udało. Puścili mojego tatę.

#### Wywiad z Genowefą Jarosz – wspomnienia

NA WSTĘPIE OD RAZU POWIEM, że znam tę historię tylko z opowieści mojej mamy, bo samej mnie jeszcze wtedy nie było. Rzecz działa się w kwietniu bądź maju na środku wsi. Mój dziadek był sołtysem. Żołnierze niemieccy nakazali w czasie około trzech godzin zebrać pewną ilość zboża, nie pamiętam dokładnie ile. Przez pierwszą godzinę prawie nic nie zebrano. Wtedy ci żołnierze złapali dwudziestu przypadkowych ludzi, którzy byli w okolicy i powiedzieli, że jeżeli przez czas dwóch godzin zboże nie zostanie zwiezione, zostaną rozstrzelani oni i ich rodziny. Ustawili więc ich na grobli w rzędzie i czekali. Mój dziadek był między tymi ludźmi i stał razem z nimi przed Niemcami, którzy byli gotowi ich rozstrzelać. Miał on ośmioro dzieci, więc się bardzo martwił. Z początku nic się nie zmieniło, jeżeli chodzi ilość przyniesionego zboża. Jeden mężczyzna, na nazwisko miał najprawdopodobniej Pluskwa, chciał się uratować. Odwrócił się i zaczął uciekać, przeskoczył przez płot i w tym momencie ktoś zawołał „Patrzcie ucieka!”. Wtedy go zastrzelili. Ludzie widząc to, zaczęli znosić worki zboża. Udało się! Gdy minęło dwie godziny, uzbierali taką ilość, że Niemcy byli w stanie wypuścić tych ludzi. Mój dziadek wrócił wówczas do domu, lecz jego widok wprowił rodzinę w osłupienie, ponieważ wychodził z domu z kruczoczarnymi włosami, a wrócił z fryzurą obsianą siwymi plamami, które przeważały nad czernią. Osiwiał ze strachu.

*notował*  
*Mateusz Jarosz*  
*A.D. 2018*

*To właśnie tu się wydarzyło...*

---

## O ciężkich czasach

(tyt. oryg. „Niespodziewane wspomnienia”)

**D**REWNEGO JESIENNEGO WIECZORU, przy kolacji, rozpoczęła się ciekawa rozmowa z rodziną. Okazało się, że moją ciocię Marysię uczył pan Józef Twaróg, patron naszej szkoły. Zaczęła wspominać, że bardzo nie lubił chuligaństwa, był za to surowy i wymagający.

Zaciekawiło mnie to bardzo.

– Jak to? To nasz patron był zwykłym nauczycielem? – zapytałam zdziwiona.

Po kolacji poszłam do pokoju cioci i zaczęłam wypytывать.

– Ciociu, jak to kiedyś było w szkole?

Ciocia Marysia uśmiechnęła się i powiedziała:

– Dziecko, całkiem inaczej. To były bardzo ciężkie czasy powojenne. Wszędzie panowała bieda. Nie mieliśmy tylu ubrań, butów ani słodczy. Książek i zeszytów też brakowało.

A jaki był pan Twaróg?

Był moim wychowawcą w klasach V–VII szkoły podstawowej. Moja klasa była najbardziej chuligańska. Nikt z nauczycieli nie chciał być naszym wychowawcą, a pan Twaróg, jako dyrektor się nami zaopiekował. Mieliśmy kilku chłopców, dość niepokornych. Taki Wiesiek zawsze dokuczał Julkowi.

– Tak, a w jaki sposób? – dopytywałam.

– Ano, kładł pinezki do dołu łóbkami na krześle kolegi tak, aby siadł na nie i się pokłuił. Zawsze pan Twaróg się wtedy denerwował i Wiesiek dostawał karę – „łapki” – drewnianym piórnikiem po rękach, aż były czerwone. Pan Twaróg uczył matematyki i muzyki, grał pięknie na skrzypcach. Ja byłam bardzo dobrą uczennicą, ale w ogóle nie umiałam śpiewać. Pamiętam, że raz tylko kazał mi zaśpiewać piosenkę. Dostałam trójkę i więcej przez cały rok nie pytał, bo wiedział, że nie mam słuchu. Na koniec roku podciągnął mi ocenę na czwórkę, bo z wszystkich innych przedmiotów miałam piątki, tylko z muzyki groziła mi trójka – uśmiechnęła się ciocia na wspomnienie tamtych chwil.

– A czy były jakieś wycieczki ze szkoły?

– Nie, żadnych, bo nikogo nie było na to stać. Ale wiesz, raz pan Twaróg, w nagrodę za bardzo dobre wyniki w nauce, wysłał mnie

i Krysię oraz trzy inne osoby na zabawę choinkową do Lublina. Odbywała się ona w Studium Nauczycielskim. Przypomniałam sobie, jak moja mamusia, twoja prababcia Natalia, szła dla mnie piżamę, ciapy, ubrania, bo jechaliśmy na dwa dni. Gdy weszliśmy na tę salę, gdzie odbywała się zabawa, to byliśmy tacy zauroczeni! Choinka migotała tysiącem światełek. Pod nią tańczyły na pozytywkach lalki i jeździła kolejka z pociągami. Dla nas, biednych dzieci ze wsi, to było jak bajka. Byliśmy zafascynowani i zachwyceni. Po powrocie do szkoły opowiadaliśmy o tym, co widzieliśmy i zachęcaliśmy do nauki, ponieważ pan dyrektor Twaróg obiecał, że za rok też zorganizuje innym najlepszym uczniom taki wypad. To był mój ostatni rok w szkole. Po jej ukończeniu, chodziłam do szkoły w Lublinie. Mieszkałam w internacie, ale zawsze, gdy wracałam do domu, pan Twaróg, spacerując, pytał mnie:

– Marysiu, jak tam matma, piątka?

A ja dumnie odpowiadałam: – Tak, panie dyrektore.

Zawsze się uśmiechał i zamieniał ze mną kilka słów, dopytując, jak tam w szkole. Taki już był. Pamiętał imiona swoich uczniów. Był dumny z nas i ze swojej pracy.

Od tej rozmowy będę inaczej myślała o osobie patrona naszej szkoły. Opowiem wszystko swoim kolegom i koleżankom, aby poznali jego sylwetkę z innej strony. Nie pomyślałam, że w mojej rodzinie jest ktoś, kto znał pana Twaroga. Może kiedyś uda mi się jeszcze czegoś ciekawego dowiedzieć.

Ciocia mówiła jeszcze, że w tamtych czasach nie było telewizji, telefonów czy komputerów. Na co ja zapytałam:

– A co, ciociu, robiliście w wolnym czasie?

Uśmiechnęła się jakoś smutno i odpowiedziała:

– Zazwyczaj pomagaliśmy rodzicom w polu, w domu i przy zwierzętach. Często paśliśmy krowy na drodze i wtedy był czas na czytanie książek czy naukę śpiewu lub dyskusje z koleżankami, które też robiły to samo tylko na swoich drogach, a że działki były wąskie, to słyszałyśmy się dobrze.

– A jak ubierałyście się do szkoły?

– Hm – zadumała się ciocia. – Moja mamusia uszyła mi taki fartuszek, w którym codziennie chodziłam po szkole, aby nie niszczyć ubrań, bo nie miałam ich za dużo. Było biednie, czasy powojenne



i wszędzie bieda. Czego rodzice nie urobili na roli, to nie mieli innego dochodu, ale hodowali kury i sprzedawali jajka. Mieliśmy dwie krowy, których mleko oddawali do skupu. Hodowali świnię i cielęta, i z tego były pieniądze na życie i opłaty.

Po wysłuchaniu tych wspomnień uświadomiłam sobie, jak było ciężko w czasach powojennych, a jednak kto chciał, to się uczył i wyrósł na porządnego człowieka, bo moja ciocia skończyła szkołę średnią i studia farmakologiczne w Lublinie. Przepracowała wiele lat w aptece na kierowniczym stanowisku. Podziękowałam jej za te opowieści. Dzięki nim jestem bogatsza o historię swojej miejscowości i kraju.

Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś opowie mi o tamtych czasach...

*Aleksandra Dąbrowska*  
*A.D. 2018*

## Dzieje Suchodół

To WŁAŚNIE TU się wydarzyło,  
Choć bardzo dawno to już było,  
Mówili o tym moi przodkowie,  
Co zapamiętałam, to Wam opowiem.

Na terenie mojej wioski  
Rządził hrabia Suchodolski.  
Lasy okoliczne wyciąć kazał,  
I na ich miejscu ludzi osadzał.

Również i moi przodkowie,  
Kiedy już byli „po słowie”,  
Domek tutaj postavili  
I rodzinę założyli.

Chociaż ciężko im bardzo było:  
Wszędzie piechotą się chodziło,  
Nie było szkoły, sklepów i szosy,  
Niekiedy chłop chodził głodny i bosy.

Lecz własna chata pod strzechą  
Była ich najlepszą pociechą.  
Pracą i modlitwą szli do przodu,  
Aby ich dzieci nie zaznały głodu.

A gdy elektryczność się pojawiła,  
warunki ich życia polepszyła.  
Nawet proste maszyny  
Były wsparciem dla rodziny.

Później małeńka szkoła powstała,  
Która mądrych ludzi wielu wychowała.  
Ja również do niej uczęszczałam,  
Tam pierwsze litery poznawałam.

Tak, jak moi przodkowie,  
Tak i ja wnukom opowiem,  
Jak z biegiem czasu  
Powstała wioska w miejscu lasu.

*Patrycja Kufel A.D. 2018*

# Śladami przeszłości. Wspomnienia zebrane na podstawie opowieści mojej babci Natalii Oklecińskiej

Gościeradów, 26.09.2007 r.



## DRUGI PAMIĘTNIKU

Piszę, ponieważ czuję, że powinnam pozostawić po sobie małą część siebie. Czuję, że zbliża się czas, kiedy odejdę na zawsze...

Chciałabym, żeby moja rodzina i najbliższe mi osoby po przeczytaniu tego wpisu zapamiętały mnie jak najlepiej i spojrzały na moje życie trochę inaczej. Czasami zdarza się, że prawda bywa bardziej bolesna, a niekiedy nawet za ciężka, by stanąć z nią twarzą w twarz. Proszę Was o przeczytanie mojej historii, która wydarzyła się dawno, ale jest prawdziwa.

Był dwudziesty pierwszy kwietnia 1927 roku, kiedy przyszedł na ten wielki świat. Od małego kochałam swoją wieś. To tu stawiałam swoje pierwsze kroki i wymawiałam pierwsze słowa. Gdy miałam 12 lat poszłam do szkoły, tam nauczyłam się czytać i pisać. Uwielbiałam się uczyć. Nauka sprawiała mi wielką radość i wiedziałam, że dzięki niej mogę, zejść daleko i osiągnąć sukces. Rodzice zapisali mnie również na zajęcia szycia i krawiectwa, szły mi one tak dobrze, że postanowiłam w przyszłości zostać krawcową. Jednak moje kształcenie się nie trwało zbyt długo. W 1939 roku wybuchła druga wojna światowa. Bałam się, byłam przerażona, z dnia na dzień coraz bardziej obawiałam się o życie swoje i całej mojej rodziny. Jednak w głębi serca czułam, że chcę walczyć za Polskę, za mój najdroższy i najwspanialszy kraj.

Dni mijały szybko, stawały się coraz gorsze i bardziej mroczne. Pamiętam dzień, w którym w całej wsi zrobiło się pusto. Dym było widać i czuć w całej okolicy. Palił się wielki ogień. Słychać było krzyk kobiet i płacz dzieci. Szkoła była zamknięta, więc nie mogłam się dalej w niej uczyć. Pewnego razu poszłam do zakładu krawieckiego, by pomóc mojej nauczycielce uszyć kilka sukienek na zamówienie, były tam ze mną jeszcze dwie dziewczyny. Wszystkie pracowałyśmy bardzo ciężko i starannie szyłyśmy zamówione ubrania. Nagle, w drzwiach zakładu, zobaczyłyśmy czterech niemieckich żołnierzy.

Po chwili miałyśmy już związane ręce, a Niemcy, trzymając nas pod ramię, zaprowadzili do niewielkiej ciężarówki. Jechałyśmy około trzech godzin. Gdy byłyśmy na miejscu, wepchnęli nas do małego, zimnego pokoju i kazali położyć się spać. W nocy jeden z nich przyszedł po te dwie dziewczyny, które były ze mną. Minęły dwie godziny, a one nie wracały, więc położyłam się i zapewne ze zmęczenia zasnęłam. Obudziłam się dopiero rano, ale ich nadal nie było... Zdałam sobie sprawę, że wczoraj widziałam je po raz ostatni.

Kiedy tak rozmyślałam, pogrążona w rozpacz, nagle otworzyły się drzwi. Po chwili wszedł mój ukochany tata i zabrał mnie stamtąd. Przez całą drogę powrotną nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem, ale byłam przekonana, że tata wiedział, co stało się z tamtymi dziewczynami i znał okrutną prawdę. Wiedziałam, że ojciec potrafił swobodnie rozmawiać po niemiecku i tylko dlatego udało mu się uwolnić mnie z tego miejsca.

Wojna się skończyła. Od chwili wyzwolenia minęło już wiele lat, ja wyszłam za mąż za rolnika. Zamieszałyśmy we wsi Salomin, urodziłam piątkę dzieci i byłam bardzo szczęśliwa, że Bóg pomógł mi i pozwolił przetrwać te kilka lat srogiej wojny.

Do dziś pamiętam: ile krwi przelano, jak wielu ludzi zginęło, cierpiało i co czuli Żydzi, którym wielu Polaków pomogło, a ilu Niemców ich prześladowało i nienawidziło. Być może dla niektórych zbyt mało, ale dla mnie wiele uczuć i emocji kryje się w tym wpisie.

Mam nadzieję, że moje wspomnienia przypomną młodym ludziom o pięknie naszej ojczyzny. O tym, że kochamy Polskę, że tyle dla niej wycierpieliśmy i jako naród dzielnie walczyliśmy o jej wolność. Jestem dumna, że jestem Polką. Ty też bądź dumny – nie pożałujesz. Przeczytacie ten pamiętnik, gdy już mnie nie będzie, wtedy sami docenicie, to co ja doceniłam, spisując moją historię tuż przed śmiercią. Czytając to, pomyślcie o mnie i podziękujcie Bogu za to, że jesteście i że żyjecie w wolnym kraju, w pięknej Polsce...

*Julia Babiracka*  
A.D. 2018

## To wydarzyło się w Gościeradowie

DY PRÓBUJĘ ROZMAWIAĆ LUB PISAĆ NA TEN TEMAT, nie wiem dlaczego, ale zawsze przychodzi mi na myśl czas II wojny światowej. Obraz tamtych dni i zdarzeń jest dla mnie obcy i bardzo odległy. Opowieści o tym, co się działo i jak było, znam z relacji moich pradziadków. Najbardziej zapamiętałam takie zwykłe wydarzenia i zachowania ludzi po wkroczeniu Niemców do naszej miejscowości.

Pradziadek opowiadał, że ludzie wiedzieli, że wybuchła wojna. Kilka osób we wsi miało radia i dzięki nim reszta mieszkańców dowiedziała się o tym. Część ludzi nie wiedziała, że Niemcy bez wypowiedzenia wojny, uderzyli na Polskę, z którą wcześniej podpisa-  
li układ o nieagresji. Część ludzi zabierała swój dobytek i z rodziną uciekała w kierunku wschodnim. Wśród ludności zapanował strach i wyczekiwanie na najgorsze. Wszyscy nasłuchiwali odgłosów od strony Annopola. Aż pewnego dnia, nie zapamiętałam którego, pradziadek mówił mi, że było to na początku września 1939 roku, wojsko niemieckie zajęło Gościeradów. Drogą w kierunku Kraśnika jechały czołgi, samochody ze sprzętem i wojskiem oraz żołnierze na motocyklach. Od czasu do czasu nad tą kolumną przelatywały niemieckie samoloty. We wsi panowała taka cisza, że nawet psy nie szczekały. Przerażeni ludzie stali w bezruchu lub wyglądali zza rogów domów. A dzieci gromadziły się w pobliżu bitej drogi zwanej „kocimi łbami” i z ciekawością oglądały ten przemarsz. Większość dzieci chodziła boso i w letnich ubrankach, wrzesień tego roku był bardzo upalny. Temperatura sięgała 30 stopni Celsjusza. Hitlerowcy poszli na wschód w milczeniu, ale mieli gotowe do strzału karabiny. Co jakiś czas, od kolumny odłączyła się grupa żołnierzy, którzy objeżdżali wszystkie zakątki wsi, zajmowali na swój użytek lepsze budynki i zostawiali w nich swoje patrole. Ludzie opowiadali, że najeźdźcy uzbrojeni byli „po zęby”. Ten pochód hitlerowskich żołnierzy przypominał paradę wojskową, prezentował wielką siłę i karność armii. Pradziadek opowiadał też, że w czasie wejścia do wsi, oddziały wojska budziły strach i rozpacz. Od czasu do czasu Niemcy rzucali w kierunku dzieci cukierki i czekolady. Początkowo dzieci bały się, ale gdy Niemcy odjechali dalej, rzuciły się na słodczyce i zbierały je. Wtedy rozległ się „rechot” hitlerowców, którzy w ten sposób poniżali Polaków. Kiedy

najeźdźcy zagarnęli już teren, podporządkowali sobie wszystkie wiejskie urzędy, to od tej pory rozpoczęła się okupacja niemiecka. Zapytałam pradziadka, czy można tak robić? Odpowiedział mi, że jest to bezprawne pozbawianie wolności innego narodu, ale wtedy Polska była zbyt słaba, żeby stanąć do otwartej walki z najeźdźcami. Pradziadek powiedział mi że też, że Polska nie była pierwszym krajem, który Niemcy zajęli bez wypowiedzenia wojny. Rok wcześniej zajęli Czechy (1938) i zmusili do uznania zależności od Niemiec. Krążył na ten temat żart: „Hitler Hachę wziął pod pachę”. Gdy usłyszałam to zdanie, roześmiałam się na głos, bo wyobraziłam sobie, jak Hitler z Hachą pod rękę spacerują po Pradze. Pradziadek, wyjaśnił mi wtedy, że Hitler podstępnie zmusił czeskiego polityka do uznania władzy Niemiec nad Czechami. A u nas... ludzie żyli w strachu niepewności.

Dnia 17 września 1939 roku w Polaków uderzyła następna tragiczna wiadomość. Tego dnia Rosjanie napadli na nasz kraj od wschodu. Mieszkańcy nie umieli znaleźć sobie miejsca w tym wojennym świecie. Przez wiele dni, jak opowiadał mój pradziadek, ludzie nie robili nic, tylko wyczekiwali na następne tragiczne wydarzenia. W każdym wiejskim gospodarstwie były jednak zwierzęta domowe i drób. To one przypominały ludziom, że trzeba je nakarmić i напоić. Chociaż każdy się bał, musiał zająć się zwierzętami. Zaczęto pasać krowy, kosić siano, próbowano kopać ziemniaki. Każda praca wykonywana była w pośpiechu i pod strachem przed okupantem. Dzieci przestały chodzić do szkoły, bo Niemcy zabronili nauki. Do wsi docierały wiadomości, że napastnicy zbliżają się do Warszawy. Armia polska została rozbita. Wielu naszych żołnierzy poległo w nierównej walce z agresorami. Próbowałam wyobrazić sobie to wszystko, ale nie mogłam, bo trudno mi było zrozumieć dlaczego tak postępowali z nami nasi sąsiedzi zza zachodniej i wschodniej granicy.

Dziś wiem jedno, że każda wojna jest czymś złym, bo pociąga wiele ofiar. Ginęli żołnierze, biorący udział w walce z najeźdźcami, ginęli cywile i dzieci, często przypadkowe ofiary działań wojennych. W tym miejscu, zacytuję jeszcze słowa piosenki żołnierskiej „Wojenko, wojenko”, która wyraźnie podkreśla, co niesie ze sobą wojna.

Wojenko, wojenko! Cóżes ty za pani,  
Że za tobą idą, że za tobą idą chłopcy malowani  
Chłopcy malowani, sami wybierani,  
Wojenko, wojenko, cóżes ty za pani.

Wielu Cię poznało bliżej,  
Wielu swą dotknęłaś ręką,  
Zostawiłaś w polu krzyże,  
Naznaczone czyjąś ręką,  
Zostawiłaś w polu krzyże  
Naznaczone cudzą łzą”.

*Roksana Gajewska*  
*A.D. 2018*





## Jaś Cebulka

 POWIADANIE, JAKIE WAM PRZEDSTAWIĘ, słyszałam od mojej prababci, babci i cioci, które mieszkały i nadal mieszkają w Ludmiłówce.

Historie, podobne do tej, która dotyczy chłopca Jasia, miały miejsce w wielu innych miejscowościach.

Zaczyna się ona tak, jak bajka, ale to rzeczywistość, jaka w tamtych latach wojennych była tak częsta, że można powiedzieć, nawet nagminna, a główną jej przyczyną był głód, niedostatek oraz choroby.

Pewnego razu, w upalny dzień, szedł chłop od Zastocza i niósł na plecach dziecko. Zatrzymali się koło chałupy jednego z gospodarzy w Ludmiłówce, by odpocząć i napić się wody. Chłopiec z wyglądu mógł mieć około 3 lata. Był drobny, wymizerniały, ubrany w zgrzebne majteczyny i jakąś koszulinę. Gospodarz zapytał przybysza, gdzie idzie z tym dzieckiem, a on odpowiedział, że do wuja go niesie. Odpoczęli i poszli dalej. Na drugi dzień biedna wdowa ze wsi Ludmiłówka poszła do lasu dzierzkowskiego nazbierać drew, wtedy usłyszała płacz dziecka. Po chwili ujrzała pod drzewem zapłakaną, małą dziecinę, ledwo żywą z zimna i głodu, a w tamtych czasach noce były nieco zimne. Kobieta przyprowadziła dziecko do domu. Okazało się, że był to ten sam chłopczyk, którego niósł poprzedniego dnia przez Ludmiłówkę nieznany mężczyzna. Ponieważ sama była wyrobnicą (nie posiadała ziemi, zarabiała u ludzi na życie) i miała na utrzymaniu kilkoro swoich dzieci, oddała znalezionego chłopca bogatszej gospodyni, która miała już pięcioro własnych dzieci. Dowiedzieli się od chłopca, że ma sześć lat, nazywa się Jan Cebula i że nie ma matki ani ojca, tylko ojczyma, który zostawił go w lesie.

U bogatej gospodyni Jaś nie zaznał rozkoszy i nie pozostał tam długo. Synek tej gospodyni wrzucił do studni czapkę, a studnie w Ludmiłówce są głębokie, mają ponad 70 metrów. Szkoda było czapki, więc umieścili Jasia w wiadrze, ponieważ był niski i chudy i wpuścili go do studni, by ją wydostał. Wprawdzie chłopcu nic się nie stało, czapkę „wyratował”, ale fakt ten spowodował oburzenie w wiosce.

Dowiedziała się o tym jedna z zaciejszych gospodyń, wdowa wychowująca ośmioro swoich dzieci i postanowiła zabrać Jasia do siebie. W tej rodzinie Janek był należycie traktowany. Tak jak chłopskie

dzieci pasał krowy, pomagał w pracach gospodarskich, ale chodził również do szkoły. Swoją chlebowczynię nazywał mamą. Smutno się rozpoczęło życie Janka i smutny był jego koniec.

Na przełomie 1941/42 Ludmiłówkę nawiedziła epidemia tyfusu. Chorych odwożono do szpitala w Gościeradowie, który mieścił się pałacu Suchodolskich. W szpitalu tym ludzi ubogich leczono bezpłatnie. W okresie okupacji miejsce to zyskało złą sławę. Krążyły wieści, że niemieccy lekarze celowo uśmiercają chorych. Do szpitala trafił również Jasio, skąd żywy nie wrócił.

Z powodu krążących opinii, wielu mieszkańców Ludmiłówki ukrywało chorych na tyfus w domach, aby nie dowiedziały się władze sanitarne i korzystano z porad felczera z Grabówki (Skawińskiego) lub żony kierownika szkoły w Grabówce, która z zawodu była pielęgniarką (Tomaszewska). Chorzy na tyfus leczeni w domu przeżywali. Z opowiadań najbliższych wiadomo, że Jaś Cebulka miał trudne dzieciństwo, które wpłynęło na jego słaby rozwój fizyczny – był niskiego wzrostu, dlatego nazwano go Cebulką. Nie zaważyło to jednak na psychice. Był bardzo pogodnego usposobienia. Zawsze uśmiechnięty, życzliwy, lubiany przez kolegów i koleżanki. Nadzwyczaj wesoły, towarzyski i rozśpiewany. Często opowiadał dowcipy, niekiedy robił również niezbyt złośliwe psoty. Los jednak obszedł się z nim do końca okrutnie. Kiedy wyszedł już na prostą, mógł się usamodzielnąć, stworzyć własny dom, zmarł nagłą śmiercią w gościeradowskim szpitalu w wieku 23 lat.

Ze swojego doświadczenia wiem, że dzisiaj jest mało takich kolegów, którzy potrafią rozbawić aż do łez, zrobią psikusa, ale w taki sposób, że nie będzie on zagrażał życiu i zdrowiu.

Losy dzieci w czasie wojny i nawet po wojnie nie były łaskawe. Często nie miały one rodzin, nie miał się nimi kto zaopiekować. Tylko łut szczęścia pozwalał, żeby przeżyły i mogły funkcjonować w społeczeństwie.

Dzisiaj mamy inne czasy. Dzieci pozbawione rodziców, trafiają do domów dziecka, do rodzin zastępczych. Tylko od nich zależy, czy wyjdą na ludzi, czy nie. Nie doświadczają głodu, niepewności co będzie jutro, mogą się uczyć i marzyć o lepszej przyszłości.

Ta historia nauczyła mnie pokory wobec życia i ludzi. Cieszę się, że żyję w dzisiejszych czasach, gdzie mam dostęp do nauki, że mam

dom i mogę marzyć o lepszym jutrze. Moja rodzina mnie kocha i ja kocham ją. Warto czasami powiedzieć rodzicom, że się ich kocha i czuje się z nimi bezpiecznie – to ważne.

*Natalia Marszałek*  
*A.D. 2019*

*To właśnie tu się wydarzyło...*

---

## Wyjaśniona tajemnica rodzinna

**C**ZĘSTO SŁUCHAM RODZINNYCH HISTORII, które opowiadane są podczas różnych spotkań, głównie świątecznych. Takie opowieści o przeszłości często snuł mój pradziadek, Jan Majerowski. Pradziadek przeżył ponad wiek, wiele w życiu doświadczył. Kiedy był już bardzo chory, w odwiedziny do niego przyszła nasza sąsiadka, Zofia Majerowska, moja ciocia. Usłyszałem, jak podziękowała pradziadkowi za to, że kiedyś uratował jej życie.

Kiedy żył pradziadek, byłem małym chłopcem. Wtedy nie zwróciłem na to większej uwagi, nie zapytałem, o co chodzi. Niedawno przypominałem sobie tę sytuację i postanowiłem wyjaśnić tę historię. Niestety, moja babcia powiedziała, że dziadek nie opowiadał jej nic na ten temat. Postanowiłem więc zapytać o wszystko moją ciocię. Ona opowiedziała mi smutną historię z czasów II wojny światowej.

Jest rok 1944, schyłek II wojny światowej. Front niemiecko-rosyjski, przechodząc przez Polskę, przesuwają się w stronę Berlina. Uciekający w popłochu Niemcy, palą za sobą wioski, aby dobytek nie dostał się w ręce nieprzyjaciela. Rosjanie wyzwalamy nasz kraj od hitlerowców. Ta wolność, jak sami się przekonamy, jest tylko pozorna. Wojna nie oszczędza także naszego regionu i samej Księżomierzy. Z niektórych domów w Księżomierzy Gościeradowskiej zostały tylko zgliszczka. Tak było w przypadku mieszkań mojego pradziadka, jak również cioci Zofii. Z tego powodu mój pradziadek z rodziną mieszkali w stodole. Powoli zbierali jednak materiały budowlane na nowy dom, np. bale. Ciocia ze swoją rodziną mieszkała u swojej babci Dudzińskiej (mamy swojej mamy) naprzeciwko swojego domostwa. Często patrzyła na zgliszczka swojego domu rodzinnego. U babci Dudzińskiej mieszkali cztery rodziny, w tym uciekający przed frontem kuzyni z Huty. Dzieci i starsi spali w izbach, a dorośli w oborach w snopach zboża, nawet zimą.

Zofia opowiadała, że niedługo przed wydarzeniem z udziałem mojego pradziadka, wróciła z Suchodół. Wraz ze swoją rodziną uciekli tam przed frontem. Mówiła, że uciekając przez las przed świszczącymi kulami, biegła tak szybko, że z sukienki pozostały jej tylko strzępy. Jakaś dobra kobieta dała jej ubranie swojej córki, żeby mogła się okryć. Po powrocie z Suchodół zastali Rosjan stacjonujących

u babci w jednej z izb. Ciocia mówiła, że Rosjanie zabierali ludziom dobytek, zwłaszcza żywy inwentarz. Pamięta, jak panu Woźniakowi zabrali krowę, którą potem zabili, ugotowali w kotle, a mięso rozdali wojskowym. Rosjanie pastwili się także nad ludźmi, często znęcali się nad kobietami.

Pewnego dnia Zofia wyszła pod ulicę, żeby przejść na podwórko swojego domu. Wtedy zobaczył ją młody Rosjanin jeżdżący na koniu. Dwunastolatka spodobała się żołnierzowi. Zaczął jeździć w tę i z powrotem. Zofia przestraszyła się, bo Rosjanin wyglądał przy tym jak szalony. Zaczęła uciekać. Na szczęście koń pod jeźdźcem spłoszył się. To zamieszanie wykorzystała Zofia i uciekła na nasze podwórko. Pradziadek szybko zorientował się w sytuacji i schował dziewczynę pod bale. Kiedy Rosjanin opanował konia, po cioci nie było już śladu. Wściekły żołnierz zaczął przeszukiwać pobliskie gospodarstwa w poszukiwaniu uciekinierki. Przyszedł też do stodoły mojego pradziadka. W stodole pod poduchami leżała moja prababcia, która była chora. Była tam też ich malutka córka, Halinka. Wypytywany przez żołnierza pradziadek powiedział, że nikogo nie widział. Żołnierz nie dawał za wygraną. Przeszukiwał stodołę. Groził śmiercią prababci i pradziadkowi. Wrzeszczał, że gdy nie powiedzą, gdzie jest dziewczyna, to ich zabije. Mierzył do pradziadka z broni. Po dłuższym czasie wściekły niepowodzeniem poszukiwań Rosjanin dał za wygraną i odszedł. Dziadek odczekał trochę czasu i wrócił do miejsca ukrycia Zofii. Bojąc się powrotu żołnierza, zabrał swoją rodzinę i Zofię do ukrytego w części stodoły schronu. Przesiedzieli w nim całą noc i część następnego dnia. Kiedy wyszli, okazało się, że jest już bezpiecznie, bo Rosjanie mieszkający nieopodal u pani Dudzińskiej opuścili już Księżomierz.

Ciocia wspomina, że wiele razy dziękowała mojemu pradziadkowi za uratowanie jej życia. Twierdzi, że Rosjanin na pewno by ją skrzywdził.

Kiedy wysłuchałem tej opowieści, byłem zdziwiony i zaskoczony, że dziadek nigdy o tym nie wspominał. Opowiadał wiele różnych historii, ale o tym, że narażał własne życie oraz życie członków swojej najbliższej rodziny, żeby podczas wojny ukryć kuzynkę, nigdy nie powiedział. Jestem dumny, że miałem w rodzinie kogoś, kto zachował się tak bohatersko.

*Szymon Niedziałek  
A.D. 2019*



## Z opowieści mojej teściowej

**H**ISTORIĘ, O KTÓREJ MOWA PONIŻEJ, opowiedziała mi moja teściowa Marianna Ortyl. Wysłuchałam ich kilka, ale ta jedna warta była zapisania.

Był rok 1940. Miałam wtedy 9 lat, byłam najstarsza z czwórki rodzeństwa. Oddział żołnierzy niemieckich rozlokował się na terenie szkoły w Księżomierzy tj. w miejscu dzisiejszego przedszkola. Jako dziecko zapamiętałam dwa samochody z żołnierzami niemieckimi, które jeździły w jedną i w drugą stronę wsi. Siały strach. Ludzie w popłochu robili różnego rodzaju kryjówki. Mój ojciec ze swoim sąsiadem, za stodołą, mieli przygotowany schron. Trudno to było nazwać schronem, bo był to dół wyścielony słomą i starymi szmatami. W dzień jakoś każdy funkcjonował, wieczorem nie wolno było palić lampy dla bezpieczeństwa, a w nocy często trzeba było spać poza domem, bo ciągle ktoś przychodził, jak nie partyzanci kogoś szukali, to Ukraińcy. Tych trzeba było się bać, a szczególnie narażone na niebezpieczeństwo były młode dziewczyny. Ja byłam dziewczynką wyrośniętą, więc mama zawsze mnie ukrywała. Z pustymi rękami nigdy nie odchodzili, zabierali jedzenie, koce, często odzież – babcia w swoim opowiadaniu trochę się zatrzymała. – Oj dziecko, jakie to były trudne czasy, każdy każdego się bał – ręce jej zadrżały. – Mogłoby mnie już wtedy nie być na tym świecie. Zdarzyło się to jakoś na wiosnę, bo liści jeszcze nie było na drzewach. Bawiliśmy się na drodze razem z innymi dziećmi. Nagle rozległ się ogromny huk. Leciał samolot, był taki czarny i przerażający. Leciał tak nisko, że z orzechów, które rosły przy drodze, opadały gałęzie. W popłochu rozbiegliśmy się do swoich domów. Wbiegając do sieni, moja młodsza siostra wpadła wprost na saganek ugotowanych ziemniaków, które były przygotowane dla zwierząt. Wybuchła panika. Krysia miała poparzone nogi i dłonie. Wszyscy wiedzieliśmy, że może wydarzyć się coś złego. Ojciec kazał uciekać do schronu. Siostry uciszyć nie mogli, każdy krzyczał, był wielki rozgardiasz, tata ponaglał, mama złapała jakieś prześcieradło, owinęła jej nogi, mnie kazała wziąć bochenek chleba i wszyscy udaliśmy się za stodołę. Tam byli już nasi sąsiedzi i zapamiętałam, jak mówili, że to będzie łapanka. Ojciec z sąsiadem wejście do schronu przykryli darniami i gałęziami. Krysi zatykali buzię, a ona piszcziała, miała



zaledwie 4 latka. Sąsiadka, pani Wanda, aby złagodzić ból, okładała ziemią okręcone prześcieradłem nogi. Wszyscy byli zdenerwowani, ja też bardzo płakałam, bo każdy liczył się z tym, że w każdej chwili grozi nam śmierć. Nie musieliśmy długo czekać, pokrywa schronu się uchyliła i zobaczyłam niemieckiego żołnierza z bronią. Do dziś pamiętam te oficerki i długi płaszcz. Wiedziałam, że to koniec nas wszystkich. Mocno tuliłam się do mamy i uciszałam siostrę. Niemiec przesunął zamek w swoim karabinie i krzyczał: „Kaman! Kaman!”. Wszyscy zaczęli wychodzić, tak się bałam, że nas rozstrzela. Krystyna płakała z bólu, a Niemiec wrzeszczał „Bandyt! Bandyt”. Chodziło o partyzantów, czy ich nie ukrywamy. Tata z sąsiadem zerwali wierzch schronu, okazało się, że nikogo więcej nie ma, wtedy żołnierz przyłożył karabin do pleców pani Wandy i tak prowadził ją do samego domu, krzycząc po niemiecku, co oznaczało, żeby dała coś do jedzenia, a konkretnie dużo jajek. Po oddaniu żywności, powiedział, że jeszcze tu wróci. Jednak opatrność czuwała nad nami, czy może cierpienie małego dziecka ujęło niemieckiego żołnierza. Niemcy długo we wsi nie stacjonowali, po trzech dniach się wynieśli. Podobno zginął ich żołnierz z rąk partyzantów i właśnie ich szukano. Ta historia bardzo mocno zapisała się w moim sercu i do dziś powtarzam, że mógł to być ostatni dzień w moim życiu – babcia posmutniała. – Oj teraz to jest taki dobrobyt, że wam trudno pojąć, jak wtedy było ciężko. Szkoda tylko, że ja mam już tyle lat.

*Książomierz, dn. 11 listopada 2018 r.*

*Zofia Ortyl  
A.D. 2019*

## Piekło nad Szczecynem

DNIA I MIESIĄCA drugiego  
Roku czterdziestego czwartego  
Nad Szczecynem wrota piekła się otworzyły.  
Niemieckie oddziały wieś otoczyły.  
Idą tyralierą, karabiny „repetują”,  
Nawet wrony odfrunęły,  
W powietrzu grozę czują.  
Już kolby do drzwi walą,  
Już domy podpalają,  
A oni tak, jak spali  
Przez okna wyskakiwali  
Lecz... uciec... nie zdołali.  
Rozbłysła zorza czerwona,  
Widać ją z oddali,  
Krzyk trwogi się niesie:  
Ludzie!... Wieś się pali!!!  
A wróg nie zna litości  
Bo serce ma ze stali,  
Błaganie go nie wzrusza,  
Bije, morduje, pali.  
Matka ledwo żywa,  
Swą piersią osłania dzieci,  
A kula ją rozrywa  
I martwa na ziemię leci.  
Ginęły dzieci niewinne,  
Jak kwiaty kosą skoszone,  
Ich ciała rozszarpane  
I ogniem przypalone.  
Tu młode ranne dziewczę,  
Wnętrza dłońią skrywa,  
Kula jej brzuch rozerwała  
I w bólach dogorywa.  
Do serca tuli Marysię,  
Zastygnięta ręka stryjenki,  
A pierś martwej już matki

Ssie jeszcze Staś maleńki.  
Dym się unosi dławiający  
A niebo jakieś ziemiste,  
Czuć krew, śmierć, przerażenie  
O Jezu! Jezu Chryste!  
A jęki konających  
Rozlegały się dookoła,  
Ten prosi, by go dobić,  
Inny ratunku woła.  
Gdy słońce jasne na zachód się chyliło  
A noc okryła pobojowisko,  
Psy tylko wyły i dymy wlokły się nisko.  
Jeszcze dni kilka,  
Gdy zgasły już płomienie  
Wróg rabował i dobijał,  
By zniszczyć polskie plemię.  
Niech pamięć o nich trwa,  
Niech będzie zawsze żywa,  
Ta jedna ich mogiła  
Prawdziwe piekło skrywa.  
Niech biją szczECKIE dzwony,  
Niech płoną dla nich znicze,  
Bo oni tak niewinnie  
Oddali swoje życie.

10. 02. 2019 r.  
Zofia Ortyl  
A.D. 2019



## Rozwój kultury w środowisku wiejskim

(fragment opracowania „Gromada Gościeradów w latach 1950–1970”)

**D**O ZAKOŃCZENIU drugiej wojny światowej mieszkańcy wsi skupieni byli głównie na zabezpieczeniu warunków do egzystencji w nowej sytuacji społeczno-gospodarczej. Wieś była w większości przeludniona i zacofana w rozwoju. Stąd też były częste przypadki wyjazdów całych rodzin na ziemie zachodnie i północne, a młodych ludzi do prac leśnych i melioracyjnych.

Dla zabezpieczenia warunków do życia mieszkańcom miast, nowa władza nałożyła na wieś szereg obciążeń, z których najbardziej dotkliwe były obowiązkowe dostawy mleka, żywca i zboża oraz podatki, jak również szarwarki, tj. nieodpłatne świadczenie pracy na rzecz środowiska.

W zniszczonym kraju brak było wielu ważnych towarów, a potrzeby były ogromne by móc odbudować zniszczone miasta. W życiu społecznym i kulturalnym pomimo wielu trudności wieś skupiała się na kultywowaniu tradycji chrześcijańskich. Uroczyscie obchodzono Święta Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy, Zesłania Ducha Świętego, odpusty i święcenia pól.

Kościół w Gościeradowie podczas świąt wypełniony był po brzegi, a chór kościelny i orkiestra prowadzone przez organistę Czesława Jackowskiego dawały wspaniałe koncerty. Odpusty w maju a zwłaszcza w czerwcu gromadziły dużą rzeszę wiernych miejscowych i przyjezdnych gości.

Święcenie pól odbywało się na dużym obszarze upraw. W Wólce Gościeradowskiej procesja wiernych z księdzem zaczynała święcenie od strony wschodniej wsi i skrajem pól obok lasu szła w kierunku północnym, a następnie wracała od strony zachodniej na początek wsi. Po kilku latach święcenie pól odbywało się poboczem drogi od kapliczki do figury. Kultywowano również organizacje uroczystości rodzinnych tj. chrztów i wesel. Chrzest odbywał się w kościele po nabożeństwie przy chrzcielnicy znajdującej się przy bocznym ołtarzu od strony wschodniej. Na przyjęciu z okazji chrztu gromadziła się rodzina bliższa i dalsza oraz sąsiedzi.

Na ślub kościelny przyjeżdżali młodzi na furmance zaprzężonej w dwa kare konie. Orszak przyjeżdżający np. z Liśnika Dużego składał się z kilku lub kilkunastu wozów odpowiednio przystrojonych.

Na pierwszej furmance jechała orkiestra dęta składająca się z 5 lub 7 muzykantów. Za nimi jechała para młoda z družbami i druhnami, a w dalszej kolejności rodzice i pozostali goście. Podczas przejazdu przez wieś orkiestra grała. Największym problemem w tym czasie była organizacja przyjęcia weselnego. Budynki mieszkalne na wsi posiadały w większości dwie izby. Przyjęcie odbywało w jednej (większej) izbie lub w dwóch. Jeżeli były ku temu warunki, to gości kierowano również do domu sąsiada. Pomieszczenia przeznaczone do tańca były za ciasne dla osób chcących potańczyć.

Zdarzały się przypadki, że tam gdzie pomieszczenia były małe, goście do konsumpcji wchodzili grupami. Gdy jedna grupa kończyła poczęstunek, to wchodziła druga, potem trzecia, a nawet czwarta.

Podawane na stoły dania były skromne lecz smaczne. Alkohol (w większości własnej produkcji) był podawany w ilościach niezbędnych. Zdarzały się przypadki bójek głównie młodych ludzi pochodzących z dwóch lub trzech wsi. Dochodziło do obrażeń tak, że musiała interweniować milicja obywatelska. W następnych latach skład orkiestry weselnej uległ zmianie. W miejsce instrumentów dętych pojawiły się akordeony, skrzypce, gitary, saksofony, klarnety i puzony.

W Gościeradowie utworzona została biblioteka publiczna, która mieściła się w budynku siedziby Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej. Czytelników na wsi początkowo było niewielu, a rozwój następował powoli. Były jednak rodziny, gdzie do czytania książek tak przez rodziców, jak też i przez dzieci przykładano dużą wagę. Na wsi było w tym czasie dużo ludzi szczególnie ze starego pokolenia, którzy nie umieli czytać lub czytali bardzo słabo.

Nieomal w każdej wsi w gromadzie były miejsca, gdzie zbierało się po kilka osób w jesienne oraz zimowe wieczory i jedna z obecnych czytała książki. Były to m.in. utwory Henryka Sienkiewicza oraz innych pisarzy o tematyce historycznej i obyczajowej.

Po kilka lub kilkanaście osób w każdej wsi było prenumeratorami prasy „Gromady Rolnik Polski” lub „Chłopskiej Drogi”. Tu też występowały przypadki zbiorowego czytania gazet, które dostarczały informacji o wydarzeniach międzynarodowych i krajowych. Bardziej uświadomieni politycznie rolnicy mieli okazję do konfrontacji wydarzeń podawanych przez prasę z tymi uzyskanymi z innych źródeł lub z własnych przeżyć. Władze państwowe zakazały agitacji lub

przekazywania informacji godzący w panujący ustrój. Jeżeli sąsiedzi chcieli porozmawiać o sytuacji politycznej w kraju i na świecie, to jeden z nich musiał uważać, czy nikt ich nie podsłuchuje. Kara za propagandę skierowaną przeciwko państwu była surowa. Z uwagi na fakt, że większość wsi w pierwszych latach po wojnie nie była zelektryfikowana, mieszkańcy nie posiadali odbiorników radiowych lampowych. Zdarzały się nieliczne przypadki we wsiach posiadaczy radia, do którego podłączone były dwie pary słuchawek. Radia te niewielkich rozmiarów zasilane były baterią. Sygnał do radia był odbierany przez antenę umieszczoną na zewnątrz budynku w postaci kilku drutów umocowanych na 2-4 tyczkach. Jednocześnie radia mogły słuchać tylko dwie osoby. W następnych latach pojawiły się radia zasilane baterią, których można było słuchać bez słuchawek.

Do Wólki Gościeradowskiej (którą zelektryfikowano jako ostatnią w 1961 r.) doprowadzono linią napowietrzną jesienią w 1957 r. sygnał radiowy programu pierwszego retransmitowany przez urządzenie usytuowane w Urzędzie Pocztowo-Telekomunikacyjnym. W każdym domu pojawił się głośnik. Opłaty za korzystanie z głośnika były niskie, bo wynosiły 3 zł miesięcznie. Posiadanie radia w domu sprawiało dużą radość nie tylko dzieciom i młodzieży, lecz także i dorosłym. Dzieci mogły słuchać bajek i fragmentów powieści z przygodami, a dorośli informacji o sytuacji w kraju i na świecie. Chętnie też słuchali teatru radiowego oraz powieści w odcinkach pt. „Matysiakowie”, a po kilku latach „W Jezioranach”. Do występowania w teatrze radiowym lub czytaniu powieści dla dorosłych i dzieci angażowało się wielu aktorów scen warszawskich.

Dużą popularnością cieszyły się programy muzyczne i słowno-muzyczne, takie jak: występy kapeli Feliksa Dzierżanowskiego (w niedzielę), zespołu harmonistów (Dobrzyński, Przyłęcki i inni), kabaretów, zespołów pieśni i tańca „Mazowsze” i „Śląsk” (które śpiewały też kolędy w Wigilię Bożego Narodzenia o godz. 18-tej). Bardzo lubiani byli występujący w radio piosenkarze i ich piosenki: Marta Mirska, Maria Koterbska, Mieczysław Fogg, Natasza Zylska, Zofia Grabińska, Jerzy Michotek, Jerzy Połomski, Sława Przybylska i inni.

Na długo pozostały w pamięci piosenki, takie jak: „Siwy włos”, „Piosenka Stacha Matysiaka”, „Cicha woda”, „Złoty pierścionek”, „Gdy mi ciebie zabraknie” i „Karuzela”.

Największy wysyp utworów muzycznych i piosenek oraz piosenkarzy nastąpił na początku lat sześćdziesiątych. Każdy utwór muzyczny i piosenka po ukazaniu były grane i śpiewane na zabawach wiejskich i uroczystościach rodzinnych. Utwory te były bardzo dobrze odbierane przez młodzież i dorosłych.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pojawiły się w sprzedaży adaptery i płyty z piosenkami, które szybko znalazły uznanie wśród młodzieży. Adaptory były wykorzystywane nie tylko do słuchania muzyki i piosenek z płyt, lecz także do organizacji zabaw i potańcówek, którymi zajmowała się młodzież zrzeszona w ZMW.

Dużym zainteresowaniem części społeczeństwa Gościeradowa i okolic cieszyło się kino utworzone w latach pięćdziesiątych. Początkowo filmy były wyświetlane w remizie OSP dwa razy w tygodniu, tj. w czwartki i niedzielę. Potem aparaturę kinową przeniesiono do dawnego Domu Oficera wybudowanego przez Niemców, gdzie urządzono salę kinową na miarę zaistniałych możliwości.

Pod koniec lat pięćdziesiątych filmy były wyświetlane jeden raz w tygodniu w Liśniku Dużym i Wólce Gościeradowskiej (w nowo wybudowanej remizie strażackiej), gdzie przyjeżdżali kierownik kina i operator.

W Księżomierzy filmy były wyświetlane w remizie przez kino objazdowe z Lublina, którego kierownik pochodził z tej miejscowości. Frekwencja na seansach była różna w zależności od wyświetlanego filmu fabularnego.

W tym okresie wyświetlane były filmy wyprodukowane przez państwa europejskie. Najczęściej były to filmy włoskie, francuskie, bułgarskie, rumuńskie i radzieckie. Publiczność bardzo chętnie oglądała filmy obyczajowe, przygodowe i wojenne.

Największy postęp w dziedzinie krzewienia kultury dokonała telewizja. Pierwotnie odbiorniki telewizyjne pojawiły się w 1962 r. w Państwowym Ośrodku Maszynowym, w Szkole Podstawowej w Gościeradowie i w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Wólce Gościeradowskiej. Aby oglądać programy telewizyjne, które rozpoczynały się od godzin popołudniowych i trwały do ok. godziny dwudziestej drugiej, przychodziło przeciętnie około 50 osób w każdym miejscu, gdzie był zainstalowany odbiornik telewizyjny. Ilość osób



chcących obejrzeć program (szczególnie sportowy lub film fabularny) ograniczała wielkość sali.

Programy telewizyjne emitowane były tylko w wersji czarno-białej, a ostrość obrazów musiała być często regulowana. Produkowane w Polsce telewizory często ulegały uszkodzeniu, szczególnie tam, gdzie w pomieszczeniu była różnica temperatur lub wydzielala się para. Najczęstsze uszkodzenia to zwarcie przewodów i spalenie się lampy lub bezpiecznika.

Po upływie kilkunastu lat pojawiły się w sprzedaży telewizory produkcji radzieckiej m-ki Beryl przekazujące obraz kolorowy, a po upływie następnych kilku lat można było kupić telewizory kolorowe produkowane w Niemczech, Korei i Japonii sterowane pilotem. Zwiększyła się wielkość ekranu i jakość obrazu.

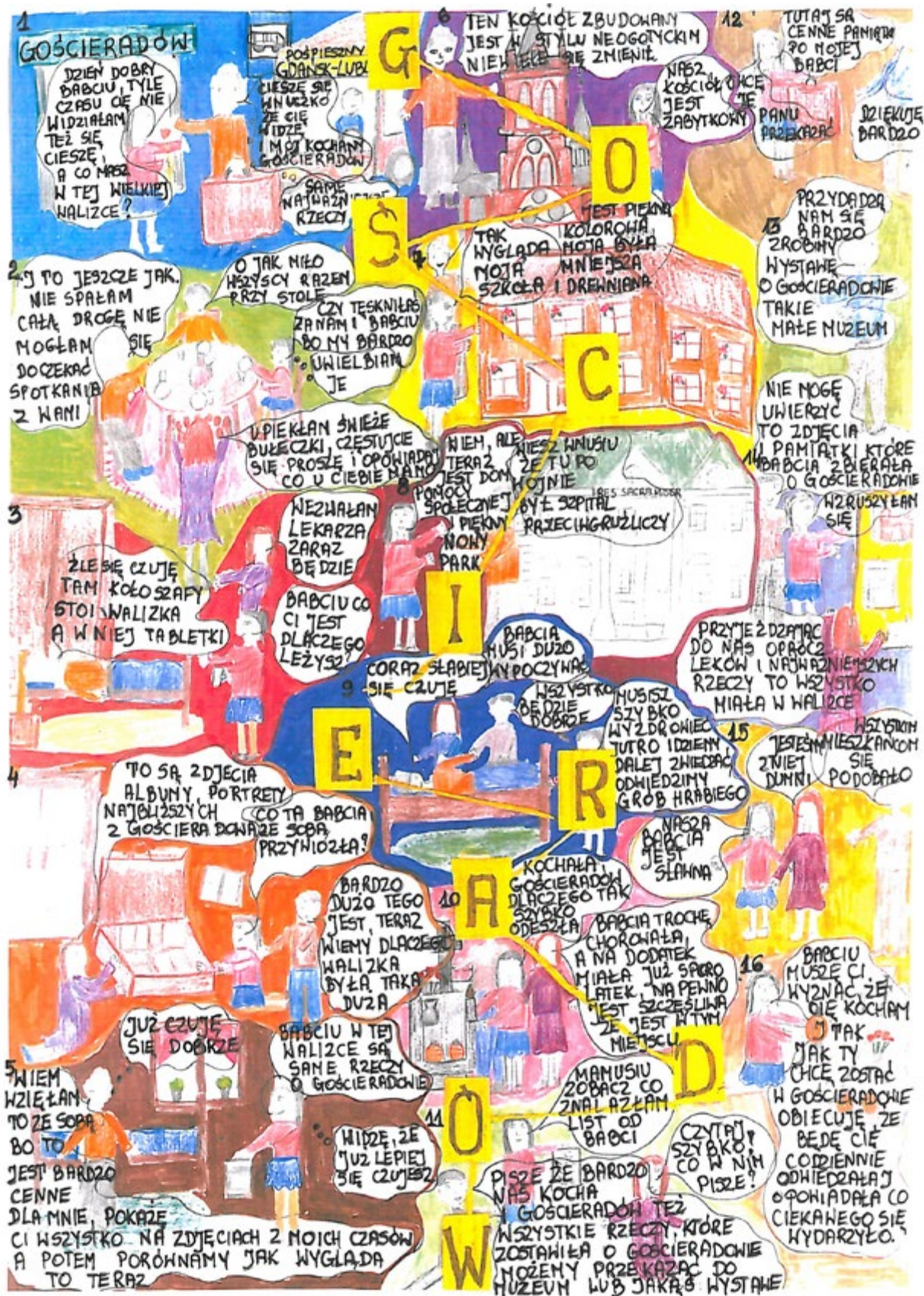
Jak szybki postęp następował w wielu dziedzinach życia społeczeństwa obrazuje fragment poniższego wiersza:

Było we wsi wesele Jędrusia i Broni,  
Żenili się ci dwoje i nie tylko oni.  
Łączyła się bowiem jeszcze inna para,  
Cały postęp techniczny i tradycja stara.  
Minęły bowiem czasy, gdy koniki cwałem,  
Wiozły orszak weselny ogarnięty szaleń.  
Dziś państwo młodzi chcą w warszawie lub fiacie,  
A jak nie, to wolą życie spełnić w celibacie.  
Od samego rana jadą goście, jadą,  
Coraz to z większym szykiem i z większą paradą.  
Krewni z miasta przybyli w skodach i warszawach,  
Młodzi na wfm-kach, junakach i jawach.

*Tadeusz Porębski*  
*A.D. 2019*



# Wspomnienia z dzieciństwa







Moja piękna i zabytkowa miejscowość







# ALBUM

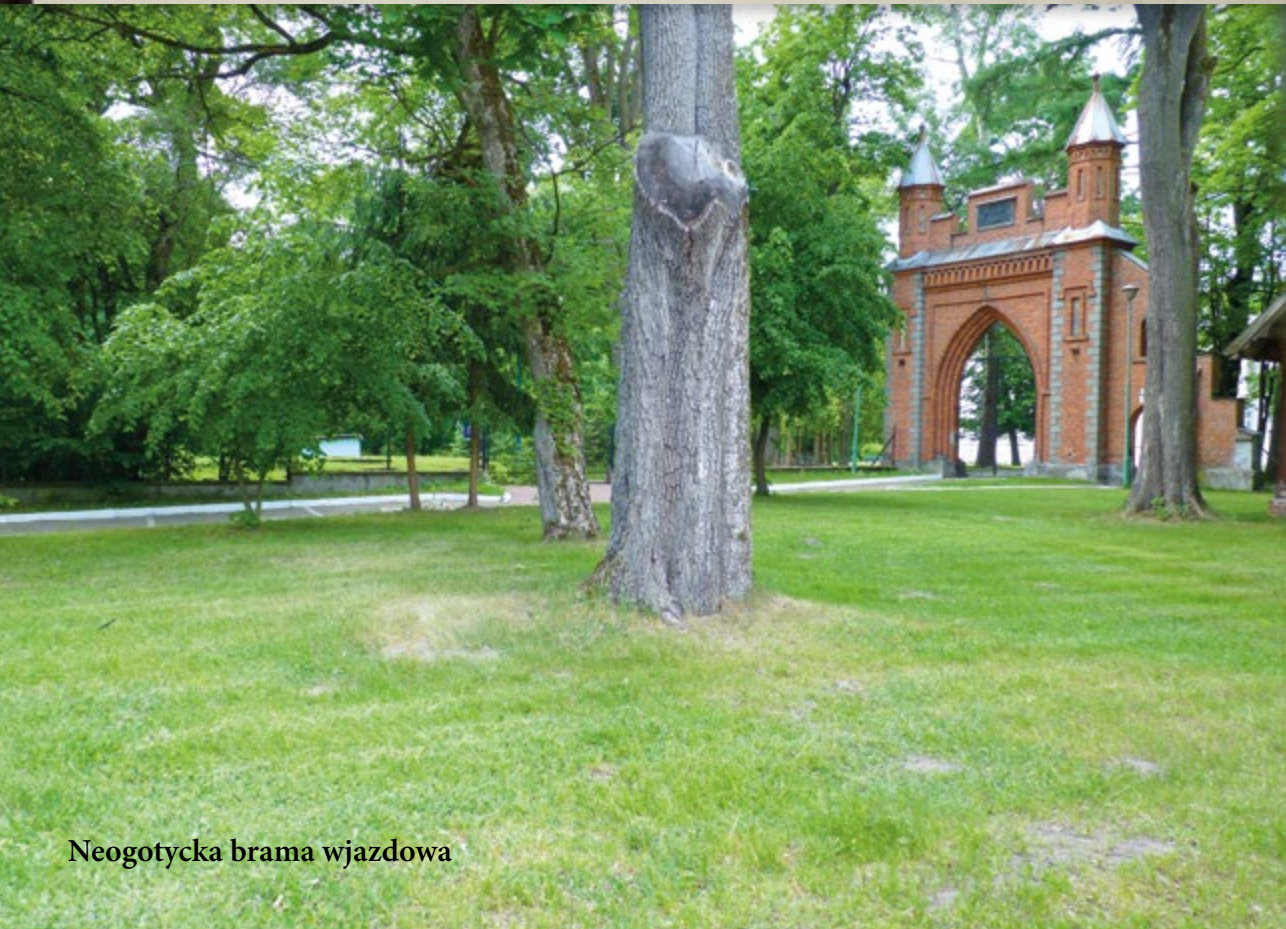
FOTOGRAFIE, KTÓRE ZNALAZŁY SIĘ W CZĘŚCI ALBUMOWEJ  
SĄ TYLKO FRAGMENTEM NASZEGO DZIEDZICTWA,  
PODOBNIIE JAK ZAPREZENTOWANE W TEJ KSIĄŻCE  
PRACE LITERACKIE ORAZ ELEMENTY  
KAPSUŁY CZASU Z 2018 ROKU







Pałac Prażmowskich i Suchodolskich w Gościeradowie



Neogotycka brama wjazdowa





Kościół w Gościeradowie – widok od strony zakrystii



Spichlerz w Gościeradowie Folwarku





Wnętrze kościoła parafialnego w Gościeradowie









Tabliczka na grobie  
powstańca styczniowego  
na cmentarzu  
w Gościeradowie





Pole Zjawienia w Księżomierzy



Mogiła – pomnik pomordowanych mieszkańców Szczecyna





Schody i fundamenty pozostałe po spalonej świątyni  
obok nowego kościoła



Krzyż przydrożny w Szczecynie





Skutki działalności bobrów



Źródłiska  
w Łanach





Rodzina łysek na stawie w Wólce Gościeradowskiej



Miejsce lęgu dzikiego ptactwa





Fragment Rezerwatu Doły Szczeckie





Okoliczne pola



Łabędzie na stawie w Gościeradowie Folwarku





ieradow  
rok szkolny 1957/58

1000 SZKOL  
NA 1000 - LECIE

Klasa II, S. M. gołębiewski